SZARY PROCH

POWIEŚĆ

PRZEZ

MARJĘ RODZIEWICZ.

Odbitka z „Dziennika Chicagoskiego".

CHICAGO, ILL.
DRUKIEM SPÓŁKI NAKŁADOWEJ WYDAWNICTWA POLSKIEGO
141—143 W. DIVISION ULICA.
1891.

I.

— *Und keine Spur! O Herr Je! O Herr Je!*

Panna Greta Matschke podniosła przy tych słowach do zaczerwienionej twarzy róg fartuszka i otarła rzęsiste łzy; potem załamała ręce ruchem Nioby i spojrzała żałośnie poza lampę i szerokie bióro na rodzica swego, który rozparty w fotelu, pogrążony był w kontemplacyi kresek i linijek na wielkiej morskiej mapie, rozłożonej przed nim. Szeroka jego, czerwona i tłusta twarz, miała wyraz głębokiej troski. W obwisłych wargach trzymał zagasłą fajkę porcelanową, ozdobioną wizerunkiem pulchnej uśmiechniętej Turczynki. Malatura ta była jaskrawa i z wyrazem głębokiego zadowolenia z życia. Nie licowała wcale z mrocznym pokojem i humorem ojca i córki.

— *Spurrloss verrschwunden*! — zamruczał Matschke, nie odrywając oczu od karty — nie pojmuję, co się im mogło przytrafić. Zboże odwieźli szczęśliwie do Rio i zładowali fernambuk. Miałem list od Lorensa w przed-

dzień podniesienia kotwicy. Sygnalizowano wprawdzie burzę w przeszłym tygodniu, ale przecież Lorens nie fryc, a „Margareta" nie byle szkuta Brucka! Zresztą jużby była wiadomość o rozbiciu. Taki statek, pół miliona wart, a ubezpieczony na dwakroć...

— A taki człowiek, ojcze! — szepnęła Greta nieśmiało.

— Drogi człowiek, drogi! Bruck omal go oczami nie pożre. Dwanaście lat mi służy bez cienia zarzutu. Jaki u niego ład w głowie, a jaka ścisłość w sumieniu, to ja tylko jeden wiem...

— Ach, ojcze, sam będziesz winien jego zguby! Bruck takiego człowieka nie narażałby na burze, nie trzymał na marnej posadzie okrętowego kapitana! Statków zostanie ci jeszcze jedynaście, a kapitana Lorensa nikt nie zastąpi!

— Bruck go urzekł! — zamruczał kupiec ponuro. — Kiedy „Margareta" dawała ostatni sygnał do odejścia, a Lorens brał sam za koło u steru, Bruck z damby przypatrywał się i coś mamrotał przez zęby. Taki *Spitzbub!*

Umilkł ciężko, odsapnął i znowu wlepił oczy w kartę.

W kupieckim dworze wieczór przerwał robotę. Wyludniły się magazyny i bióra, ucichł gwar i stuk elewatorów, rozbiegła się rzesza komisantów i urzędników firmy. Pozostał właściciel sam, córka i nieliczna służba w głębi mieszkania.

Za ścianą nieprzerwanym nigdy ruchem i wrzawą roiła się portowa ulica, rozlegały się parowe sygnały, dzwonki, turkot i nawoływania, a ponad to wszystko górował głuchy, potężny ton Baltyku, bijącego ze złowrogą melodyą o portowe tamy.

Panna Greta oparła się o biuro, zakryła oczy i prawdopodobnie płakała. Pan Matschke od papierowego Atlantyku oczu nie odrywał, rachując swe straty półgłosem. Zdało mu się w tej chwili, że dzwonek u drzwi zajęczał. Zaklął przez zęby.

- - To pewno kupiec po fernambuk. Jak na drwiny codzień mi cenę dubluje. A fernambuk z „Margaretą“ na dnie morza. *Hundeselement!*

— Czy chodził dziś ojciec do portu? — spytała córka.

— Nie chodziłem. Po co? Żeby posłyszeć złą wiadomość i słuchać ubolewań fałszywych

Brucka? Skończone, nie ma „Margarety". Na dnie morza ona!..

W głębi rozwarły się drzwi. Wysoki, barczysty mężczyzna stanął na progu i zatrzymał się, słuchając słów ostatnich. Twarz jego ciemna i sucha zaśmiała się swawolnie, aż zaiskrzyły się oczy siwe, aż rozchmurzyło się czoło, do marsa nawykłe, aż błysły przepyszne białe zęby. Stał chwilę nieporuszony, trzymając w jednem ręku czapkę, w drugiem pudło niewielkie i rozkoszował się wrażeniem, jakie tutaj sprawił.

— Na dnie morza leżą gapie i hultaje, ale nie my z „Margaretą". Fernambuk w porcie, panie Matschke!

— Lorens! Pan Lorens!.... — wrzasnęli unisono wielkim głosem kupiec i jego jedynaczka.

— Do usług pańskich, ja sam! — rzekł marynarz — stawiając pudło u progu i podchodząc bliżej.

Fotel, odsunięty z impetem, stracił równowagę i ukazał w powietrzu cztery swe podpory, z ust pana Matschke wypadła fajka i pulchna odaliska rozprysła się na kawałki, a sam kupiec przystąpił do gościa i nie mogąc sięgnąć wyżej, objął go w pasie i uścisnął z sił całych.

— Lorens, Lorens! *Mein Liebling, mein Sohn!* — wołał z wybuchem radości.

Młody ledwie się uwolnił z tych objęć i ku pannie Grecie przystąpił, podając jej z uśmiechem radosnym swą muskularną prawicę. Znać było po niej, że właściciel nie zawsze nosił rękawiczki, cieńki surdut i rangę kapitana.

— Dziękuję pani za współczucie, a dobre serce dla mnie obcego — rzekł ciszej nisko się kłaniając.

— *Aber Lorens!* — przerwał kupiec, skubiąc go za rękaw. — Prawdę mówisz? Cała „Margareta?"

— Cała i zreparowana.

— Więc mieliście wypadek?

— Jeden z gorszych. Na wysokości Bermudów burza nas opadła. Straciliśmy dwa maszty, trzech ludzi i ster. Nie pamiętam takiego huraganu! Statek pił wodę jak kaczka, a bezwładny był jak martwy wieloryb. Dotarliśmy cudem do Bermudów i tam przestaliśmy w reparacyi dwa tygodnie. Na domiar nieszczęścia telegraf coś niedomagał i nie funkcyonował. Wysłałem list przez pocztowy parowiec „Arminas."

— „Arminas" rozbił się w Manszy! — przerwał Matschke.

— I mój list z nim razem zamokł tedy! Jestem wytłómaczony. Zrestaurowani ruszyliśmy do domu całą siłą maszyny. Zarobiliśmy dwa dni czasu i oto jesteśmy.

— A dużo cię remont kosztował? — spytał kupiec niespokojnie.

— Dużo — nie dużo! — skrzywił się kapitan. — Nie wyrzucałem na wiatr pana pieniędzy.

— Wiem, wiem! — uspokojony potakiwał Matschke.

— Ludzi szkoda! — rzekł Lorens poważniejąc. — Jeden, to stary Hopf... żonę zostawił i dzieci sporo. Maszt go przywalił. Drugi, to mały Hans — jedyny u starej babki. Bałwan go zmiótł z pokładu, jak szmatę! Pani o tych sierotach nie zapomni — dodał zwracając się do Grety.

— Zapiszę ich sobie — rzekł Matschke — będę pamiętał na pamiątkę szczęśliwego ocalenia „Margarety". Dawno przybiłeś?

— Przed godziną. Zostawiłem pomocnika na pokładzie dla formalności i skoczyłem w szalupę. Jak widmo witali mnie ludzie w porcie i opowiadali o pana niepokoju! Chciałem być pierwszy z dobrą wieścią.

— *Gott sei gelobt!* Byleś był sam cały. Odrobimy stratę. Grete, daj mi palto, laskę i kapelusz.

— Ojciec odchodzi? — zawołała przerażona.

— A cóż myślisz. W taki dzień nie odwilżyć gardła? Dość się nałykałem zgryzoty, a Lorens słonej wody. Pójdziemy pod „Rena“. Muszę swego kapitana pokazać Bruckowi. Niech go żółć zaleje. No, no prędzej!

Ze stłumionem westchnieniem obejrzała się szukając żądanych przedmiotów, gdy w tem z pudła stojącego u progu, rozległ się dziwny hałas, zaczęło się coś ruszać jak żywe.

— Coś ty przyniósł ze sobą? — krzyknął Matschke.

Lorens uśmiechnął się tajemniczo i podnosząc skrzynkę postawił ją na stole.

— Dla panny Grety z dalekich stron przywiozłem... — rzekł odkrywając zasłonę.

— Ach śliczności! — zawołała panna.

Pudło okazało się klatką, zawierającą w sobie dwie wielkie, jaskrawe papugi. Na blask lampy zaruszały się żywo, i wrzasnęły jak na komendę dzikim głosem:

— *Grete, Grete, Du schoenste, Du liebste!*

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się homerycznie Matschke. — Ucieszne ptactwo! Pewnie drogo cię kosztowały, chociaż tam na południu pospolite to, jak nasze wrony. Dobrze bestye gadają można w salonie umieścić! No, no! podziękuj Grete. Możesz go pocałować!

Lorensa twarz od rumieńca stała się prawie czarną. Panna ze spokojem Niemki i bez żadnego wahania i wstrętu podała mu do pocałunku pulchny policzek. Marynarz nieprzygotowany widocznie do tego zaszczytu, nieśmiało i niezgrabnie odpowiedział wezwaniu.

— *Danke*! — szepnęła panna, niewiadomo — za papugi, czy za buziaka.

Matschke patrzał i śmiał się.

— *Schoen*! — wołał. — A teraz punktum! Musimy jeszcze zastać Brucka „pod Rekinem", więc marsz! Dobranoc Grete! Jutro na obiad knedle tłuste być powinne.

— Pan Lorens lubi wieprzowinę z kapustą! szepnęła tonem arcyczułym.

— I owszem! Lubię i ja! Chodźmy chłopcze.

Kapitan stracił swą swobodę i werwę. Ukłonił się w milczeniu i wyszedł za chlebodawcą.

Humor mu wrócił w knajpie dopiero. Umyślnie wiódł go Matschke przez całą długość hali, prezentował znajomym i zawistnym — witano go hałaśliwie.

— Skąd, gdzie, jak? Czy to ty we własnej

— Broń Boże!... nie ja, ale latający Holender, — odpowiadał ze śmiechem, zamieniając uściski dłoni z kolegami.

— Nareszcie usiedli. Naprzeciw nich Bruck, antagonista Matschkego; poznał kapitana i zakrył się ostentacyjnie gazetą.

— Może pan potrzebuje fernambuku? panie Bruck?— spytał go dobrodusznie Matschke.

— Od dawna zaniechałem podobnych drobnostek! To nie interes dla mnie! — była opryskliwa odpowiedź.

— Kto chce być bogatym, żadnym interesem nie pogardza! — wygłosił Matschke sentencyonalnie.

— Już jestem bogaty!

— Wielkie słowo! Winszuję! Trącił swój kufel o kufel Lorensa.

— Prosit!

— Prosit!

Wypił, oblizał się i rzekł:

— Bogatym zostać łatwiej — niż bogatym pozostać! Pamiętaj to sobie chłopcze. Koń ma cztery nogi, a upada... człowiek ma dwie i łatwo może się potknąć. Ty zawsze do śmierci zbieraj i zbieraj.... i myśl o czarnej godzinie.

Kapitan uśmiechnął się pod wąsem z tej pośredniej szermierki. Wypił piwo z przyjemnością, podał pryncypałowi cygaro, hawański autentyk, sam zapalił drugie i przechylając się na krześle, rzekł swobodnie:

— Czarna godzina dla mnie, to na morzu dnie ciszy i bezczynności. Kocham moje bezbrzeżne oceany, ale rad jestem od czasu do czasu zobaczyć nasz stary Szczecin i odwiedzić „Rekina"

— Wiem, wiem! — zaśmiał się Matschke — Klasztorne życie okrętowe wynagradzasz sobie sowicie w Szczecinie. Chodzą wieści, że *bumlujesz* szalenie.

— Fałszywe wieści! — odparł kapitan z uśmiechem. — Moje lądowe wakacye są ściśle podzielone. Wyładowanie okrętu, rachunki w pana biurach i zabawa z kolegami w knajpie. Mało gdzie bywam!

— A u Williamów!

— Raz jeden — w dzień konfirmacyi panny Izy.

— I to wiem. Ho, ho, mam ja oko na ciebie. Przeciem ciebie nie komu a sobie wyhodował. Ile lat masz służby?

— Do emerytury daleko! Dwanaście zaledwie.

— Patrz! Bruck się wynosi! Zły, jak turecki pieprz. Dobrze mu tak. Zjadł mydło! A wtedy u Willmanów odmawiał ciebie odemnie, co? prawda? Obiecywał złote góry! Myślisz, że dotrzymałby? Aha!

— Nie myślałem o tem, bom nie kawał drzewa, albo worek bawełny, ażeby mnie kupowano!

— *Brav so*! Moje procenta mniejsze, ale pewniejsze. Powiedz-no — zebrałeś cokolwiek? Ile?

— Brakuje nieco do miliona! — śmiał się kapitan.

— Seryo — masz trzydzieści tysięcy?

— *Just* połowę. Co pan chce — to fundusz! Miałbym więcej....

— Żebyś poszedł do Brucka?

— Nie, żebym wykształcenie miał i naukę.... Zacząłem od szorowania pokładu „Margarety". Daleka to droga do kapitaństwa!

— Inni pokład całe życie szorują, ale ty masz głowę i ja cię wychowałem! Znam się na ludziach! Cóż tedy myślisz dalej robić?

— Dalej? Czy mi pan posadę wymawia?

— Takie brednie! Pytam, bo chcę twe myśli posłyszeć.

— Dalej, dalej? — powtórzył młody człowiek, jakby to pytanie raz pierwszy sobie zadawał. — Dalej będę pływał i pływał, dopóki starczy „Margarety, sił i towarwów dla pana....

— Cha, cha, cha! A na czemże będziesz pływał? Alboż nie wiesz, że stary Dokman obejmuje „Margaretę!“....

— Stary Dokman? A jaż co? — zawołał Lorens blednąc.

Zamajaczały mu w głowie fałszywe doniesienia, plotki, niewiara, utrata opinii.

— Ty, mój chłopcze, nie popłyniesz już więcej, chyba dla własnej przyjemności.

— Czym panu źle służył?

— Jakiś ty dziecinny i niecierpliwy! No pij i pamiętaj to sobie, że nasz cesarz zasłużonym swoim daje ordery, a stary Matschke z zasłużonymi swoimi daje kufel pod „Rekinem“! Prosit!

Trącili się kuflami, ale tylko kupiec toast spełnił, kapitan siedział posępny i niespokojny.

— Oto co jest! — mówił stary dalej. — Czy ty wiesz, że cały Szczecin drwi ze mnie z powodu ciebie? Stary Matschke — powiadają — klepki z głowy potracił. Jego kasyer to łobuz, jego sekretarz to złodziej i pierwszy komisant to osioł. Ma jednego człowieka z kapitalną głową i żelazną sprężystością, ale ten mu pieprz wozi i kawę, tego on na statku ryzykuje sto razy na śmierć i marnieć mu pozwala na pokładzie, dla głupiego ładunku indyga czy bawełny! I mają *recht*! Tylko, że stary Matschke nie zwaryował! — on głowę ma na swojem miejscu, on lubi, żeby projekt dojrzał, jak ananas. On człowieka próbuje nie rok — nie dwa — ale dziesięć. A jak wypróbuje, obrachuje, upewni się — wtedy stary Matschke tego człowieka zabierze z sobą na piwo i po drugim kuflu — powie: Słuchajno, Lorens, chcesz ty być moim kasyerem?

Kapitan ruchem desperackim potarł czuprynę.

— Panie Matschke....

— Czekaj, czekaj. Nietylko kasyerem.... i sekretarzem?

— Oceniam pańskie zaufanie, ale....

— Dajże mi skończyć — i wspólnikiem.

— Pan żartuje ze mnie! — uśmiechnął się Lorers z przymusem.

— 1.... zięciem! — dokończył kupiec i popił piwem.

Kapitan podskoczył na krześle, otworzył usta i wnet je zamknął, nie wydawszy żadnego dźwięku. Wyglądał tak, jakby na pełnem morzu ukazał mu się legendowy wąż i przemówił ludzką mową. Gdy po minucie ochłonął, spojrzał na kupca ze zgrozą w oczach. Posądził go o nagły obłęd. Ale Matschke niczem nie zdradzał anormalnego stanu. Oparł się łokciami o stół i w pół tryumfalnym, w pół zaciekawionym wzrokiem przyglądał się towarzyszowi. Śniade oblicze Lorensa poczerniało łuną oburzenia. Poruszył się żywo i wstał.

— Teraz pan już nie żartuje ze mnie, ale drwi! — wybuchnął — i dlaczego? Nie warto upokarzać tego, kto nie jest zarozumiałym! Nie jestem też na tyle ograniczony, żebym projekta, w stosunku do mnie co najmniej śmieszne! Służyłem panu wiernie, bo mi pan wierzył, ufał i szanował. Straciłem teraz to wszystko! Mogę odejść!

Sięgnął po czapkę i chłodnym ukłonem żegnał kupca, ale ten się porwał ze stołka i zatrzymał go za rękaw.

— *Gott im Himmel! diese Hitze!* Ależ chłopcze osłabła ci głowa w ostatniej podróży! Po paru kuflach tracisz przytomność! Siadajno, siadaj! Pozwólże dokończyć! Cóż to gadaj prawdę, nie podoba ci się moja Greta?

Lorens spojrzał z podełba nieufnie.

— Panie Matschke, to pytanie nie wchodzi w zakres moich obowiązków, ani służby, ani stosunków! — odparł siadając, bo go kupiec ciągnął z sił całych.

— Jakto — nie należy! Co to nie należy, — zaperzył się stary. — To ty myślisz, że ja pozwolę, żeby ze mnie drwił cały Szczecin, a moje jedyne dziecko zostało bez opieki po mojej śmierci? Żeby mój fundusz dostał się w jakie niegodne ręce? Co? nie należy? On mi to mówi! Także naiwny! Masz mnie za kretyna? Może ja nie wiem, po kim Greta oczy wypłakuje patrząc na morze? O fernambuk jej tak chodzi, czy o starego Dokmana? Więc mój spokój nie wchodzi w zakres twoich obowiązków? Cóż to, moja Greta chroma czy garbata, że się tak bronisz przed uczciwą propozy-

cyą? Chcę go za zięcia, a ten mi się rzuca, jakbym mu kazał kraść, czy rozbijać!

Pofolgowawszy swemu uniesieniu, stary kupiec odsapnął, popił z kufla nektaru i spojrzał na Lorensa, czekając odpowiedzi lub dalszego protestu, żeby znowu piorunował.

Ale odpowiedzi nie było.

Oburzenie kapitana opadło. Roziskrzone jego oczy przymknęły się i zgasły. Zaduma i smutek powłokły jego szczerą twarz. Zdawało się, że walczył w sobie z jakiemś ważnem a trudnem wyznaniem. Potem się znagła wyprostował i przesuwając ręką po zmarszczonem czole, spojrzał śmiało w oczy kupca.

— Czy pan wie, kto ja taki — panie Matschke? — spytał.

— Zdaje mi się, że był czas na dobrą znajomość! — zawołał stary dobrodusznie.—Dwa naście lat — ho, ho! Jesteś to samo, co i ja! Niemiec, luteranin, mieszczański syn — chłopak biedny — ale cały zuch! Wybrałem cię sobie na zięcia i basta!

Lorens wcale się nie rozchmurzał. Tym głosem zmienionym i twardym ciągnął dalej:

— Niczem z tego panie nie jestem, co pan wymienił. Ani Niemiec, ani luteranin, ani syn mieszczański....

— *O Herr Je! nicht etwa Franzose?*

— Nie, panie. Jestem tylko chłop prosty, i nie Niemiec, ale Litwin, katolik z za Niemna. Zrodziła mnie uboga chata i wykarmił czarny chleb. Nazywam się Wawrzyniec Karewis! Nie taiłem swego pochodzenia, ale o to mnie nikt nie pytał. Przed dwunastu laty, bosy i obdarty ładowałem w Memlu drzewo na „Margaretę". Piętnaście lat wtedy miałem. Było nas w chacie dwanaścioro, więc na mnie los padł, w świat iść za chlebem. Wprosiłem się na posługacza na pański statek. Miałem uczciwą twarz i świadectwo z gminy. Kapitan mnie przyjął — spytano jak się zowię! powiedziałem, a Laurenty zmieniono na Lorens, i tak się zwałem odtąd zawsze — jako posługacz ostatni, jako majtek, jako sternik, jako kapitana pomocnik, jako sam kapitan wreszcie przez całe te lat dwanaście. Sam wreszcie zapomniałem! Teraz dzień taki przyszedł, że to moje niskie pochodzenie i różność naszą powiedzieć muszę. Zięciem pana nie będę, ale uczciwym sługą zostanę.

— No dobrze, dobrze! Cóż więcej? Przeskrobałeś pewnie w swoim kraju? Zbiegłeś? Gadajże!

— Zbiegłem, panie, od biedy w chacie! Zagon nasz dwanaściorga wykarmić nie mógł. Najśmielszy byłem i najsprawniejszy, więc pewnego dnia ojciec mi dał garść miedziaków, matka trochę szmat i chleba, i poszedłem w świat szukać szczęścia. Stary ksiądz nauczył mnie czytać i pisać, rachunków i trochę po niemiecku, resztę sam sobie zdobyłem!

Matschke czekał wciąż czegoś strasznego, aż wreszcie zniecierpliwiony przerwał i rzekł:

— I to wszystko? I nic więcej? O je! I po to tylko taki wstęp okropny? Myślałem, Bóg wie, o jakich występkach!

Lorens nie słyszał. Zapatrzony przed siebie mówił po chwili dalej, zbierając dawne wspomnienia, zatarte kilkunastoletnią przerwą:

— Z początku ciągle wybierałem się z powrotem, czasem mnie w nocy nuda schwytała za gardło, świdrowała w oczach i sercu — płakałem jak dziecko. Karewiszki moja wieś się nazywa, po nas tam wielu Karewisów siedzi. Nie było jednak z czem wracać, co przynieść do chaty. A potem mi rozum przyszedł. Pojąłem, że w moich rękach i głowie nietylko chleb leży, ale stanowisko, dostatek, szacunek ludzki. Tamta ziemia rodzona nędzę mi dała i ciemnotę, a cudza przybrana wiedzę i dobro-

byt. Zostałem więc jej synem, ażem wreszcie zapomniał o tamtej....

Tego, czegom dzisiaj dostąpił, nie pożądałem zuchwale. Nie kradłem pańskiego zaufania, ani wprowadzony do domu pryncypała, ja chłop nie zamarzyłem o córce dobrodzieja! Służyłem panu, ale nie oszukiwałem w zaufaniu. Pan mnie wypróbować chciał teraz. Ale mi dosyć sinego morza i „Margarety“ i droższe mi te skarby pana, które mi są powierzone do handlu — powierzone ufnie w uczciwość, jak te, którebym dostał z córką pańską! Godzi się jej bogaty kupiec ze starem nazwiskiem, a nie obcy chłop innej wiary i z niskiego rodu.

— Czyś skończył nareszcie? Chwała Bogu! Wszystko, coś opowiadał — nie warte garści słonej wody! Chłop jesteś — i cóż to ma do rzeczy! Karewis równie dobry, jak Matschke! Katolik? I to do interesu nie należy. Niech cię Greta, jeśli zechce, nawraca! Pogodzicie się, a dzieci ochrzcicie jak wam się podoba! Religia — to fraszka. Grunt: uczciwość i dobra głowa! Potrafisz robić pieniądze! Greta cię kocha, tyś jej nie krzywy — mnie oboje w domu jesteście potrzebni. Płaciłem ci dosyć długo, teraz płacić przestanę. Ho,

ho! śmieje się Bruck, że nie mogę na domu swoim napisać: „Matschke i Syn“ — przestanie się śmiać, jak zobaczy „Matschke i Zięć“. —Za lat dziesięć połkniemy i Brucka, i jeszcze kilku innych! No zaraz knajpę zamkną! Daj rękę na zgodę, i wypijmy jeszcze po kufelku. Nim maj się skończy, sprawię wam wesele, i dam urlopu parę tygodni na miodowy miesiąc! Hę, myślisz, że mało? Ha darmo, w kupiectwie i dzień drogi. No, prosit!

— Panie Matschke — wyjąkał młody człowiek nieśmiało — tak się nie godzi! panna Małgorzata będzie mną pogardzać! Posądzi o chciwość i podłość. Będzie myśleć, że ją poślubiam dla pieniędzy....

— Mój chłopcze! to jej dowiedź czego innego po ślubie! Ha, ha, ha! śmieszni ci młodzi! Spytamy się jutro Grety, czy ci rada! Miała już dziesięć partyj od czasu konfirmacyi, a za każdą propozycyą powiada mi: „Ojcze kocham innego!“ No, posłuchamy, czy jutro to samo powie! Dobry ma gust dziewczyna! No, pijmy zięciu. Prosit!

Lorens niepewną jeszcze ręką kufel trącił. Tyle szczęścia nie mieściło mu się jeszcze w głowie. Ambicya jego karmiona pochwałami i ogólnem uznaniem, nie sięgnęła jednak ni-

gdy tak wysoko. Marzył może o córce jakiego kapitana, mniejszego urzędnika, nigdy o dziedziczce pryncypała. Panna Greta podobała mu się — teraz zdało mu się, że ją kocha śmiertelnie. Oszołomiony był i dumny! Jutro świat cały honorować go będzie, zazdrościć, chwalić, a panna Greta nie jeden, a sto mu da pocałunków. Mógł być pijanym, choć pił mało i oględnie.

— Prosit! — odpowiedział spełniając kufel.

Matschke czerwony i rozpromieniony, otworzył mu ramiona. Interes był skończony!

Ile potem pili jeszcze, już kupiec nie pamiętał. Lorens go zaniósł prawie do domu i oddał w ręce strwożonej panny Grety. Żegnając się już śmielej i zgrabniej ucałował jej czerwone usta i kwitnące policzki. Porozumieli się daleko prędzej i łatwiej jak z ojcem, i Lorens rozpromieniony, pyszny, trochę rozgorączkowany, zawrócił do portu.

Tak — interes był najzupełniej załatwiony.

Nad morzem ochłonął nieco, i począł porządkować doznane uczucia i wrażenia. Wielki i pyzaty księżyc wypłynął z toni i fantastycznie oświetlał szkielety okrętów. Mgła obję

ła go matową brudno żółtą obręczą i tumanami wzbijała się w górę, niby dymy niewidzialnego pożaru.

Na „Margarecie“ otworzono okienko. Wyjrzała przez nie głowa kapitana. Oburącz oparł się na desce i wpatrzony w księżyc, nucił półgłosem sentymentalną niemiecką balladę. Pierwsza strofa dźwięczała zajęciem i uczuciem, drugą śpiewał machinalnie — w połowie trzeciej urwał. Oczy jego przeszły z nieba na pomarszczone falami morze. Myśl ze swą szczególną szybkością snuła się, snuła — aż zabiegła w inne światy. Parę razy poruszały się usta, jakby próbując dźwięków i wreszcie wyszeptał z cicha:

— *Baltas Jura!* (białe morze).

Fale podbijały jedna drugą, biegły, goniły, niosły garście morszczyn i okruchy portowe i coś gwarzyły do marynarza. Żegnały go zapewne, bo już jutro rozstanie się z niemi na zawsze. Nie będą mu te fale śpiewać i wyć jak przez lat tyle. Opuści sine gościńce i dalekie widnokręgi. Nie będzie już walczył i zdobywał — będzie zbierał pieniądze.... Zdawało mu się jednak, że Baltyk zmienił swą mowę w ten ostatni wieczór, że go nie żegna, jak dotąd hucznie i szumnie:

— *Gruess' Gott — Camerad!*

Ale szeptał przeciągle i smutno:

— *Su Diewu jaunis — su Diewu!* (z Bogiem młody — z Bogiem.)

Zastanowił się. Nie Baltyk to gadał — i nie teraz w jakimś zakątku pamięci został ten wyraz — ostatni, jaki za nim pogonił od gromadki swoich, co go odprowadzali za wieś na rozdroże — ku Niemnowi — lat temu dwanaście. A przez te lata już nigdy tej mowy nie posłyszał. Po niemiecku mówił i myślał, po niemiecku śpiewał i klął, po niemiecku pacierze odmawiał i grzechy wyznawał u świętej spowiedzi! Teraz nieruchomy, zgarbiony, z zagasłem cygarem, patrzał w jeden punkt przestrzeni. Zdało się, że usypia. On czuwał. I myśl jego w labirynt dziecinnych wspomnień zstępując, rozgrzebywały rumowiska pamiątek, dziwiła się wyblakłym obrazom, echom jakichś pieśni, odnajdywała twarze, uśmiechy, dźwięki dawno przebrzmiałe. I wreszcie kapitan Lorens zginął w tem otoczeniu, a odnalazł się wyrostek bladawy, bosy — na klaczce wilczatej, zaganiający długiem biczyskiem wioskową stadninę. Głodny był i zmęczony. Za rzeczką widział ogień w ogrodzie Karewisów pod lipą starą. U ognia tego

czekano go na wieczerzę, na pacierze, wyglądała matka. A on o zmierzchu do chaty dążył — do swoich.

— Do swoich! — zaszemrało jak echo w kajucie.

Głowa kapitana opadła na ręce i dojmująca tęsknota objęła go całego.

Do swoich.... Choć na godzinę, na chwilę marną! Do ojców! Tyle lat przeszło, aż zapomniał. Do swoich!

Wyprostował się. Co wart podziw jutrzejszy Szczecina, co wart jutrzejszy tryumf. Tam daleko podziw dopiero będzie i duma! Tam, gdzie go widziano głupim i biednym — w kamizelce ojcowskiej na grzbiecie — pastuchem bosonogim. Tam niech go teraz ujrzą dorosłym i bogatym, w cienkiej odzieży, przy złotym zegarku, z pierścionkiem zaręczynowym najbogatszej Szczecińskiej dziedziczki.

Zabiło mu serce gwałtownie.

Pojedzie! Widzieli go nędznym, zobaczą bogaczem — żegnali w biedzie, powitają w chwale! Dary im piękne zawiezie, ojców o błogosławieństwo poprosi — papiery swoje z parafii weźmie do ślubu z Gretą. Będą go na ręku nosić, rówieśnicy zazdrościć, a wieś cała opowiadać sobie będzie o nim długie lata.

Po licu jego snuła się duma wyższości, rozkosz świetnej karyery, jasne odblaski wewnętrznego ukontentowania. A pragnienie i pamięć raz rozbudzone i wskrzeszone, stawały się namiętnością, potrzebą, gwałtem. Wirowało mu w głowie, latało ogniem w źrenicach. A Bałtyk jego rodzinny o ścianę kajuty uderzał, i jakby zachęcał i na drogę tę szemrał:

—*Su Diewu jaunis, su Diewu!*

II.

Siną, fantastycznie pogiętą tasiemką płynie Kirszniawa, rzeczułka drobna i płytka dążąc przez wzgórza i doliny, popod szaremi wsiami do Dubissy. Tam, gdzie za dworem w Palandrach zaginała się w szerobie półkole, oddzielała grunta pańskie od zagrod i pól chłopów Karewskich.

Wieś rozrzucona była szeroko i bezładnie na szerokiej przestrzeni, od zagrody do zagrody zygzakiem biegły twarde ścieżki, rozdzielały je płoty i zagony warzywa, otulały je puszyste sady. Nad rzeką gościniec się wił, poznaczony słupkami z nazwiskiem gospodarzy obrzeżony ciętemi kulisto wierzbami, strzeżony co kroków kilkaset przez kapliczki oszklone, pełne pierwotnych rzeźb świętych. Ście-

żyny twarde od chat biegły też do gościńca, inne wężykiem wyślizgiwały się w pola wioskowe, inne szły przez kładki i wielkie głazy na rzece w stronę dworu. Mrówcze to były drożyny, pracą wydeptane.

Za wsią od gościńca na lewo zbiegało się ich mnóstwo, tworzyły już nie szczelinę w zieleni, ale szeroką drogę. Te wiodły do kościółka z polnych kamieni, stojącego jak na strażnicy wsi. Sioło wyglądało dostatnio i ludnie.

Z gościńca wzrok z przyjemnością obejmował zagrody te i sady, żywą wodę i czerwony dach kościoła, zajmował się oryginalnemi krzyżami Żmujdzi, bardziej do monstrancyi niż do krzyżów podobnymi, a zatrzymywał się wreszcie ciekawie na starym sypanym kurhanie za wsią, Gedyminowych może bojów zabytku, który teraz gęsto porosły dzikie róże i tarniny.

W zagrodach tych lud mieszkał rosły i dorodny. Na pozór wesół i swawolny nawet, krył w głębi dusz niespożyty hart, wielkie tajemnice, niezatarte tradycye. Sprawni byli do rolnictwa i rzemiósł, skrzętni i pracowici. Hodowali lny i pszczoły, chodzili z dostawami lądem i wodą, wyrabiali barwne samodziały,

Karewisów we wsi było dziesięć rodów, spokrewnionych i sąsiadujących o miedzę. Rozrodzili się nadmiernie i zubożeli w skutek tego. Młodzież i na schwał piękna i wybujała szła gęsto i często w rekruty — sługiwała po dworach, a jednak w chatach dziatwa się nie przebierała, dostatek nie przybywał, zagon się rozdrabiał.

Kołodziej Jan Karewis dla rozróżnienia przezwany Didelis (wielki), przodował między krewniakami ilością rodziny, biedą, pracą i nabożeństwem. Miałbo za kogo i o co się modlić. Prosił o siły dla siebie do pracy, prosił za czworgiem dzieci i żoną staruszką, którym dział wydzielono na cmentarzu za kościołem, prosił za trzema zamężnemi córkami, za dwoma synami, co się pożenili i gospodarzyli wspólnie, wzdychał do Boga za Florkiem, co go wzięli w żołnierze, daleko aż do wołogodzkiej gubernii i za najmłodszym Marcinkiem, co stado pańskie pasał za Kirszniawą. I prosił jeszcze za jednem dzieckiem, o którem już nawet nie wspominano w chacie, tak dawno w świat poszedł — i przepadł bez wieści. Czasem też prosił kołodziej o wiele, wiele pieniędzy. Marzyło mu się, jakby wtedy synów rozdzielił i obudował, ziemi dokupił, krów i

koni rozhodował, Marcinka do szkół oddał — możeby na księdza wyszedł, a Florkowi posłał zapomogę na chleb biały i buty wygodne. A tymczasem w domostwie Didelisów siekiera jego pracowita stukała od świtu do nocy, a kark jego od pracy i lat garbił się coraz więcej, a z piersi zmęczonej coraz częściej stękanie się dobywało, lub ciche westchnienie... .....

.....

Było to lato — sama kośba. Pod napół spróchniałą już stuletnią lipą, osłaniającą *numę* (dom) Didelisów, stary Jan ciosał suchą dębinę na koła. Z chaty dorośli, kobiety i wyrostki poszli do siana. Od łąk rozbrzmiewały chóralne śpiewy i wesołe okrzyki — we wsi natomiast panowała wielka cisza. Z dala tylko od jednej z uboższych zagród, dolatywał monotonny stuk tkackiego warstatu, a w sąsiedztwie w sadzie wiśniowym ktoś gwizdał z cicha. Wiedział Jan stary, że warstat stukał u Jodasów pod pracowitą dłonią Rozalki sieroty, że gwizdał żołnierz kaleka, krewniak jego — dozorując pasieki. A on nasłuchując pieśni dalekiej, przypominał młode lata, gdy w chórach prym trzymał a w zabawie przodował. Teraz zostawiono go z kalekami we wsi, i oddano pod dozór troje wnucząt najmłod-

szych. Jedno spało w kołysce zawieszonej na nizkiej gałęzi lipy, dwoje siedziało na progu chaty bawiąc się z łaciastym kotem. Słońce schylało się na zachód. Niebawem już dotknie wierzchu Pitkalnisu (kurhanu) i skwar swój purpurą złagodzi. . Niebawem też wieś się zaludni i spoczną pracowite ręce.

Daleko na gościńcu kołatał dzwonek pocztowy. Kołodziej nie podnosząc oczu westchnął. Od Ejragoły szła poczta — wiozła pisma różne, listy i papiery do gminy. Pisma nie dla niego były, i listów nie miewał, chyba żołnierski, żałośny i krótki od Florka, któremu tam na kraju ziemi śniła się Kirszniawa i rodzinna chata. Ale papierów urzędowych bał się chłop, bo tam bywały pozwy do sądów, rozkłady podatków, rozkazy różne — ciężkie. Dzwonek się zbliżał, skręcił z gościńca między zagrody, rozbrzmiewał donośnie między ścianami i sadkami. Nie do gminy to była droga, ani do oberży ani do plebanii Więc gdzież?

Kołodziej robotę opuścił, i zasłaniając ręką oczy od słońca, patrzał w tę stronę. Bryczka ukazała się właśnie z za pasieki sąsiada, zbliżyła się do jego chaty i stanęła. Ktoś wysiadł z niej. Pan jakiś młody, brodaty w ja-

snym eleganckim paltocie, miejskim filcowym kapeluszu. Przez ramię miał torbę skórzaną, w ręku laskę o złotej gałce, na rękach rękawiczki jasne. —

Kołodziej podszedł parę kroków. Ten obcy może zbłądził. Zapytać go czego chce! Oto żywo otwiera furtkę i wchodzi na dziedziniec. Stanęli naprzeciw siebie, i sekundę patrzali w oczy. Wpadłe źrenice chłopa rozszerzały się zmięszanem uczuciem trwogi, niepewności i uszczęśliwienia. A wtem przybysz kapelusz i laskę o ziemię cisnął, i porywając go za szyję zdławionym głosem wyjąkał:

— *Tewe!* (ojcze).

Kołodziej ramiona roztworzył. Zdało mu się, że umarł i umarłych wita.

— Wawer! Wawer! Synku mój! Synku!

I tak w objęciu zapłakali obadwa. Aż nagle młody się odchylił i spojrzał na drzwi chaty.

— Ojcze, gdzie matka? — zagadnął.

— Umarła.

— A ksiądz stary?

— Umarł.

— A siostry?

— Za mężem.

— A mój bliźniak Łukasz?

— Umarł.

Umilkł młody, i po chwili, bojąc się pytać o każdego z osobna, rzekł:

— To któż się ostał z moich, com żegnał?

— Ośmioro żyje z tobą, com za umarłego miał. Nie ma u Boga odmowy, kiedy mnie wysłuchał, i ciebie do *numy* odprowadził! Z dalekaś ty?

— Z daleka. Amerykę widziałem wiele razy, i wszystkie morza świata znam. W Prusach, ojcze, kapitanem byłem dotąd!

— A toż chyba swoich nie spotykałeś, żeś i mowy mało co zapamiętał. Szczęścił ci Bóg — widzę! — A czemuś wieści nie przysłał tyle lat?

— Wolałem z wieścią sam przyjechać. Szczęścił mi Bóg, bom i ręce wyrobił i głowę. Na szerokim świecie ciężko się dobijać, i nie jeden tam zginął, gdziem ja dał sobie rady.

Takie tam burze, co gwałtem życia ludzkiego chcą, takie prace, co biorą i dnie i noce, takie choroby, co najtęższego walą jak dziecko. A świat tam pełen mądrych ludzi i bogatych kupców. A ot nie wzięły mnie burze i choroby, nie zabiła praca, mądrzy ludzie mnie szanowali, i obracałem milionami bogatych kupców! Takim ja się stał!

Lice jego opromieniła duma i pewność siebie.

Stary ojciec zdziwiony, rozjaśnione oczy wlepił weń, i słuchał jak baśni, jak dziwów. Jegoż to Wawer był, w tejżeż to chacie starej taki jasny pan się urodził i wyhodował?

— A przeto trafiłeś do domu — rzekł.

— Trafiłem. Toć mi nie nowina podróżować. Trafiałem do Afryki i do Indyi, choć tam gościńców nie ma, ani kolei. Jakem sobie postanowił was odwiedzić, takem do Kowna przyjechał, a stamtąd poczta mnie wiozła. Kraju nie pamiętałem, ale gdym nasz Piłkalnis zoczył, to mi się wszystko wydało jak żywe, i jużem nie zmylił drogi do chaty.

Tylkoś mowy prawie zapomniał..

— Nie dziw! Toć to taka tylko chłopska mowa. Śmiali się, gdym po swojemu bełkotał. Prędko się nauczyłem po niemiecku, a i po angielsku umiem. Wiadomo, kapitan musi języki posiadać, bo mu trzeba i z ambasadorami gadać i z wysokimi urzędnikami obcować.

— A z kimżeś ty po swojemu rozmawiał?

— Ta z nikim! Raz w Ameryce zdarzyło się swego spotkać. Przyszedł na okręt, i gazet

pak mi dał, żebym do Hamburga dostawił. Ot tak waryat. Nie zechciałem!

— Czemu?

— Ot, albom to ja socyalista, czy chłystek! Będę bibułę przewoził! To nie honor u nas w kupiectwie.

— Toś ty kupiec?

— A cóż! Ojciec myśli z próżnemi ręka mi przyszedłem do was w odwiedziny?

Stary Jan już na syna nie patrzał, ale w ziemię.

— Ja tylko ciebie czekałem, i tylko ciebie przyjmuję — odparł spokojnie, ale bez radości.

W tejże chwili niemowlę w kołysce kwilić zaczęło, więc dziad wstał i jak umiał zaczął je uspokajać.

— Czyje to? — zagadnął Wawer.

— Andrzejowe. Wawrzyńcem nazwali na twoją pamiątkę.

— To Andrzej żonaty?

— Żonaty i Piotr, to Piotrowe tych dwoje większych.

— To u was znowu w chacie pełno i jednaka bieda?

— A cóż! tak Bóg dał!

— Bo nam wszystkim w świat iść potrzeba!

— A któż tu ostanie?

— A choćby nikt! Czego żałować. Albo tu los czy dostatek. Ot — gnicie!

Spojrzał po podwórzu i gumnie, po omszałym dachu chaty.

— Czego żałować! — powtórzył — mieszkacie, jak na świecie i bydło nie mieszka. Mordujecie się dla kawałka chleba, zarabiacie kopiejki, chodzicie boso. Albo to życie! Ot na świecie domy jak szklanki, jak trud, to daje zbytek, jak zarobek, to tysiące! Ot byle głowa dobra i ręce zdrowe! Tam warto pracować.

— A tu warto umierać! — rzekł stary uroczyście. — U nas teraz książki różne piszą, po swojemu, dla chat. Tam pisze, jakie to wojny i niedole nasi przed wiekami odbyli, a przecie nie odeszli z ziemi, nie wybyli się wiary, mowy i obyczaju. Jakoż my teraz możemy to wszystko rzucić, czy to się godzi!

— Godzi się wszystko, co uczciwe, by sobie los poprawić!

— Toby nas tak ksiądz uczył, a on nie uczy.

— Boć to nie księża rzecz!

— Kiedy nie księża — to i nie Boża. Każdy człowiek Boży żołnierz! Postawił go gdzie Bóg — to on tam stać powinien!

Młody mimowoli lekceważąco się uśmiechnął. Nic już więcej nie rzekł. Zrozumiał, że jego kosmopolitycznych wyobrażeń chłop ciemny nie pojmie i nie oceni.

— A kogoż wziął Andrzej? — spytał po chwili milczenia, zaglądając do kołyski.

— Jodasową Marynkę, sierotę po cieśli Jakubie.

— A Piotr?

— Szlugurisa Onutę.

— A nasza Barbara i Marta gdzie poszły?

— Do Butkisa i do Szwedasa.

— A czemuż to chata pusta?

— Ot przy sianie wszyscy. Ucieszą się z ciebie, ucieszą. Już nawet się nie spodziewali ciebie kiedykolwiek zobaczyć! tylko ja czekał!

— Przywiozłem wszystkim podarków z za morza.

A ot i wracają, zdaje się — rzekł stary nasłuchując.

Od łąk, zrazu na jeden głos, potem chórem, podniosła się pieśń donośna i płynęła ku wsi. Obadwa wstali. Wawer szyję wycią-

gnął, i łowił słowa jeszcze dalekie i niewyraźne.

— Poznajesz? — spytał ojciec!

— Nie!

— To kosarzy śpiew: „*Vali Dalgiale*!“

— Zapomniałem. Śpiewali my inne, a po teatrach tom się rozmaitości nasłuchał.

Stary chmurno spojrzał na syna. Twarz jego zawsze posępna stawała się twardą i zawziętą.

— To przypomnij, naszej pieśni po teatrach nie rozwożą.

Śpiew się zbliżał dochodził z za Piłkalnisu, obijając się o rzekę i dalekie bory. Teraz już wyraźniej doleciały słowa do Wawra, który cygaro zapalił, ręce w kieszenie włożył i słuchał z miną pobłażliwej wyższości:

Hulajże koso, hulaj!
Do kwiatów się przytulaj.
Trawa sianem nie będzie,
Nim nie muśniesz jej w pędzie.
Żwawo zwijaj się ramię,
Cięcie kosy nie złamie.
Hulajże koso, hulaj!
Do kwiatów się przytulaj!

I nagle zbudziła się jego pamięć, i zelektryzowany chórem swoim, uśmiechnął się i zwracając do ojca, wesoło rzekł:

— A ot pamiętam, i zaśpiewać razem potrafię. Wyjdźmy na ich spotkanie na drogę. Czy oni mnie poznają?

Wyszli. Z dala na drodze widać było gromadkę z grabiami na ramieniu. Mężczyźni mieli jasne samodziały, kobiety barwne spodnice i gorsety. Dziewczęta miały rutę w warkoczach, a mężatki malinowe czapeczki jak kwiaty.

Idący na przodzie mężczyzna rosły i ogorzały, trzymał prym w chórze.

— To Szliguris Jonas! — rzekł stary — w ich rodzie zawsze prym trzymają. Piotrów szwagier, pomaga nam dzisiaj! pustak i paliwoda okrutny.

A Szliguris czapkę na ucho przesunął, otarł kraciastą „nosówką“ pot z czoła, i zaintonował drugą zwrotkę:

Kto nie wyszedł wśród rosy
I nie skąpał w niej kosy,
Temu suchą wiatr trawę
Sprzątnie, jak przez zabawę.
Hulajże koso, hulaj!
Do kwiatów się przytulaj!

Już o krok byli od eleganckiego pana i urwali śpiew, patrząc ciekawie to na starego, to na tego cudzego w miastowej odzieży.

— Gość nam przybył! — rzekł stary Karewis — nie poznajecie go?

Andrzej i Piotr podnieśli uznojone, ciemne twarze. Obcy przystąpił do nich i za szyję objął całując.

— A toć Wawer chyba? — spytali nieśmiało.

— A on! — zaśmiał się stary przez łzy.

— Wawer, taki pan! Wawer! Wawer! — rozległy się zmięszane radośne okrzyki.

Gromadka się zgmatwała, otoczyła w około kapitana. Tak go wiedli wśród siebie, ściskając, wołając, pytając.

— Skrzypki sprowadzę do chaty i bal urządzimy! — krzyknął Szliguris, grabiami wywijając młynka.

— Jeść mu trzeba! — troskały się bratowe, rade biedz naprzód do chaty, i nie chcąc go opuścić.

— Po Marcinka na dworskie łąki skoczę! — mówił Piotr.

— Jeść dajcie i Marcinka sprowadzić trzeba! — zdecydował stary — ale co skrzypiec, to wara. Jeszcze on w kościele nie był, ani na mogiłach nie klęczał. Potem uciecha!

Więc Szliguris nie wiedząc jak okazać radość, wysforował się naprzód i swym potężnym głosem zaśpiewał:

Miergajtie mano	Dziewczyno moja
Tekek uż manu	Weź mnie za męża.
Sajtu ne zusiu	Biedy nie doznasz,
Varga ne busiu!	Smutną nie będziesz!

A przechodzili właśnie obok zagrody Bakutisa i w ogródku mignęła hoża twarz dziewoi. Szliguris gwizdnął przeciągle i przesłał jej ręką całusa. Kobiety się oburzyły, stary się zachmurzył, a Wawer ze śmiechem swawolnego chłopca po ramieniu poklepał.

Dotarli swojej zagrody, która zawrzała ruchem i weselem, aż się dziwiły stare ściany chaty, aż się bociany na stodole spłoszyły, i pierzchły wróble ze strzechy. A po uczcie obfitej, na którą wydobyto co najprzedniejsze specyały z komory i swironka, na stole ukazały się tłumoki Wawra, a z nich poczęły płynąć i przechodzić do rąk rodziny upominki drogie. Jedwabne chustki i korale, srebrem nabijane fajki, noże o zagranicznych rękojeściach, jaskrawe szale i cienkie suknie.

Obdarowani cieszyli się, pokazywali wzajem prezenta, gwar rósł, śmiechy i wesołość wzbierały jak morze. A wśród tej gorączki

i ruchu, stary Karewis sam jeden milczał, siedząc w kącie izby za stołem i pykając z fajeczki tytoń, patrzał bystro, badawczo w twarz tego pięknego pana, co mowę kaleczył, o nic nie pytał, a tylko swe dzieje i tryumfy opowiadał z widoczną dumą.

Z pod brwi namarszczonych patrzał i milczał.....
.....

III.

Noc była. Nad Kirszniawą wstał srebrny księżyc i ubielił ziemię cichą umajoną latem.

Spokój uroczysty zaległ okolicę. Nie było w powietrzu wiatru, tylko słabe, ciepłe tchnienie roznosiło z pól i łąk zapachy siana i zbóż, a od rzeczki rzeźwiący podmuch i świerkanie błotnego ptactwa. Wieś spała.

Około północy drzwi u Didelisów przemknęły się lekko. Na podwórze wyszedł Wawer. Sen go nie brał na stosach pierzyn w alkierzu, gdzie mu bratowe usłały, według ich mniemania królewskie łoże. Wyśliznął się cichaczem, minął izbę duszną pełną ciężkich oddechów i chrapania całej rodziny, minął sień i wydostał się wreszcie na powietrze rzeźwiące i

balsamiczne. Oparł się o wrótka zagrody i paląc cygaro rozmyślał zapatrzony przed siebie.

Kirszniawa płynęła opodal, a księżyc stał za nią, rzucając przez migotliwą toń srebrną ruchomą drożynę. Ognisko świeciło za rzeczką, czerwone, osnute dymem, i rozlegały się tony skrzypiec nieumiejętne i często fałszywe. Dworskie łąki tam się już słały i Marcinek przy koniach pańskich światło palił, muzyką sen sobie z powiek spędzając.

Wawer uśmiechnął się. I on znał te łąki, i takie noclegi na zroszonej trawie i dnie na skwarze. Jego to przeszłość była, jegoby dolą została, żeby precz stąd nie poszedł. Śmiał się teraz z tego, śmiał szyderczo. Śmieszył go ten ciasny horyzont pracy i pojęć, te mrówcze zabiegi, drobiazgowe troski, zacofanie, to całe życie zamknięte między pólkiem, rzeczką, dworem, kościołem i miasteczkiem o mil parę. Potem go nuda ogarnęła. Nuda za miastem, za towarzystwem, za zabawą. Hulałby teraz w Szczecinie, a wieczorem Gretę całował na zawiść i zazdrość całej rzeszy młodzieży. Tutaj nie zrozumieją nawet w całej doniosłości, jaki on wielki los wygrał na loteryi życia, nie potrafią nawet zazdrościć. Co on tu robić będzie przez ten tydzień, który sobie na pobyt zamie-

rzył, jak wytrzyma duszność w chacie i z kim będzie rozmawiać?...

I czego oni tutaj siedzą do tej piędzi roli niewdzięcznej przykuci.- Za granicą daleko całe obszary miećby mogli i dostatek. Czemu nie idą?...

Do chaty wracać nie miał ochoty, noc była tak jasna i ciepła. Ciągnęło go na przechadzkę, otworzył furtkę i wyszedł.

Wzdłuż płotów drożyny biegły od zagrody do zagrody. Szedł i rozpoznawał każdą: bogacza Szlugurisa i krawca Józefa, dalej Szwedasa obejście i gumno Rafała zwanego brodaczem. Tak dotarł gościńca nikogo nie spotkawszy. Spali kamiennym snem wszyscy i tylko psy stróżowały, ujadały zajadle. U zawrotu na trakt przystanął.

Drogi się tu rozdzielały, do dworu przez most prosto, na Piłkalnis w lewo — na prawo do mogił i kościoła. Figura święta pod daszkiem między czterema słupami strzegła rozstaju. Święty Sebastyan to był, strzałami pokłóty, nagi skrępowany u drzewa kaźni. Rzeźbiarz-samouk zrobił mu twarz wykrzywioną i groźną, a malarz nie żałował farby na krew męczennika; umalował nią całe ciało, powrozy i lica zbolałe. Był to starodawny patron

Karewiszek. Wawer pamiętał go z dawnych lat, ale teraz ktoś figurę i kapliczkę świeżo odrestaurował i odnowił, a pobożni okryli wiązkami ziół polnych i jaskrawych kwiatków z chłopskich ogródków. I Wawer uchylił kapelusza. Ręka jego dawnym obyczajem dotknęła czoła i piersi.

W tejże chwili, na moście od dworu rozległy się ludzkie kroki, i na plac pod figurą, jakby od księżyca wyszedł chłop olbrzymiego wzrostu. Nie spostrzegł kapitana, stojącego nieco na uboczu, ale ten ujrzał wyraźnie jego twarz, gdy zdjąwszy czapkę mimo przechodził. Twarz to była ostra, chuda, o wydatnych policzkach, otoczona kruczym włosem. Wawer poznał tego człowieka. W szkółce kolegowali niegdyś i pasali razem trzodę.

Był to Krzysztof Jodas, brat Andrzejowej Maryjki. Snać wziął rzemiosło ojca i od pracy wracał, bo ciesielski topor miał za pasem, przez ramię torbę z mniejszemi narzędziami.

Kapitan posunął się żywo naprzód. Chłop na widok obcego stanął i spojrzał z podełba zdziwiony.

— Nie poznajesz mnie, Krysztof?

— Nie!

— A Didelisów Wawra nie pamiętasz?

— To ty! Anibym poznał. Skądże?. Myślałem, że jaki Niemiec, rządca do Szwedasa Magdalenki się podkrada.

— To się u was widzi?

— Oj oj! a ty skąd?

— Zdaleka, ze świata!

— A dawno?

— Dzisiaj wieczór, a ty skąd wracasz?

— Z roboty, ze dworu w Polandrach! Tydzień jakem poszedł!

— Na gospodarce nie siedzisz?

— Niby to gospodarka! Jest na czem siedzieć, chyba psu albo kotowi! — odparł chłop gorzko, ramiona wznosząc i przed siebie ręką wskazując.

— Ot tam pod samą górą pół wiorsty mam płotu, a za płotem rośnie trzy kopy zboża i stoi chata, co chyba jeszcze polskie panowanie pamięta. Tyle mojej gospodarki...

Ponury był i ciągle zamyślony. Jakaś troska i zniechęcenie wyzierało mu z twarzy i ruchów. Przywitał ledwie dawnego towarzysza i prawie nań nie patrzał.

— Toście zbiednieli? — badał Wawer.

— A juści! Inni się zbogacili. Ojciec zmarł, jakem w sołdatach był pierwszy rok. Niby to wasz Andrzej miał się ziemią opieko-

wać i Maryjka, ale Andrzej to takie ciasto! Ten się worał, to tamten uchwycił, a on nic! Mnie sześć lat trzymali w Kijowie w artyleryi, a Rozalka w Kownie służyła u profesora jakiegoś. Płoty popalili, chata się rozwaliła, chudoba pomarniała. Zeszłej jesieni wróciłem, Bóg wie po co? Terazby trzeba było siedm lat po sądach się włóczyć, żeby odzyskać, a może i nic nie wskórać. Plunąłem na wszystko i chciałem znowu do pułku wracać, na drugą służbę. Płacić mi mieli. Ale właśnie dziewczyna wróciła ze służby i nasiadła się na mnie! A nie jedź, a zostań, a gdzie ja się podzienę! I zostałem w złą godzinę!

— Choć jeden malkontent! — pomyślał Wawer.

Krysztof nieruchomie patrzał przed siebie, a potem spytał go obojętnie:

— A tobie dobrze się wiodło?

— Dobrze! Tam kto chce dolę znajdzie.

— Pewnie! Bywają tacy, co im się wiedzie!

— Każdemu, byle szukać i starać się umiał. W Ameryce za to, co twój topor wart, dostaniesz ziemi więcej jak całe Karewiszki.

— Naprawdę? Gadają tak, ale ksiądz z ambony odradza, i we dworach o nędzy za oceanem prawią.

— Bo żeby wszyscy wyszli, ksiądz by nie miał komu kazać, a dwór robotnika stracił.

— A no pewnie! — chłop zamyślony potwierdził.

— Ot i na mnie patrz, głupi i nagi wychodziłem, a teraz i rozum mam i dostatki. Tak każdy tam może, byle się postarał.

— A teraz wracasz do chaty?

— Uchowaj Boże! w odwiedziny przyszedłem. Tam mnie interesa czekają wielkie i żenić się będę z bogatego kupca jedynaczką!

— A tęsknota cię nie żarła?

— Z początku tom się trapił, ale potem.... ktoby tam zło pamiętał!

— Mniebo nuda dniem i nocą ścigała tam w pułku. Ni miejsca, ni wczasu znaleść nie mogłem! Ot głupia dumka, głupia pamięć!

Ręką machnął, torbę na plecach poprawił i wyciągnął dłoń do towarzysza.

— Bywaj zdrów! Jutro przy kościele się zobaczym. Na długoś przyjechał?

— Na tydzień. Jest tu jaka oberża, żeby się zabawić i pogadać?

— Jest. Ot tam przy gościńcu. Siedzi tam Butkis, sołdat, co ludziom prośby pisze i do procesów namawia. Wieczorem tańczy, kto ma oczotę. Ja nie, ale pogadać i owszem!

— To do zobaczenia!

— Do zobaczenia!

— Rozeszli się. Cieśla ciężko i powoli ku chacie, Wawer z cicha gwiżdżąc ku mogiłkom i kościołowi. Ostatnie zagrody wyminął i dróżką wąską pod górę wchodził. Przed laty, codzień zimą biegł tędy raukiem na naukę do księdza, więc znał każdy kamyk i wybój. Zdziwił się więc ujrzawszy przy drodze tej chatynę samotną, której dawniej tam nie pamiętał. Wznosiła swe cztery niskie ściany wśród pustego wygonu, nie miała ogródka i płotu, sterczała samotna jak sierota między wsią a plebanią.

Wewnątrz świeciło się jeszcze, a na ławeczce pod ścianą czerniały kształty siedzącego człowieka. Dostrzegł zdaleka wędrowca i uważnie mu się przypatrywał. Miał twarz bladą i cierpieniem strasznie wyniszczoną; otaczały ją długie, jasne jak len włosy. Wyglądał zajęty i jakby niespokojny, wciąż oczy w obcego wlepiając badawczo.

— Niech będzie pochwalony! — ozwał się wreszcie z cicha.

— Na wieki! — odparł Wawer o krok się zbliżając, wahający, niepewny, ale z duszą pełną przeczuć raczej niż pamięci.

— Kogo szukacie? — spytał właściciel chatyny.

— Rufin! — szepnął Wawer nieśmiało.

— Ja sam! Czyście z Ławeliszek do mnie przysłani?

Wawer nie odpowiedział. Stanął blisko i wtedy dopiero postrzegł, że siedzący miał wklęsłe piersi i garb, nogi szpetnie pokrzywione i bezwładne, a obok leżały kule kaleki.

— Rufin! co się z tobą stało — zawołał zgrozą zdjęty.

— To ty Wawer! Słyszałem od Szlugurisa, żeś wrócił. Witaj na starej ziemi znowu!

Podał mu dłoń i boleśnie się uśmiechnął.

— Nie poznałem ciebie i pytałem czyś z Ławeliszek. Miał stamtąd od proboszcza do mnie być posłaniec. Ot! zmieniłeś się bardzo, takiś piękny!

— A z tobą Rufin co?

— Ze mną stało się nieszczęście. W Wilnie u kamieniarza uczyłem się rzeźby i rznięcia. Taki wróciłem.... Jak dąb byłem chłop,

a trzeciej wiosny na wozie ze szpitala prosto przyjechałem. Ojciec, organista, umarł tymczasem, ale ksiądz stary żył, więc mnie przyjął i zapłakał. Ja to i płakać już nie mogłem i nikt mnie nie poznał. I nie dziw!....

— Jakże to się stało?

— Z wypadku. Fura kamieniarska przygniotła. Nogi były pogruchotane, i żebra i obojczyk. Sam nie wiem, co dalej było, i sam nie wiem, jak jeszcze żyję.

— Jakże ty sobie radzisz, ty biedny?.. — spytał Wawer wielkim żalem zdjęty.

— Bóg radzi i dobrzy ludzie! Ojciec trochę grosza zostawił. Na chałupkę tę starczyło. Ręce zdrowe zostały, więc jąłem rznąć świętych figury, i krzyże nasze wycinać misternie i malować. Teraz znają daleko „diwodirbisa" (rzeźbiarza kościelnego), z Karewiszek i z odległych stron schodzą się do mnie ludzie. To po ofiarę do kapliczki, to po nagrobek drewniany, to po krzyż od choroby. Robotę Bóg dał i duszę uciszył. Zrazu nijako szło. Dusza chora była, więc i ręce słuchać nie chciały, a com człowieka zdrowego zobaczył, to żal mnie jak robak kąsał. Ale wiosna przeszła jedna i druga, pozdrowiałem od swego wiatru i słońca, a ksiądz póty goił duszę, aż się zabli-

źniła i zcichła. A testamentem zapisał mi „Żywoty Świętych" i książkę o rzeźbie, ten stary proboszcz, coś go znał. Takem się został po ojcach sierota i po marzeniach o sławie sierota, i po ludzkich pragnieniach i doli sierota, i po nim sierota. Alem już teraz zdrów na duszy, byle na ziemi swojej co dobrego zdziałać i kości w nią położyć, i byle ludziom swoim usłużyć. I kaleka i zdrów to potrafi! I już wielki teraz spokój we mnie wstąpił.

— Nikt ci swój nie został?

— Nikt. I ty się swoich nie dorachowałeś, bracie, towarzyszu stary. Jakże ci było na obczyźnie? Mówią, żeś bogaty i pan. Chwała Bogu!

— Zebrałem dziesięć tysięcy dla ojca. Za tydzień znowu pojadę.

— Znowu? Nie zostaniesz tutaj między swymi!

Wawer się roześmiał dziwnie.

— Ja? Tutaj? A cobym robił? Za pługiem czy kosą? Mało ich w chacie? Że też ty pytasz!

— Nie chciałem cię obrazić, Wawer! daj ci Boże dobrą dolę!

— Jużem ją zdobył tę dolę. Ale niech się kto tak namozoli, jak ja!

Wyciągnął przed siebie ręce twarde i ciemne, i pokazał je rzeźbiarzowi.

— Takie ręce i bracia moi mają, a ledwie chleb wypracują, i na starość deski na trumnę. A ja pan. Ale to cienkie odzienie i złoty zegarek, i te tysiące, i piękna narzeczona, co mnie czeka w Szczecinie, temim ja rękami zdobywał — ani gładkiem słowem, ani pokłonami. Szedł ja do nich na kolanach, z objuczonym karkiem, bity nie rzadko, i popychany wszędzie, gdzie najciężej było i najbrudniej. Dlatego to, com zdobył, drogie mi i nieocenione. Jakżebym ja rzucić mógł ten mój ciężko wywalczony dostatek i pozycyą! Prawda, Rufin?

Kaleka głowę skłonił.

— Daj ci Boże dobrą wolę, Wawer! — powtórzył, i o nic już więcej nie pytał.

Zadumał się chwilę w łagodne światło księżyca wpatrzony.

— Rad jestem, żeś wrócił cały i szczęśliwy! — ozwał się znowu. — Ziemia jak matka, najdorodniejszych w świat wyprawia. Wracają przecie, bo ona głos ma, co na świata krańcach syna odszuka i zwoła. Taki co nie słyszy, pamięci Bożej niewart!

Zdawało się, że pod koniec nie do Wawra już mówił, ale do siebie; że głośno wyrażał myśli, co mu po głowie się snuły przez długie godziny samotności. Potem poruszył się, z nieba na ziemię wzrok przeniósł i daleko na drogę i Piłkalnis spoglądał.

— Już nie przyjdą! — szepnął.

— Chodzić możesz? — spytał go Wawer.

— Pełzam jak robak. Niedaleka moja droga, do kościoła i mogił.

— To cię tu zawsze zastać można? Przyjdę na gawędkę.

— Przyjdź bracie, opowiesz mnie o szczęściu, jak w zimowy wieczór babki dzieciom o zaklętych skarbach bają.

Atletyczny mężczyzna pochylił się do niego i uścisnął serdecznie, do głębi wzruszony i smutny. Potem odszedł, a kaleka od księżyca ku jaśniejącemu na wschodzie niebu twarz obrócił, i złamanym, rozbitym głosem z cicha pieśń nabożną zaśpiewał, pieśń tak starą jak chrzest Żmujdzi. Słyszał ją oddalający się przybysz. Jak sen piękne i fantastyczne były o tej porze jego ojczyste pola, a on nagle spoważniał, i łowiąc uchem dźwięki doznał znowu widzenia ze swej nędznej przeszłości i widział się dzieckiem wśród obcych, gdy w norze swej

na okręcie, by tęsknotę przemódz, sam sobie tę pieśń śpiewał, cichutko, by go nie wyśmiano!....

IV.

U Butkisa w oberży zapowiadał się świetny wieczór. Popołudniu zeszli się gospodarze starsi, ten i ów z żoną i gromadkami zaczęli się zbierać młodzi i dziewczęta. Zjawił się nawet Krysztof ponury i dziki z siostrą Rozalką, którą wnet ostąpiły kobiety, jako że tkaczka była na całą wieś sławna, i każdy u niej robotę jaką miał, lub chciał oddać. Przyszedł Szwedas młody z Wawrową siostrą, swą żoną, i ze swą siostrą Magdalenką, sławną z pustoty i zalotności. Przyszli od Szlugurisów wszyscy i od Didelisów, i Brodacz Rafała syn, i Gedrajtys muzykant, i krawiec Józef z siostrami. Starzy w izbie obsiedli stoły i częstując się wzajem Jana Didelisa rozpytywali o syna. Butkis czapkował mu teraz, kobiety oglądały jedwabne chustki Maryjki i Anny i z podziwu niemiały; na przyzbie Piotr i Andrzej opowiadali o bracie cuda gromadzie sąsiadów, a dziewczęta obsiadłszy bujną trawę raz wraz ku wsi zerkały. Gedrajtys skrzypce stroił, a wy-

rostek z bębenkiem w instrument swój uderzał. Nikt jednak tańca nie zaczynał.

Nie było bo Szlugurisa, a bez niego nie było zabawy. Szluguris z Wawrem u Rufina bawił. Czekano ich obu niecierpliwie. Stary Jan na drogę oknem wyzierał, aż wreszcie na Andrzeja skinął i kazał iść po brata.

W kącie szynkowni między starymi Krystof Jodas siedział do nikogo się nie odzywając. Małemi łykami swój „alus“ (piwo) popijał, i rękami głowę podparłszy, ukośnie w okno na dziewczęta spoglądał. Widział swą Rozalkę, jak on czarną i jak on ponurą. Miała wielkie warkocze w koronę na głowie upięte, a na sobie samodział wzorzysty i gorsecik. Ręce na piersi skrzyżowała i słuchała obojętnie żywej opowieści Maryjki. I widział też Krysztof siedzącą na płocie dziewczynę, jak topola smukłą, jasnowłosą, niebieskooką, z rozpuszczonymi warkoczami, co jej kolan sięgały, najpiękniej ubraną, najprzystojniejszą, najweselszą. Śmiała się do chłopców, co ją rojem otoczyli, ją bogatego Szwedasa córkę jedyną. Jodas patrzał, aż ze zbytniego natężenia mróżyły się jego oczy od węgli czarniejsze, błyskające z jam głębokich pod zaciętem niskiem czołem. Tym-

czasem na dróżce od kościoła ukazali się oczekiwani.

Wawer szedł przodem, za nim Szluguris i Andrzej.

Gedrajtys w skrzypce uderzył smyczkiem, dziewczęta się porwały i skupiły, jak owce w gromadę. Młodzi poskoczyli na powitanie, przez okna starzy wytykali głowy, a mężatki zachwycały się głośno. Tylko Rozalka została na miejscu i Magdalenka, nie opuszczając płotu, zawołała:

— Drugi Brodacz do nas idzie. Będzie czem u Didelisów komin wytrzeć!

— Czemuż u was ten Niemiec ze dworu, co do ciebie się zaleca, nie wyciera sadzy, a twoją twarz! — zaśmiał się Józef Brodacz złośliwie.

— Gedrajtys, rznij! — huknął już zdala Szluguris.

Ozwały się skrzypki, zahuczał bębenek. Starzy poczęli przytupywać, a staruszki w dłonie klaskać.

— Suktinis! — zakomenderował Szluguris wśród śmiechów.

Stary to był taniec i zarzucony. Dziewczęta zaproszone wzdrygały się, tłumacząc, że nie umieją, więc Jonas do sieni wbiegł i wy-

prowadził wśród ogólnej uciechy starą babkę Gedrajtysa i z nią bal rozpoczął. Rzucili się chłopcy za tym przykładem po staruszki inne, i wnet taniec żwawo się rozpoczął, parami, rodzaj polki skakanej, od której tempa osuwały się babkom czepce, podlatywały siwe włosy.

— Czyra, czyra, czyra! — przyśpiewywano w takt.

Wawer tłum rozbawiony minął, do izby szynkowej wszedł, przywitał gospodarzy, Krysztofowi dłoń uścisnął i Butkisowi kazał beczkę piwa odrazu wytoczyć, żeby wszyscy pili za jego zdrowie i pieniądze.

Powstał gwar i radość wielka zaczęto go ściskać i winszować, posadzono między najprzedniejszymi, a podczas gdy złoty trunek jak woda się toczył, on opowiadał różne awantury, opisywał cudze kraje. I tanecznikom kazał „alus“ lać, i muzyce, i staruszkom zhasanym, a sam rozparty, z cygarem w zębach, protekcyonalnie do wszystkich się uśmiechał.

Szluguris hulał, dokazywał, wymyślał śmieszne piosnki, już ze dwadzieścia par hasało na murawie, już się rozruszał nawet krawiec Jurgis, znany z powolności, ani Krysztof ni Wawer nie poruszyli się z miejsca. Krysztof nawet pozycyi nie zmienił, wciąż ukosem spo-

glądając na płot, gdzie już dawno nie było Magdalenki.

Szluguris ją dawno porwał, widocznie wyróżniał, a ona rada przodować z zuchem, śmiała się białemi zębami do jego rozognionych swawolą i tańcem oczu, ocierała prawie swój policzek o jego twarz zjajaną, spoconą, tryskającą zdrowiem i życiem. Czasem ich Krysztof widział, ale się nie ruszał, ani wyrazu twarzy nie skrzywił.

Nagle Wawer ku niemu się przechylił.

— Czyja to dziewojka, ta ciemna, drobna! Ot tańczy ze Szwedasem?

— Moja! — odparł lakonicznie.

— Jak twoja? — Narzeczona?

— Rozalka! Andrzejowej waszej i moja siostra.

— Ładna dziewczyna, a zgrabna, jak toczona! Jak lalka tańczy! A ta, co ją Szluguris tak do siebie przyciska?

— Szwedasów jedynaczka! — burknął Krysztof.

— Bestya, djabelnie zalotna! Szelmostwo jej z oczu patrzy. — A Szwedasa, jej ojca, nie ma?

— Jego nigdy nie ma! — odparł Jodas ze złośliwym uśmiechem.

— A gdzież on bywa?

— O toby trzeba Rufina spytać, albo proboszcza....

— Czemu.

— Albo ja wiem. Między nimi jakieś konszachty są sekretne. Szwedas stary parę koni ma, i nibyto z furmanką się panom i żydom najmuje. Czasem się zjawia w nocy, z Rufinem coś poszepczą, do proboszcza chyłkiem pójdzie i o świcie znowu przepadł.

— Ot wielka sztuka wyśledzić!

— Nie wielka, ale ja nie chcę! — rzekł Krysztof ponuro, do czasu.... dodał po namyśle.

Do izby rozbawiony, schrypnięty wpadł Szluguris. Spojrzał na nich, i Jodasa za-czuprynę chwycił.

— Ty, czarny meszka! Coś z gospodarzami zasadł jakbyś wójtem był! Dalej do tańca. I na ciebie Wawer dziewczęta czekają! — Chodź hulać!

Krysztof coś zamruczał, łyskając złowieszczo oczami, kapitan ramiona wzniósł.

— Ja ta odwykł na trawie, jak cielę hasać, i waszych tańców zapomniałem.

— Uhu, a Gedrajtys nie umie polki i kadryla! Chodź, pokaż się!

Pociągnął go za ramię do sieni. Tam Maryjka rozbawiona i śmiejąca zaczepiła go pierwsza:

Szwagierku, szwagierku do tańca mnie proś,
A ja ci pokażę na księżycu coś!

Roześmiał się, hożą bratowę w pół objął i ani się spostrzegł, jak hasał z drugimi po zdeptanej murawie, w takt niesfornych skrzypek Gedrajtysa.

— A co ty mi na księżycu pokażesz? — pytał obracając ją jak frygę.

— A cóż, dziewczynę! Nie wieszże ty, że tam taka śliczna siedzi zaklęta?

Za bardzo wysoko!

— To w Piłkałnisie pod ziemią, w pałacu druga siedzi i czeka.

— Za bardzo nisko!

— Takiś wybredny! Jest i trzecia, ot Magdalenka!

— Za bardzo jej ze Szlugurisem dobrze!

Kobieta się śmiała, śmiała. Malinowy jej czepeczek nieco się przechylił i widać było krucze włosy. Podobna była ze śniadości do rodzeństwa, ale żywa, wesoła i jak skra prędka. U Didelisów wiodła rej w chacie.

— Uf, już nie mogę! — zawołała wreszcie wysuwając się mu z rąk i zmykając do sieni,

gdzie jej mały Wawrzyniec się darł w niebogłosy.

Wawer do dziewcząt przystąpił, skłonił się przed Rozalką. Nikt ich nie zapoznawał, ale to nie przeszkadzało zatańczyć. Dziewczyna pomimo tańca zawsze blada i poważna, skinęła głową i podała mu rękę. Istotnie toczoną miała kibić, a głowę niosła dumnie jak królowa. Wręcz przeciwnie Magdalenki miała we wsi opinię skromnej i nieprzystępnej.

— Składnie tańcujesz! — pochwalił ją Wawer, mimowoli na wzór Szlugurisa blisko do siebie ją tuląc. — Znać żeś w mieście była.

— Nie tańcowałam w mieście, ale służyłam! — odparła.

— Oho, albo to prawda! Albo to w Rydze, albo w Kownie po tancsalach nie bywałaś? Nie może być!

— A może być, bo i nazwy nie znam.

— Osobliwość. A takaś ładna! Pewnie się twój pan w tobie kochał!....

Dziewczyna szarpnęła się mocno, wyrwała mu się, i rzuciwszy go w środku tańczących, wróciła na swe poprzednie miejsce pod płotem. Zgłupiał na razie, popatrzał za nią, potem splunął, krawcównę zaprosił i dalej tańczył. Ta była łaskawsza, na żarty jego śmia-

ła się wesoło, na spojrzenia wyzywające rumieniła i spuszczała oczy. Ale on zły był, choć miną nadrabiał. Potem Magdalenkę wziął i już dokazywać zaczął, prawiąc jej cyniczne koncepta, z ziemi podnosił, kręcił szalenie, hulał jak w portowych norach. Młodzi patrzyli i naśladowali potroszę, dziewczęta broniły i piszczały, starzy się śmiali, niby nawołując do porządku, tylko stary Jan złowieszczo na syna spoglądał.

Wtem Gedrajtys zmęczony, smyczek opuścił. Stanęli wszyscy, ale rozbawieni, spocząć nie chcieli. Szluguris w dłonie zaklaskał. Chłopcy poskoczyli do niego, stanęli w koło Jonasa, a on odchrząknął, rękę prawą do góry wzniósł, opuścił ją i huknął z całych płuc pieśń weselną. Młodzież zawtórowała chórem zgodnym, potężnym, który aż hen, hen, do borów szedł i do gór. Wawer tymczasem na Butkita skinął, pieniądze mu w dłoń rzucił.

— Drugą beczkę piwa i słodkiej wódki dla dziewcząt! — zakomenderował.

Zaczął się obfity traktament. Pito i śmiano się. Gwar rósł, a że gorąco było w izbie, więc wyniesiono ławy i stoły na powietrze i starzy podochoceni zapomnieli nieprzystojnej swawoli. Tylko Jan stary nie pił i nie bawił

się, a Krysztof z miejsca wyparty przy węgle na przyzbie usiadł, fajkę zapalił i spluwał pod nogi. Rozalka zbliżyła się do niego:

— Pójdźmy do chaty, Krysztof! — szepnęła.

— Czego? — szyderczo odparł. — Masz może dziesięć krów do dojenia, a ja źrebce do karmienia? A prawda jest dobytek! twoje kocisko białe. Jest czeladź, jaskółki nad drzewami! Idź je karm i dopatruj.

— Tobie jeszcze nocą na robotę iść trzeba!

— Nie zapomnę! A choćbym zapomniał! głodny brzuch przypomni!

Dziewczyna zasępiła się jeszcze mocniej i wróciła do rówieśnic. A w tem Gedrajtys zaczął skrzypce stroić, i Szluguris krzyknął:

— *Wanagielis*! (jastrząbek).

Wyniesiono stołek na środek placu i posadzono na nim Magdalenkę. Mężczyźni za ręce się wzięli w około niej i posuwali się w takt muzyki, a Szluguris zaśpiewał:

— *Tupi, tupi wanagielis kwiczos.* (Siedzi, siedzi jastrząbek w pszenicy).

— *Kwiczos*! — powtórzył chór.

Obeszli razy parę i znów Jonas się ozwał;

— *O kas tawi wanagielis buczos?* (A któż ciebie jastrząbku pocałuje?)

— *Buczos*! — powtrzóył chór.

Rozległy się szepty i śmiechy.

— *Jonele buczos*! (Janek pocałuje.) — zaśpiewał Wawer.

Szluguris z radości koziołka wywrócił, dziewczynę porwał i ognistego całusa na policzku jej złożywszy, przetańczył i na ławie ją posadził. Teraz on na stołku usiadł, i od dziewczyny uwolnienia czekał. Ale dziewczęta złośliwe były, wybrały jego ospowatą sąsiadkę od Brodaczów. I tak po kolei zmieniał się jastrząbek. Śmiano się, dowcipkowano, dziewczęta broniły się od całusów, starzy bawili się z boku patrząc. Wreszcie i Wawer znalazł się w kole i na swój los czekał. A Szluguris swawolny na cały głos zaśpiewał:

— Rozalka pocałuj, pocałuj!

Rozalkę towarzyszki do koła wepchnęły, chłopcy klaskali w dłonie. Wawer się porwał, dziewczynę w pół ogarnął ramieniem i pocałować chciał, ale odwróciła się, że tylko ramienia ustami dotknął.

— Coś tak nie rada całować? śmiał się tańcząc.

— Bom nie zwykła z obcymi się zadawać, co mnie głupstwem częstują!

— O, albom to głupstwo powiedział?

— Głupstwo i obrazę.

— Takaś harda!

— A taka, więc mnie nie zaczepiajcie!

— Czemu, albom to hardych nie miał!

— Mnie ta mieć nie będziecie, więc zasię!

— Ani myślę! Właśniem was spodobał.

Przestał jej mówić ty, ale patrzył wyzywająco i zuchwale. Drażniła go ta chłopka. Posadził ją na ławie obok Maryjki, kazał podać piwa i częstował kobiety, przysiadłszy koło nich. Dziewczyna pić nie chciała, odwrócona od niego przyglądała się tańcom.

— Nie oswojona twoja siostra! — zaśmiał się do bratowej.

— Ktoby się z Krysztofem oswoił, patrząc ciągle na niego, to i ona taka się stała.

— Tęskno jej snać za miastem?

— A pewnie. Tam kawalerów miała i dostatek, a tutaj biedę, a do biednej nikt się zalecać nie kwapi.

— Miała kawalerów?

— Ojoj, ilu! Jeden to aż tutaj z Kowna przyjeżdżał. Jak on się zwał, Rozalko?

— Co mam go pamiętać! — odparła niechętnie.

Maryjka poufnie przechyliła się do szwagra.

— Zapamiętała ona — szepnęła. — Przed laty z Rufinem sobie ślubowali. Mieli się pobrać. Jak on taki wrócił, łzami się zalewała i dotąd się nie pocieszyła.

— To dopiero pamiętna!

— A tak! Jak sobie co w głowę włoży, to i klinem nie wybić. Oni tacy oboje z Kryształem! Wiesz, kogo sobie ten upatrzył — ot tę latawicę Magdalenkę.

— A cóż, ładna dziewka.

— Wielka historya. Ale co ona umie! Ni prząść, ni tkać, na robotę w pole nie chodzi. Bąki zbija i do chłopców zęby szczerzy i oczy przewraca. Chwała Bogu, że mu jej Szwedas nie da, bo na Szlugurisa rachuje. Bogaty i jedynak!

Rozgadała się wesoła kobiecina. Po kwadransie wtajemniczony był Wawer w plotki i sekreta całej wsi. A młodzież hasała tymczasem. Rozalkę wnet ktoś do tańca wziął, a starzy powoli się rozchodzili. Zmierzchało już, więc ten i ów do chaty na wieczerzę się wymykał, kobiety do zajęć wieczornych. Najza-

wziętsi tańczyli jeszcze i pili. Wstał wreszcie i Wawer, i z rozbawioną gromadą się zmięszał.

Drogą pod oberżą przeciągało bydło z pastwisk, a pastuszki bose lub w drewnianych pantoflach przystawali, gapiąc się i pokrzykując. Od dworu na hasło zabawy nadbiegli parobcy i folwarczne dziewki.

Ktoś zmienił Gedrajtysa i rznął jeszcze fałszywiej, o bębenek bili się wyrostki. Nawet na żadnem weselu nie pamiętano takiej uciechy. Zciemniało zupełnie, ale natomiast wysunął się księżyc i przyświecał darmo. W jego srebrnem oświetleniu wirowały twarze, rozplecione w ruchu warkocze, białe samodziały mężczyzn, wzorzyste kobiet, a tak było cicho w powietrzu, że aż we dworze słychać było tupanie, śmiechy, zabawne śpiewki Jonasa, krzyki dziewcząt na natarczywe chłopców zaczepki. Nikt nie pomyślał, że już za kilka godzin świt do ciężkiej pracy na skwarze całodziennym zawoła. Dopiero koło północy dziewczęta rozchodzić się zaczęły nawołując się i jedna drugą napędzając.

Chłopaki runęli za niemi bandą całą. Każdy bo miał kogo przeprowadzić, pożegnać u furtki zagrody. Ruszyli więc wszyscy rozbici na gromadki, pary. Tylko Krysztof szedł

sam na końcu. Szluguris zwołał swą śpiewaczą komędę i na rozstanie, już rozsypani po drodze, zaśpiewali chór kuszący:

Pójdź do mnie dziewczyno,
Pójdź ze mną malino,
Na słówka samotne,
Na dumki ochotne,
Gdzie krynica najcichsza,
Gdzie miłość najżywsza!....

A potem gromadki te po ścieżkach zaczęły się rozdzielać i maleć. Skrywały je tarniny, krzaki, płoty, lipy, otulające pojedyńcze zagrody, wiszniowe gąszcza. Przez jakiś czas słychać jeszcze było stłumione szepty, szmery, skrzyp furtek i drzwi, ujadanie pokurczów złych jak szatany. Potem jakby nic nie było, wielka cisza zaległa i tylko psy do księżyca wznosząc pyski wyły.

Wawer nad ranem ledwie wrócił do chaty. Już w kuchni ruch się budził, bo bratowe warzyły śniadanie dla robotników, a stary Jan nad ogniem rozgrzewał i giął świeżą dębinę. Maryjka na widok szwagra ręce załamała.

— Dopiero teraz wracasz! — krzyknęła— Kiedyż ty się wyśpisz?

— Albo to dnia mało! — odparł ziewając.

— Jakże ty przy słonku spać zdołasz! — dziwiła się ona, która w swem pracowitem życiu ni jednego świtu nie zaspała.

— Na świecie różnie bywa! — rzekł niedbale. — Chłop pod miarę śpi i robi, ale u nas bywa i ze cztery niedospanych nocy. Wiadomo na szerokim świecie! Zdarzało się na morzu z burzą ze trzy doby się borykać, a potem do portu się dobiwszy, nikt o spoczynku i nie pomyślał. Szło się hulać na zabój, żeby sobie okrętowe nudy wynagrodzić. Ja ta nie zwykł, jak wół, regularnie pracować i odpoczywać. Na starość wyspię się do syta, a jak się ożenię, domu będę pilnował. Nie wiele już mi zostało swobody.

— Doprawdy? Żenić się myślisz? — ciekawie badała Maryjka, a bardziej nieśmiała Piotrowa, tylko oczy w szwagra wlepiła i czekała odpowiedzi.

— Za miesiąc! — odparł Wawer, brodę gładząc.

— Aa.... z kimże?

— Ot, ojca się spytajcie! — odparł wyzywająco i dumnie.

Włożył ręce w kieszenie i gwiżdżąc przez zęby do alkierza wszedł. Jan Didelis jakby nie słyszał. Dębinę przypiekał, giął, zaciskał,

by w pewnej formie zaschła. Na zapytania kobiet chmurne czoło wzniósł i odrzucając zeń siwe kosmyki włosów, odparł:

— Na weselu tem ni was nie będzie, ni mnie.

Potem robotę swą na ramiona wziął i na podwórze z nią wyszedł, jakby od ciekawości kobiecej uwolnić się chciał co najprędzej. Nie widać po nim było ni dumy z syna, ni radości z jego powrotu. Twarz jego obsiadła powaga smutna zamyślenia, czasem błyski tajnego rozdrażnienia. Jeszcze mniej się odzywał niż zwykle....

V.

Proboszcz karewiski ukończył właśnie codzienną cichą mszę, na której z powodu roboczego czasu mało było nabożnych, i zdejmował w zakrystyi swe mszalne szaty, gdy w progu stanął Jan Didelis.

— Pochwalony Jezus! — pozdrowił z cicha.

— Na wieki, A co tam gospodarzu?

— Ja trochę za interesem i za radą do księdza plebana.

— A dobrze, dobrze, chodźmy tedy na probostwo. Ale i nowinę mi doniesiecie wesołą. Słyszę wasz syn wrócił z zagranicy?

Stary oczy wbił w ziemię i westchnął, idąc za księdzem drożyną na plebanią.

— Nie wrócił mi syn, ale przyjechał! — odparł.

— Czy to nie jedno? — uśmiechnął się ksiądz.

— A nie, bo kto wraca, to na zawsze, a kto przyjeżdża, to w odwiedziny.

— Nie zostanie wasz syn?

— Nie.... Dlatego ja po radę i ratunek przyszedł, bo moja głowa stara i ciężka. Znosiła ona różne troski i Boże dopusty, ale ten ostatni snać najcięższy, bo go sam nie zniosę, ani rady znajdę na taką wielką biedę! Nie ma już we mnie mocy....

Ksiądz się zaniepokoił. Znał swych parafian i wiele skarg słyszał, ale Jana nigdy. Nielada była troska, co rozwiązała usta zaciętego chłopa. W milczeniu już weszli do plebanii. Sami się znaleźli w ubogiej bielonej izdebce, pełnej kwiatów i ogrodniczych narzędzi. Ksiądz usiadł i kołodzieja obok siebie posadził.

— Gadajcież teraz Janie, wszystko z serca.... Jak na spowiedzi wysłucham i jeśli mogę, poradzę.

Stary chłopskim obyczajem zaczął rzecz z daleka.

— Dwanaścioro dzieci Bóg mi dał. Nie narzekał ja na nich, chował, doglądał i jak mógł karmił. Pięcioro ich z domu poszło przez biedę wielką, bo choć pracowałem ile mocy, chleba brakło. Bóg widzi nie mogłem dać rady! Czworo ziemia wzięła, piątego cudzy świat, i teraz sam nie wiem po kim gorzej płakać, po tych zmarłych, czy po tym, co onegdajszej soboty przyszedł z obczyzny. Nie trzeba go było wyprawiać, ale czy mi we śnie postało, że go takim zobaczę? Wyrostek był sprawny, posłuszny, a do wszelkiej roboty nad podziw dowcipny. Każdy go chwalił, i ksiądz i sąsiad i pan we dworze, a i ja słabość miałem do niego. I w tem był grzech! Jak się jął napierać iść w świat, nie sprzeciwiałem się zbytnio. Żal było puszczać, i żal też trzymać na marne w ciasnej chacie. Zdałem go tedy na wolę Bożą i wyprowadziłem do flisaków. I poszedł biedaczysko trochę płacząc po chacie, ale śmiało i ufnie, i jako kamyk w wodę rzucony, przepadł nam z oczu, a ludziom z pa-

mięci. Nie było wieści, nie było. Mówili swoi nie wróci, snać zmarniał; nie pacholęciu takiemu rozbijać się między Niemce. A mnie od tych gawęd duch ustawał, bo i racya była. Co na świecie wielkim taki chłopczyna, mucha! Tylko nieboszczka moja do ostatniej godziny wspominała go, i modliła się gorąco i ofiarę zrobiła, a przed skonaniem jeszcze powtarzała mi z pewnością: Zobaczę ja niebawem tych czworo u niebieskiego progu, ale Wawra nie zobaczę, bo on żyw i przyjdzie do ciebie, Janie! A jak przyjdzie, to go dobrze ugośćcie i pozdrówcie odemnie, ale go nie puszczajcie od siebie raz drugi! Taką jej Bóg przed śmiercią jasność udzielił, że prawdę przepowiedziała. Przyjechał, proszę księdza, już nie blady, nie chudy, nie obdarty. Pańskie czarne szatki są na nim i złote pierścienie, a sam jak dąb rozrosły, piękny, zdrów, żem z początku odpatrzeć się nie mógł i nacieszyć. Ale krótka była uciecha. Zaraz mnie żal zdjął, jak on naszę mowę kaleczył, jak on pieśni i obyczaje zapomniał, jako na matczyną mogiłę pójść nie pomyślał, tylko wciąż o swej chwale i cudzym świecie rozpowiadał. I tak moja radość przeszła w troskę, we wstyd, w udręczenie. Oto pięć dni minęło, złych dni! Ni jednej on nocy

w domu nie przespał, ni razu z braćmi na zagon nie poszedł, ni jednej mszy przystojnie nie posłuchał. Wieczorem pijatykę i tańce u Butkisa sprawia, chłopców nieobyczajności zamorskiej ucząc, dziewczętom brzydkie żarty prawi i ze starych się natrząsa. Na pracę naszą patrzy jakby z drwinami, i wieś buntuje Ameryką, a wszystko mu niedobre, niesmaczne, nudne. Całe dnie w chacie przesypia, a zresztą wałęsa się z kąta w kąt, cygara z zębów a rąk z kieszeni nie wyjmując! Ale to nie najgorsza jeszcze troska. Zaraz pierwszego dnia rankiem słyszę, a on dziecku Andrzeja szwabską piosnkę śpiewa. Więc zaraz mnie to obeszło, i powiadam: przestań! Posłuchał, ale bokiem na mnie spojrzał i brzydko się uśmiechnął, a mnie aż zadławiło w gardle. Wziąłem go z sobą do kościoła i przemógłszy się, po dobroci mówię: „Cóż ty teraz myślisz robić, synku? Czy do roli czy do rzemiosła się weźmiesz, a może służby w pobliżu poszukasz?“

A on jak na waryata patrzy, i mówi: „Ja ojcze i służbę mam i rzemiosło! Mnie już nic nie potrzeba. Za urlopem — na tydzień uwolnił mnie p. Matschke, a potem wracać muszę!“ Więc ja do niego: „Jakże to Wawer, toć tu dom twój, ojcowizna i ziemia! Część zagona

masz, i należy ci tutaj zostać i pracować. Dość cudzego chleba i kątów!“ A on ramiona wzniósł i powiada: „Zagon ja braciom odstępuję — niech się na nim mordują, kiedy im to miło. Ja zostać nie chcę i chłopem być nie potrafię.“ Księże dobrodzieju, dopierom zrozumiał, że to nie mój chłopak wrócił, ale szwab plugawy w nim siedzi, aż mi się serce od niego odwróciło, i nie patrząc pytam przez zęby: „To pocóżeś przyjeżdżał! Było nie mamić darmo!“ A takie to chłopczysko znarowione, że już nawet mego bolu nie pojął w tem słowie, i ze śmiechem odpowiada: „Z próżnemi rękami ja nie szedł. Przyniosłem ja wam dostatek i odpoczynek na starość. Ino bierzcie!“ I wyjmuje z zanadrza gruby zwitek, bez liku pieniędzy, i tka mi wszystko w ręce. Alem rozżalony był strasznie, więc otrząsłem się, nie tknąłem, i mówię: „Mnie pieniędzy nie trzeba, ale syna! Ty za to gruntu kup, albo wydzierżaw, budowlę postaw i osiądź. Wtedy przy tobie do śmierci posiedzę w spokoju. A Niemce sobie z głowy wybij, bo to grzech! Zostań synku!“

Tu się chłopu głos złamał, jakby przez łzy szedł.

— Takem go prosił, księże dobrodzieju, a on tylko się zaśmiał, i powiada: „Bo to ojciec całej prawdy nie wie. Zostać się nie, bo tam w Szczecinie narzeczona mnie czeka, za parę miesięcy wesele! A myśli ojciec, że z jaką chłopką? Oho! Z jedynaczką mego pana, z panną Gretą Matschke! Tegom się uczciwą pracą dosłużył!....

— O Jezu!.... Jakem usłyszał, tom skamieniał, i z desperacyi i ze złości....

— Z Niemkinią? — pytam — a cały się trzęsę.

— A jużci? — odpowiada spokojnie.

— Z luterką?

— A jużci. Ale tam u nas na religię nikt nie patrzy. Jednaka rzecz gdzie i jak się pomodlisz, byleś złego nie czynił.

— U nas — to znaczy: między Niemce, rozumie ksiądz dobrodziej?.... Tak już mówi mój rodzony, mój Wawer w świętej wierze chowany, w chacie mojej wyrosły. O Jezu, o Jezu! To tego się uczą na wielkim świecie, to taki on przyniósł zarobek!

Chłop wstał podrażniony, zbolały, pełen dzikiej wściekłości, i płynęły mu słowa jak potok. Czapkę rzucił pod nogi, i oburącz wichrzył włosy, gorzej przez te dni osiwiałe.

— To poto ja jego chował i pieścił, poto się za nim modlił przez te lata?.... Przysłali wreszcie Niemce mego syna na pokaz, że z niego duszę uczciwą wyjęli, a włożyli szachrajstwo, albo i zgoła nic, bo czyż on ma duszę — gorzej bydlaka, co ryczy do swej obórki, od psa, co o dziesięć mil trafi na swe podwórze. Co on jest taki człowiek! Pieniądze mi daje, zbój, żebym swą duszę zaprzedał, chwali się, że Niemkinię uwiódł, z tego mu wielki honor i duma, i o błogosławieństwo prosi — mnie, swego ojca, gospodarza z Karewiszek. On zapomniał, co to znaczy Karewis — ja jemu teraz przypomnę!

Tu ręka księdza spoczęła na ramieniu chłopa i poważny głos mu przerwał:

— Janie Karewis,jeśliście rzekli to wszystko w gniewie synowi swemu, jak mnie mówicie, to straciliście na zawsze dziecko.

Kołodziej oprzytomniał, spuścił rozognione źrenice i chciał coś odpowiedzieć, ale ksiądz dalej mówił:

— Nie znam ja syna waszego, ale z tego, że się dosłużył tyla, miarkuję, że rozumny i tęgi — a z tego, że przyszedł po dwudziestu latach do chaty, miarkuję, że dobry i serdeczny, i choć znarowiony i zmieniony, zdrowe ziarno

w głębi zachował. Jakoż wy możecie rozumnego i dobrego jak bydlę fukać! Nie jego wina, że się odmienił, będąc sam, sierota, wśród obcych. Bo uważajcie: snać mu ten Niemiec serce i wiarę okazał, przygarnął, i sierotę za duszę dobrocią wziął. A wy — ojciec — gorzej od tego Niemca dlań byliście, i nie dziw, gdy was opuści teraz! Zapomnieliście, że i on Karewis — zatnie się i już całkiem obcy dla was się stanie, i traktowany jak dziecko, albo bydlę, oburzy się i na przekór upierać się będzie przy swojem! Nie macie mocy go zatrzymać, tylko jednę, i tę straciliście! Złość źle radzi, Janie, i źle czyni!

Chłop milczał zawstydzony.

— Teraz on całkiem nie wasz, ale Niemce mu swoi, bo dobrzy! Nieprawdaż, woli swej nie zmienił?

— Nie, pojutrze już odjeżdżać chce! — rzekł stary zgnębionym głosem. — Już się do mnie nie odzywa z serca i chaty nie pilnuje. Raz mi tylko wspomniał, żebym mu u księdza świadectwo na ślub wziął, a gdym odmówił, głowę odrzucił i odszedł. Może sam przyjdzie po to! Nijak go zatrzymać nie sposób, bo i gmina władzy nie ma, za szwabskim paszportem niecnota przyjechał. Do drogi się zbiera i

o Niemkini swojej rozpowiada mnie na złość, a tymczasem dziewczęta bałamuci! Więc ja do księdza po ratunek przyszedł, a no widzę, że żadnego nie ma! Więc on naprawdę z duszą zatracony!

— Nie mówcie tak Janie, ino się postarajcie złość naprawić. Idźcie do niego i dobrem słowem proście, żeby został jeszcze trochę, jeszcze trochę. A tymczasem może Bóg sam radę znajdzie, opamiętanie mu zeszle. A pamiętajcie, że w waszej mocy leży, by on tamtą cudzą rodzinę zapomiał, a swoją w sercu odnalazł.

Chłop oczy w księdza wlepił i słuchał jak ewangelii, a ten go cierpliwie nauczał, tłumaczył, perswadował.

Gdy z plebanii kołodziej wychodził, inny był, wyprostowany, śmiały, z nadzieją w oczach. Zstępował ku wsi, i rozglądał się z miłością po zagrodach i polach, jakby tej ziemi mówił, jakim sposobem jeden z jej synów, mógł chcieć ją porzucić.... A tuż i winowajca mu się na oczy nawinął, siedział na ławce pod chatą Rufina i rozmawiał z rzeźbiarzem, który w izdebce rznął figurkę świętego do kapliczki. Stary do syna się uśmiechnął, kalekę przyjaźnie pozdrowił i obok Wawra spoczął.

— I ja do ciebie, Rufinie, za obstalunkiem przyszedł! — zagaił rozmowę. — Ot chłopak mi jak z grobu wrócił, należy się za to Bogu ofiara. Umyśliłem kapliczkę przy krynicy postawić. Zróbcież ozdobną, a w niej świętego Jana, ziemi naszej patrona, i świętego Warzyńca postawcie. Dobrze?

— A jakże! zrobię jak najpiękniej. Na święty Jan gotowa będzie — odparł Rufin uradowany.

— A już ja zapłacę! — wtrącił Wawer. — Bo i odemnie Bogu się wiele należy.

— Uczciwie rzekłeś, chłopcze. Kapliczkę przy krynicy postawimy, heń naprzeciw Piłkalnisu na zawrocie. Kawał tam gruntu dworskiego leży osobno. Ładna ziemia, ino dworowi nie przyległa, i Niemce ją targują.

— To niech sobie ją ojciec kupi! — zawołał Wawer, — a ile tam tego?

— Ornego gruntu pół włoki i łąki duży szmat nad Kirszniawą. Cobym ja za pan był, żebym tyle ziemi miał, ale mnie się patrzy inna, ot za kościołem, na szczerym piasku cztery łokcie! Już mnie nie zaczynać żyć, ale kończyć!

— Ot baje ojciec! Jak się zawezmę do dziedzica skoczę i Niemców uprzedzę! Znaczy

to mi co, taki drobiazg? A jak kupię i ojcu dam, trza wziąć będzie!

Śmiał się, i stary się uśmiechnął.

— Oj synku! — rzekł serdecznie nań spoglądając. — Nie mów ty takich słów na żart. Głodnemu we śnie chleba nie pokazuj, bo jak się zbudzi jeszcze mu głodniej będzie!

Wawer i tonem i spojrzeniem dotknięty był mile. Serce mu zabiło i bez namysłu w zastawioną sieć szedł.

— Ojciec myśli, że żartuję? Ot zobaczycie! Żeście mi tego wcześniej nie wspomnieli! Zostawię wam dobrą pamięć po sobie, choć się zżymacie. Idźcie miejsce na kapliczkę wybierzcie. Na waszej ziemi stać będzie!

Rozpromieniony był i pyszny, że tyle może zdziałać.

— Nie takim ja zły, jak myślisz synku... — stary łagodnie prawił. — Dopiero od księdza idę, i o papiery te prosiłem! Zamiera mi dusza z żalu za tobą, ano, cóż poradzić! Co sądzone nie minie. Krwawemi łzami cię opłaczę, ale już nie zatrzymam. Pójdziesz, i już cię moje oczy nie zobaczą!

— Przyjdę znowu! — rzekł Wawer zupełnie pokonany.

— Ale już mnie nie zastaniesz.... Umierać pora, do nieboszczki iść. Dosyć mi by było szczęścia, żebyś choć krzynę dłużej zabawił!

— To cóż robić? Żeby ojcu dogodzić, zostanę jeszcze drugi tydzień.

— Mój synku poczciwy, dziękuję ci! — zawołał Jan za głowę go obejmując.

— Żeby ojciec z początku tak rzekł, tobym się nie wybierał. Ja to ojcu rad dogodzić ile mogę!

Pożegnali Rufina i razem poszli rozmawiając serdecznie i szczerze.

— A gdzież ten szmat ziemi? — wesoło pytał młody, — pokażcie go?

— To chodźmy, kiedyś ciekawy.

Minęli wieś i gościńcem naprzeciw Piłkalnisu dotarli. Stary na lewo zawrócił i ręką wskazał:

Ot, ten ugór i ta łąka. Niemce kapustę będą sadzić!

— Jakie Niemce! A niedoczekanie ich. Albo to wy nie macie bogatego syna! Od Jodasów niedaleko będziecie. Rozalki krosna słychać aż tutaj!

— Dobra i rozumna dziewczyna. Wracajmy chłopcze do domu na obiad!

Wawer stanął, jeszcze raz po ziemi tej spojrzał, potem w zanadrze sięgnął.

— Wart ten szmat pięć tysięcy?

— Niemce podobno cztery dają.

— Niech dają, ale nie dadzą. Wracajcie sami, ojcze.

Uśmiechął się tajemniczo i w lewo zupełnie skręcił. Kołodziej za nim patrzał chwilę, potem ręce złożył i począł pacierze szeptać. Skończywszy widział jeszcze, jak syn rzeczkę po kamieniach przeszedł i ku dworowi zmierzał.

— Kupi! — szepnął, a oczy mu zabłysły. Byle Bóg dał, i kupił, wtedy on do tej ziemi wrośnie, jak my wrośli. Oj święty, święty ten szary proch, co go nogami depcemy!.... Kto choć kroplę potu nań dał, to jakby ślub wziął! Daj mu Boże kupić.

W krynicy wody się napił i pełen nadziei do chaty wrócił. Na robocie byli wszyscy, ale on do roboty wziąć się nie mógł, ani obiadu tknął. Niespokojny był i niecierpliwy, wyglądał Wawra.

Mijały godziny, a chłopak nie wracał. Stary raz wraz na drogę wyglądał, do figury podchodził, ręce mu się trzęsły, nogi drżały. Już i zachód był i zaludniła się chata, a Wa-

wra wciąż nie było. Do wieczerzy bez niego siedli, bo zwykli byli, że do Butkisa z kolegami chodził. Aż oto na ścieżce kroki się rozległy i gwizdanie. Stary Jan łyżkę odłożył i niespokojne oczy obrócił na drzwi. Wawer stanął w nich i wzrok ich się spotkał. Maryjka zerwała się żywo, uprzątając dlań miejsce blisko miski, Piotrowa położyła tam chleb i łyżkę. Andrzej bratu stołka uprzątnął. A on rozpromieniony i zajęty do ojca przystąpił, na stole przed nim jakiś papier złożył.

— Ojcze... — zawołał — umiecie czytać po rusku?

Jan głową trząsnął, ale papier drżącą ręką ujął.

— Petras, ty umiesz, — do młodszego brata Wawer się zwrócił — przeczytaj ojcu.

Usiadł sam i rozparłszy się, patrzał dumnie po wszystkich. Piotr w grube ręce papier wziął, i utykając często z niewprawy i podziwu, przesylabizował: „Niniejszem zaświadczam, że sprzedałem Janowi Karewis 20 morgów pola i 40 morgów łąki, stanowiących uroczysko zwane Bubie nad Kirszniawą, na wieczystą i bezpośrednią własność, a całkowitą za nie należność w ilości rsr. 5.000 od syna

jego, Wawrzyńca Karewis, w dniu dzisiejszym otrzymałem. Podpisano: Januszewski.“

Przestali jeść wszyscy i szyje powyciągawszy, słuchali jak kazania. Oniemieli z podziwu, i to na Wawra, to na starego patrząc czekali, czy to nie sen.

— Prawda, co ten papier mówi? — zagadnął Andrzej.

— Co nie ma prawdą być! — zawołał Wawer ze śmiechem. — Ojcu się ziemi zachciało, to ją ma! Mnie te pieniądze jak plewa. Postawił pan cenę, a jam tylko torbę otworzył i tysiące mu odliczył. Tak się zdumiał, jak ot wy teraz, i dalej wypytywać, a skąd, a jak, a co ja za jeden, a czy to Karewis skarb w Piłkalnisie wykopał?. .. A jak my gadali śmiech. On po rusku, ja po niemiecku, on po polsku, ja znów po naszemu. Zrozumieli się jednak. Winszował, chwalił, do jadalni prosił, ugościł, a potem ten mi skrypt wystawił i dobrze życzył! Cóż, ojcze, nie cieszycie się z mego prezentu?

Staremu ręce i broda się trzęsła. Papier jak relikwię wziął i zmienionym głosem się ozwał:

— Takim synku rad, jakbym kawał nieba dostał. A pięknaż to ziemia, piękna i rodzajna... Daj ci Boże szczęście!

A i reszcie języki się rozwiązały. Poczęli wydziwiać, chwalić, mówić wszyscy jednocześnie. Nawet dzieci klaskały w ręce i śpiewały, nawet domowe zwierzęta podniecone wrzawą, podniosły hałas. Aż ogłuszony Wawer za głowę się porwał.

Teraz ogarnęła ich żądza obejrzenia tego skarbu, kobiety chęć pochwalenia się sąsiadom. Rozbiegli się z izby, rzuciwszy jadło, zapomniawszy wieczornych zatrudnień. Stary sam z synem pozostał.

— Ale to, Wawer, mało tego skryptu! — zauważył.

— Jakże. Pan do Kowna jedzie i ojciec z nim! Tam kupno umocnią, uprawnią, uformalizują, w księgi zapiszą. Z tydzień czasu to zajmie.

— Ja nie pojadę! — kołodziej przestraszony zaprzeczył. — Ja prawa nie znam i co mam robić, nie wiem. Gdzie tam mnie po tych urzędach chodzić, szukać! Oszuka mnie byle kto, krwawica twoja przepadnie. Ziemięś mi dał, Bóg ci zapłać, ale prawo ty na siebie rób. Mnie ta milej będzie na Wawrowem siedzieć,

jak na swojem, a jak nas odjedziesz, to choć twoje imię na papierze zostanie i w ludzkiej pamięci, a ja mówić będę: „Chłopaka to mego, a ja u niego gospodarzę. Zostawił mi te dostatki.

— Można i tak, choć to mi czasu zmitręży sporo — odparł Wawer po namyśle. — Ale co ma ojciec kłopot mieć, będzie miał gotowe! Macie tutaj w chacie atramentu trochę i byle pióro?

— Skąd? A nam to na co. Jak do Florka list posyłam, to ksiądz mi pisze.

— To i ja do księdza skoczę. Trza mi do Szczecina napisać, że dłużej zabawię. Dobranoc ojcze!

Coś sobie nucąc, zajęty i bynajmniej nie rozgniewany wybiegł na drogę. Przed nim w jasnym letnim zmierzchu zamajaczył kontur szybko idącej kobiety. Poznał Rozalkę Jodasównę po zgrabnym chodzie i odzieży schludnej, i dogonił ją z łatwością.

— Dobry wieczór! — pozdrowił.

— Pochwalony Jezus! — poprawiła go, nie patrząc.

— Na wieki! — odparł śmiejąc się. — Bardzoście nabożni.

— Jako zwyczaj, mówię.

— A dokądże idziecie?

— Do Rufina.

— Oho, do kawalera, wieczorem, sama jedna.... Nie boicie się obmowy?

— A któż mnie obmówi? Chyba wy, bo inni mnie znają.

— I ja milczeć będę za buziaka.

— Możecie sobie gadać, ile się podoba. Ja dla was nie mam buziaków, a wam wypada swojej Miemkini wiary dochować!

— A któż wam o Niemkini mojej mówił?

— Ano sami po wsi trąbicie, jakby to Bóg wie, co za wielki honor był!

— A bo i jest honor.

— Nieosobliwy, jabym się wstydziła.

— Czego?

— Dla Niemkini Boga podeptać.

— Co wy chłopy wiecie, śmiech słuchać!

— A nam zgroza! Dobrze powiadacie! My chłopy i Boga, i wiarę, i mowę i obyczaje szanujemy, a wy co?

— Gadacie jak z książki, a pewnie czytać nie umiecie?

— Tyle, co chłopu potrzeba, umiem, ale wy to pewnie zapomnieliście i pacierza, do bambizy(pastor) z Niemkinią chodzić będziecie.

— Poco się zżymacie, może się w Niemcu zakochacie, i trzeba będzie do bambizy pójść.

— A nigdy! — oburzyła się. — Chłopski stan mi nie hańba, a cudzych Bogów mi nie trzeba. Ażebym miała dla bogactwa swego sakramentu się wyrzekać — tobym się za psa miała!

— Sierdzista z was kobieta!

— Wcale nie, ale mnie zaczepiacie, tom prawdę rzekła. Wam się zda żeście bardzo rozumni, boście tysiące zebrali.... a mnie się zda, żeście bardzo głupi!

Do oczu Wawra rzuciły się płomienie.

— A wam się chce głupstwo posłyszeć! — zawołał.

— Wy nic innego nie gadacie i nie robicie! — odparła śmiało, lekceważąco ramionami ruszając

— Ej bo ostrożnie! — ozwał się rozdrażniony.

— Czego ostrożnie? Nie boję się was.... Możecie straszyć swoją Niemkinię, a do mnie wam co? Żadnej mocy nie macie nademną. Dokuczacie mi nadaremnie.

Zostawiła go na drodze bardzo rozgniewanego i weszła do chatki Rufina. Zdaleka już

ją widział nadchodzącą, bo w okienko wyglądał. Powitał smutnym uśmiechem.

— Didelisów Wawer szedł z tobą!— rzekł — Nie odjechał jeszcze?

— Bawi na moje utrapienie! — mruknęła niechętnie.

— Co on ci złego zrobił? — spytał niespokojnie.

Rozalka codziennie przychodziła do niego, kiedy czasu miała chwilę; warzyła mu posiłek, sprzątała izdebkę, prała, szyła i sprawiała mu odzież i bieliznę. I teraz nie spoczęła. Zapaliła ogień na kominie, zamiotła izbę, do kuferka włożyła przyniesiony węzełek czystej bielizny. Krzątała się jak u siebie, a kaleka szedł za nią smutnemi oczami i gorzko się uśmiechał.

— Życie mi zatruł do reszty!..— odparła na jego zapytanie. — Krysztofa zbuntował zupełnie. Od tygodnia na robotę nie idzie, w oberży z tym Niemcem pije, odgraża się na cały świat, a mnie co chwila wymyśla. Piekło w chacie! A do mnie jak smoła się przyczepił, przejść spokojnie nie da. Nasłanie Boże we wsi taki zaprzaniec.

— Szkoda go jednak. Żeby się został, dobrą siłą mógłby zdziałać.

— Jakiego dobra?.... Siedzicie wy, biedaku w swej norze i mało co o sprawach wioskowych wiecie. Zdziała on, zdziała! Dziewczęta swawoli a chłopców nieuszanowania nauczy. Tydzień zabawił, a naszych spokojnych Karewiszek nie poznać.

— Może być! Ale to szum taki, co na wiosnę po najczystszych się rzekach osadza. Wody przeto pod spodem zdrowe i chłodzące, a szum sam z siebie opadnie. Nie wiem co po chatach się dzieje, ale wiem co po naszej ziemi chodzi drżeniem. Dużo nas — milion, ale szarej masy — niby trawy marnej. Coś się roi, coś wzbiera, coś się rusza, ale nam ludzi trzeba dużych, żeby tę trawę okryli swym cieniem! Wawer by się zdał. Głowę ma, rozum i wolę żelazną! Nie byle kto zdobędzie, co on zdobył, więc nie dziw, że się zdobyczą chełpi. Możebym i ja taki był, żebym swoje myślenie młode ziścił. Szczęśliwy — jak sokół wzlatuje!

— Cóż on tam zdobył?.... Duszy i ziemi pamięć zatracił. Niemkinię głupią sobie zjednał.

— Zdobył on wiarę i szacunek. Złemu i głupiemu kupiec by swych okrętów nie powie-

rzał, córki nie oddawał. Wawra szkoda, wielka szkoda dla biednej ziemi naszej!

Dziewczyna umilkła. Postawiła przed nim wieczerzę, usiadła u stolika i przyglądała się ledwie rozpoczętej figurce świętego na warsztacie.

— Nie macie jakiego zlecenia do mnie? — spytała z cicha.

— Mam! — odparł przestając jeść i oglądając się niespokojnie. Wczoraj z Zeweliszek przysłali pakiet spory gazet. Trzeba do Palandrów do dzierżawcy Kotisa dostawić. Wiesz?

— Wiem, jużem nieraz chodziła!

— Nie idź sama teraz. Za często cię tam widują! Krysztofa poszlij!

— Uchowaj Boże!

— Czemu?

— Narażać go nie można. On żołnierz były.

— I to prawda. A wie on o czem?

— Nie. Jakeście przykazali, żywej duszy nie pisnęłam.

— Osobliwa z ciebie dziewczyna?

— Popatrzał na nią smutnie, i zamyślony słowa ludowej piosnki wyszeptał:

A ptaszek śpiewa,
Tutaj twa dziewa,

Czyściocha tkaczka,
Prządka śpiewaczka!

Rozalka wstała i odwróciła się w drugą stronę. Łzy się jej w oczach zakręcił .

Rufin jakby je przeczuł, w okno spojrzał, za którem już noc stała.

— Czego ty się mną markocisz, Rozalko— rzekł. — Zapomnieć czas tego, co minęło, by nie powrócić. Już tobie i mnie weselnych pieśni nie zaśpiewają. Czas ci o losie pomyśleć — lata biegną!

— Niech biegną!.... co mi do nich! — mruknęła.

Jakby nie słyszał ciągnął dalej:

— Mało we mnie ducha. Chciałbym tylko dwóch rzeczy dożyć, żeby po ziemi naszej książki te kradzione, jak mrówki, po wszystkich się chatach rozpełzły, i żeby ci się dobry, jak chleb biały chłopak trafił.

Spuścił głowę i zapatrzony w ziemię półgłosem zanucił:

Tam na swobodzie,
Śpiewa w ogrodzie
Kukułka szara w gęstwinie,
Ptaszyno, kiedy
Skończą się biedy,
I żywot ciężki upłynie,

Dziewczyna chustkę narzuciła na plecy i zmienionym głosem spytała:

— A gdzie ten pakiet?

Rzeźbiarz jakby zię ze snu obudził.

— Odchodzisz już, Bóg ci zapłać! Ładunek pod kominem, za cegłą schowany. A nie odnoś sama, bo niebezpiecznie.

— Znajdę dobrego posłańca. Dobranoc wam, Rufin!

Za chwilę wysunęła się z chatki. Noc była chmurna i cicha.

U Butkisa słychać było skrzypki i śpiewy. Wawer hulał z kolegami. Kilka dziewek minęło Rozalkę, dążąc na te dźwięki wabiące, ale nie poznały jej w cieniu, i przez nikogo nie zatrzymana doszła chaty, co leżała ze skraju, najuboższa, najmniejsza, pusta i czarna.

Gdy światło w niej zabłysło, dziewczyna już bez chustki i tajemniczego ładunku stała w izbie, której większą część zajmował tkacki warstat z zawiniętą sztuką lnianego samodziału. Po ścianach było dużo obrazów świętych, zioła i palmy, wisiały też motki przędzy i drobne sprzęty. W kącie posłanie Rozalki, na którem kotek biały się wylęgał. W okienkach kwiatki rosły w skorupach od garnków, a wzdłuż ścian niskie ławy biegły. Krysztofa

narzędzia leżały rozrzucone po ziemi, a na stole fajka jego i czapka żołnierska. Snać niedaleko i niedawno wyszedł.

Rozalka zdjęła ze ściany motek jaskrawej wełny i w słabem świetle blaszanej lampki nawijała przędzę na czółenko tkackie. Kotek przyszedł do niej i na kolanach się umieścił, w szczelinie świerczek się odzywał.

Dość długo trwała cisza, aż wreszcie na drodze głosy się rozległy i kroki. Skrzypnęły drzwi, do izby wszedł Krysztof, za nim Wawer. Na obu znać było gęste libacye. Cieśla klął głośno, Karewis z dziewcząt drwił. Rozalka na ich widok poczerwieniała, usunęła się poza warstat, nie witała i nie przerywała zajęcia, jakby ich nie było. Wawer ją dojrzał.

— Wróciliście już? — zaśmiał się. — Myślałem, że dłużej u Rufina zabawicie!

— Ja jej kiedyś za to bieganie do tego kulasa kark nagrzeję! — ozwał się Krysztof ponuro.

— A za co? Niech się biorą, kiedy lubią, — drwił Wawer. — Będzie o męża spokojna, że go jej nikt nie zbałamuci. I do wojska nie pójdzie, i nawet do Butkisa się nie zawlecze!

Dziewczyna milczała w cieniu za warstatem.

— Daj co jeść! — krzyknął Krysztof.

Wstała, odsunęła piec, nalała na miskę grzanego mleka, ukroiła chleba, wzięła z półki dwie łyżki, postawiła to wszystko na stole przed nimi i wróciła na swe miejsce.

Rozgorzałe błyszczące oczy Wawra ścigały ją uporczywie. Nie spojrzała ani razu na niego.

Krysztof zaczął jeść półgębkiem, wodząc ponurym wzrokiem po chacie.

— Za tydzień wyjeżdżasz? — spytał.

— Prawdopodobnie. Jak prawo na ziemię zrobię, jużem wolny wracać do Szczecina.

— Dobrze ci! Innemu zgnić tu trzeba....

— Czemu trzeba? Albo człowiek drzewo, korzenie ma? Każdemu droga wolna!

— Nie każdemu!

— Może nie tobie naprzykład?

— A mnie myślisz ochota trzyma?

— A cóż? Magdalenka?

— Choroba na nią! — zaklął cieśla.

— Ot, nie gadaj. Oczami ją zjadasz. Na twojem miejscu jużbym ja dawno skończył....

— Skończę i ja! — burknął złowieszczo Krysztof, — niechno żniwa miną.

— Ot i zgnijesz!

— Zgnije Szwedas prędzej!

Rozalka podniosła głowę i z uwagą spojrzała na brata. Co on myślał o Szwedasie?

— Sprzątnij mi tę miskę z przed nosa! — zawołał na nią. — Chleba w torbę włóż. Pójdę na noc.

— Do roboty? — spytał Wawer.

— Aha, ale prędko wrócę. Jeszcze się zobaczymy.

— A trzeba, bo myślę ojcu na nową chatę drzewa kupić i zwieść. Może mu ją zbudujesz.

— Mogę, i owszem! Rozalka, ty nigdzie nie pójdziesz?

— Owszem do Ilgian na odpust w piątek.

— Sama?

— Nie, z Maryjką.

— To ci ochota, w taki upał nogi zrywać! Co ty myślisz, wyprostuje ci Pan Bóg Rufina? — zaśmiał się Wawer.

Nie odpowiedziała. Polecenie brata spełniła machinalnie, o czemś innem myśląc. Mężczyzni zapalili cygara i rozparłszy się na stole, rozmawiali dalej, o Wawra szczęśliwym losie i różnych doskonałościach obczyzny. Karewis opowiadał o narzeczonej, jak go kochała i pieściła, jak mu z zachwytem w oczy patrzy, jak dogadza, jak go tam codzień oczekuje.

Chełpił się tem, jak tysiącami swemi, by ją kochał wzajemnie, nie było znać z gawędy. Potem rozmowa przeszła na kupioną ziemię; jak stary z niej rad i jak wszyscy się dziwują. Pojutrze Wawer z panem do Kowna pojedzie.

Krysztof więcej słuchał, jak mówił.

Nareszcie wstali obadwa i wyszli razem Rozalka zdmuchnęła światło i zaryglowała drzwi chaty, długo jednak usnąć nie mogła, niespokojnie nasłuchując szmerów na dworze. Miałabo pod swym dachem ciężką kontrabandę.

Nazajutrz wstała o świcie i nikt jej nie widział, kiedy poszła na Piłkalnis. Pastuszki wypędzający trzodę na paszę, spotkali już ją powracającą.

— *Paganik*! — pozdrowiła ich według zwyczaju.

— *Parginsin!* — odpowiedzieli chórem.

Wróciła do chaty i zasiadła do warstatu. Kobiet kilka zjawiło się do niej po radę i z robotą. Rozpowiadały o Wawrze. W Karewiszkach był on osią całego życia i zajęcia. Kupno pola do reszty zawróciło chłopom w głowie. Urósł do rozmiarów legendy.

— Musi, zostanie! — mówiły baby, — bo ktoby tyle i takiej ziemi porzucił. Słyszę i folwark stawiać będzie!

Potem Maryjka przybiegła, po drodze do roboty. Ta nad szwagra nie widziała nic piękniejszego, rozumiejszego, doskonalszego.

— Wczoraj dwa listy do Niemiec wysłał, że dłużej zabawi, może i do jesieni, bo stary chce, by mu i dom postawił. Nawet już miejsce wybrali! Braciom na czwartego konia sto rubli dał, a dla Florka dwadzieścia posłał do pułku.

— A może i Niemkinię swoją tutaj sprowadzi! — zagadnęła Rozalka szyderczo.

— Bój się Boga! toć taka wielka pani!

— A za chłopa idzie!

— Co za chłop. Taki edukowany, delikatny! We dworze go razem do stołu sadzają, za równego traktują. Każda dziedziczka by za niego poszła. Oho!

Kobiecina giestykulowała żywo trzepiąc, bo się śpieszyła okrutnie.

Andrzej w chacie został, bo jutro na kolej brata odwiezie — do Kowna. Obiecał także stamtąd im różnych różności przywieść. Stary aż odmłodniał, a dzieci to go tak lubią, jakby rok bawił.

Ulżywszy swemu sercu i gadatliwości, Maryjka pobiegła dalej, a Rozalka migając czółenkiem tkała wzorzysty samodział z nad robo-

ty oczu nie podnosząc. Potem zaczęła śpiewać. Piosnka smutna byta, jak jej dola uboga i samotna. Przed jej okienkiem przeciągały wozy z sianem, parobczaki raźnie wyprzedzali się i pokrzykiwali. Widziała Szlugurisa Jonasa, jak na piętrowej furze stojąc tłuste swe kasztany zacinał i przodował zawsze; widziała Jurgisa Szwedasa, który razem z Krysztofem wrócił z wojska i przebąkiwał, że do niej swaty przyszle; widziała Karewisów siwki i Petrasa rozpromienionego, jak zorze. Wszyscy mijali Jodasów. Oni nie mieli co zwozić, bo resztkę co sąsiedzi nie zagrabili, Krysztof w dzierżawę oddawał, a i gdzie nie mieli zwozić, bo budowle rozwaliły się ze szczętem, a i nic karmić wonnem sianem nie mieli, bo ostatnią krowę sprzedali na przednówku. Dziewczynę żałość ogarnęła i cicho zapłakała.

O południu skwar nieznośny zatrzymał robotę. Rozalka wtedy wyszła. Droga była pusta i pola puste.

Ona na upał nie dbając poszła drożyną w stronę Kirszniawy. Za rzeczką ciągnęły się pastwiska dworskie, zarosłe kępami tarniny, róż dzikich i młodej wierzbiny.

Dziewczyna minęła rzeczkę po dużych głazach, w gęstwinę tę wpadła, rozglądała się,

jakby szukając kogoś. Pastwiska też puste wyglądały i tylko z daleka parskanie koni dawało się słyszeć.

Nagle z za krzaku ukazał się wyrostek lat może piętnastu, chudy, śniady, wichrem spalony, bosy, w płótniance na grzbiecie i dziurawym kapeluszu na gęstwinie konopiastych włosów. Twarz jego jak pięść mała, bronzowa i lśniąca od słońca i potu, wyjrzała ciekawie na idącą, i uśmiech przyjazny rozchylił wargi, odbił się aż w żywych, roztropnych oczętach.

— A Rozalka? — radośnie zawołał.

Teraz i ona się zaśmiała.

— Dawnoś nie był na wsi Marcinku! — rzekła.

— A dawno, człowiek robotę ma! — odparł z dumą dorosłego pracownika. — Onegda wieczorem do chaty zabiegłem. Wawra posłuchać, jak cuda baje. Chciałbym z nim pójść, ale ojciec nie puszcza!

— I słusznie, przecieś tu potrzebny.

— A pewnie, za lato dwadzieścia już rubli zarobię. Jużem parobek.

To mówiąc wyprostował się dumnie. Mógł nim być, bo od dwóch lat na swój chleb prze-

szedł, nie obfity wprawdzie, ale uczciwie zapracowany.

— A nie nudno ci samemu?

— Nie, koni tyle, a po krzakach, co stąpisz, to gniazdo. Mam i swoją chudobę — ot, zobacz.

Rozchylił delikatnie gałęzie i pokazał dziewczynie gniazdo nisko uwite, pełne żółtych dzióbków i szarych piskląt. Samiczka bynajmniej nie zatrwożona, siedziała w pobliżu, patrząc na ludzi i ćwierkając swobodnie.

— To twoje? — uśmiechnęła się Rozalka.

— Moje, sam je znalazłem z wiosny. Stara mnie zna — o i jak! Daję im chleba, raz obroniłem w nocy od sowy, a raz od kota szelmy! To moje!

Ciemna twarzyczka promieniała radością.

— Kiedyś przyszła, Rozalko, to i chatę moją zobacz. W gościnę cię proszę, cały ze mnie gospodarz!

Ruszył przodem, rozchylając krzaki. Czasem stawał inne gniazda jej pokazując.

— Ale to już nie moje, to Boże! — tłumaczył.

— Doprowadził ją wreszcie na łączkę, otuloną leszczyną gęstą.

Opodal widać było rozsypaną stadninę, a pod krzakiem stał szałas sklecony z kołków i prętów suchych, pokryty darniną.

Wejście było otwarte, wystawione na wichry i ulewy; w głębi leżała garść słomy i jakieś szmaty, w płótno zawinięty chleb, czarka na wodę i zawieszone były u góry proste, białe skrzypce. Był to dom Marcinka.

Stanąwszy na miejscu, gospodarz pierwszem spojrzeniem zlustrował konie, przytoczył Rozalce pniak na siedzenie, do szałasu się wsunął i przyniósł jej stamtąd kromkę chleba i garnuszek wyszczerbiony pełen dzikich malin.

— Masz tobie Rozałko, zjedz! — prosił serdecznie siadając blisko jej na ziemi, z biczyskiem sążnistem, o drobnych a już czarnych i twardych rękach.

Dziewczyna jadła, cieszyło go to bardzo.

— Ja do ciebie interes bardzo ważny mam, Marcinku! — ozwała się wreszcie. — Mógłbyś ty przez jednę noc do Palandrów zbiegać i napowrót?

— Mógłbym, mnie nikt nie dogoni.

— Ale to wielki sekret, trzeba przysiądz, że nikomu nic nie powiesz!

— Czemu?

— Bo coś takiego, co nikt wiedzieć nie powinien, poniesiesz....

Pacholę zaciekawione oczy podniosło. Sekret mu powierzano, rósł w dumę.

— A komu? — spytał.

— Zaraz ci opowiem. Jak zmrok zapadnie, trzeba na Piłkalnis pójść.

— Kiedy tam coś straszy.

— A właśnie, odważnego trzeba! Tam koło samego szczytu lipa stoi wypruchniała. W dziupło trzeba rękę wsadzić po łokieć, znajdziesz papiery....

— A jak co się pokaże?

— Przeżegnasz się, nic ci złego nie zrobi. Papiery trzeba wziąć, na piersi schować, i do Palandrów dzierżawcy Kotisowi dostawić, a nikt nie powinien wiedzieć, kto ty,i skąd, i do kogo i z czem idziesz....

— A co tam stoi w tych papierach? Może to fałszywe pieniądze?

— Nie, same święte i uczciwe rzeczy. Żebyś ty tego dokonał, wielkąbyś miał zasługę przed Bogiem i szacunek nawet u najstarszych ludzi.

— To pójdę i sprawię się gracko! A jeżeliby mnie kto złapał, albo spytał, co niosę?

— Nie możesz nic powiedzieć, ani tych papierów nikomu pokazać, bo ciężko odpowiadać będziesz. Jakby z urzędu cię złapali, papiery w rzekę wrzuć, albo ogniem spal. Na to przysiądz trzeba, ukląkłszy, rękę do góry wznieść!

— Tak jak żołnierze przysięgają?

— Tak samo.

Marcinek pomilczał chwilę strwożony odpowiedzialnością. Ambicya mu jednak nie dała cofnąć się.

— To pójdę! — rzekł stanowczo.

— Przysięgnij! Za mną powtórz!

Chłopak ukląkł, rękę i oczy do nieba wzniósł.

— Przysięgam, że papierów nie wydam i prawdy nie wyjawię, choćby mnie bili, choćby więzili! Nie powiem nikomu, ni w domu, ni żadnemu człowiekowi, ni w kościele księdzu. Doniosę je do wskazanych rąk, w oznaczony dzień, chybabym zginąć miał. Tak jak Bóg słyszy, tak niech mnie sądzi, żebym zdradził. Amen!

Chłopak skończywszy wstał bardzo blady, ale zdeterminowany i poważny. Jakby o lata przez tę chwilę dojrzał. Już o nic nie pytał ale sam dysponował.

— Jak zmierzchnie, pójdę, a rano wrócę i do ciebie zabiegnę sprawę zdać. Bądź spokojna, już ja się tak uwinę, że nikt inny lepiej nie zrobi. Trza dobrze się sprawiać, żeby konie w zagrodzie nie zgłodniały. Pan by się gniewał i z zasług potrącił. No nic to, dam rady!

Zuchwale grzywą swą wstrząsnął i bat rozwinąwszy palnął donośnie.

— Daj ci Boże szczęśliwie, Marcinku. A pamiętaj, że na twojej głowie spokój całej wsi. Żebyś się przestraszył i co rzekł....

— Tożem przysiągł!— obraził się chłopak.

— Dziękuję ci. Zuch jesteś!

Powtórzyła mu raz jeszcze, co i jak miał czynić, a potem pożegnała i odeszła.

Przeprowadził ją do rzeczki i wrócił bardzo zamyślony. Za nadejściem wieczora stadninę zegnał do dworu. Skrzywiony był i kulał.

— A co to? Nocą paść nie będziesz? — zagadnął go gospodarz folwarczny.

— Proszę pana.... wszystko mnie boli i noga obiera. Pójdę na noc do chaty!

Uwolniono go na widok zbiedzonej twarzy i utykania. Za bramą wyprostował się i

jak zając czmychnął znajomemi polami, omijając wieś i drogi.

Piłkalnis samotny, obrosły nieprzebytą gęstwiną dzikich krzewów, ukoronowany drzewami, stał czarny i groźny na tle nocnego nieba. Chłopaka dreszcz wstrząsał. Krążyły o tej strażnicy starej różne baśnie i legendy, które sobie po chatach wieczorami opowiadano półgłosem, tajemniczo. Marcinkowi teraz na pamięć wszystkie przyszły. Żegnał się i rękawem pot zimny z czoła ocierał, ale szedł naprzód. U stóp wzgórza czarny cień rzucały krzaki i w ciszy odzywały się jakieś niby szepty, niby śmiechy.

Chłopak zatulał uszy, zamykał oczy i począł się przez gęstwinę przedzierać, krwawiąc o kolce twarz, szarpiąc odzienie. Wejście było strome, parę razy potoczył się w dół, ale to zamiast go zniechęcić, budziło zawziętość, z bolu zapomniał o strachu i darł się wytrwale naprzód. Nareszcie dotarł szczytu. Wzgórze sypane tworzyło tam małą platformę, w koło wałem otoczoną. Na wale tym drzewa rosły, a w środku znać było jeszcze zawaloną studnię.

Marcinek stanął, otarł krew i pot z twarzy, chwilę nasłuchiwał. Cicho było, tylko drzewa szumiały. Wówczas obejrzał się coraz

śmielszy, dojrzał lipę ową, po pniu nadzwyczaj grubym i począł rękami, węchem, wzrokiem szukać dziupła. Wspiął się i jak kot na pień wdrapał, potem namacał otwór, ramię weń wsunął, zwitek drogocenny dobył i zeskoczył.

Chwilę odpoczywał ciężko i prędko dysząc, potem zdobycz za płótniankę i koszulę na piers ukrył, pasek mocniej zacisnął i pędem, więcej się tocząc, jak stąpając, na dół się dostał. Wtedy się rozejrzał ogłuszony spadkiem. Do Palandrów było mil ze trzy. Zaczął biedz, bo wiedział, jak krótkie bywają czerwcowe noce. Biegł, jedną ręką skarb swój cisnąc. Oczy jego obeznane z ciemnością widziały wyraźnie i daleko. Biegł jak kula do ziemi zgięty, bose nogi wysoko podnosząc, przesadzając jak chart zagony, rowy, miedze, płoty. Karewiszki wyminął, na gościniec się dostał i tam niczem już nie hamowany, podwoił szybkość. Tylko mu jak cienie mijały słupy telegrafu, drzewa, krzaki.

Parę fur spotkał wracających z miasteczka, oglądano się za nim ciekawie, potrącił kilku pieszych, na pozdrowienie pobożne nie odpowiadał. Tak dobiegł zawrotu, gdzie gościniec do Palandrów droga polna przecinała.

Stała tam karczma i studnia przy niej. Marcinek zjajany, bez tchu, z zapiekłem gardłem do studni jak pies przypadł, i z koryta wodę łapczywie chleptał. W tej chwili drzwi karczmy się rozwarły, ktoś wyszedł, stanął, popatrzył na niego i przystąpił bliżej.

— Kto tam? — zagadnął gromko.

Chłopak jak dzikie zwierzę w bok się rzucił, nie odpowiadając. Pytający za ramię go uchwycił.

— Kto ty?

— *Ne supranta!* — odparł, jak wąż się wijąc pod ściskającą go dłonią.

— Kto ty? — policyant po żmujdzku powtórzył.

— Ja tutejszy, konia szukam, z paszy mi uciekł! — bełkotał szamocząc się chłopak.

— Jak się nazywasz?

Na to pytanie nieprzygotowany, zaciął się.

— Jonas! — odparł wreszcie.

— Łżesz! Hej tam, światła tu dajcie! Do mnie!

Na krzyk z karczmy ktoś wypadł, zajaśniała latarnia.

— Nie znam! — odpowiedział karczmarz policyantowi latarkę do oczu chłopca przysuwając.

Marcinek przestał się szamotać, kurtkę swą nieznacznie rozpiął.

— A złodziej, szelma, do komórki go zamknąć, po dniu obszukamy. No marsz!

Ale chłopak w tej chwili niespodzianie w bok się rzucił, z kurtki się oswobodził, szarpnął, dał sus sążniowy i przepadł gdzieś za rowem w polu żytem zasianem. Jak chróściel w morze kłosów wpadł, i zginął w tem morzu rodzinnem. Z początku jak wąż pełzł, często przyczajał się do ziemi, to znowu zgięty w kabłąk, by nad zboże nie wystawać, pomykał bez śladu zygzakiem. Potem ciszą i spokojem ośmielony głowę wytknął na wiatr, oryentował się w położeniu. Poznał okolicę i radośnie wykrzyknął. Lasek co czerniał przed nim, — o wiorstę zaledwie, były to już Palandry. Spóźnił się, bo oto niebo jaśniało na wschodzie, ale sprawił się dobrze. Na drogę już się nie ośmielał, przez bramę do folwarku nie wszedł. Z za gumien na dziedziniec wyjrzał. Niebo było coraz jaśniejsze. Nareszcie z domu człek jakiś wyszedł, a pacierze odmawiając do stodoły się zbliżył. Marcinek z cicha zagwizdał. Człowiek obejrzał się, zoczył go i podszedł szybko.

— Wy Kotis? — chłopak tajemniczo spytał.

— Ja.

— No, to macie!

Z za koszuli papiery wyjął i przez płot podał. Zresztą nic więcej nie mówili, a gdy parobcy ukazali się na dziedzińcu, chłopiec już był daleko.

I znowu biegł kłusem w koszuli podartej, okurzony, brudny, bez kapelusza, stopy miał pokaleczone, na twarzy szramy. Nie pokazał się na drodze, a gdy wreszcie Karewiszek dopadł, nie miał już siły do dworu się dowlec. Rzeczkę w bród przeszedł, w krzaki się wszył, na ziemię padł i zasnął.

Obudził się popołudniu i jakiś czas nie pamiętał, co z nim się dzieje. Potem dopiero głód i pragnienie oprzytomniły go zupełnie, poczucie niebezpieczeństwa zbudziło zmysł jego zachowawczy. Wykąpał się i sam koszule wyprał, potem ją misternie cierniami pospinał, na słońcu wysuszył, odział i do dworu pobiegł.

Pana szczęściem nie było, ekonom złajał go tylko należycie, za uszy pokręcił, kazał konie na nocleg wypędzać.

Obeszło się bez pieniężnej kary. Marcinek był zupełnie spokojny. Brak kurtki zatruwał mu wprawdzie swobodę, bo co powie w chacie, ale postanowił rankiem do Rozalki skoczyć, ona mu jaką radę da, a tymczasem zjadł, stadninę wypędził i leżąc pod szałasem swoim wypadki tej burzliwej nocy przypominał, uśmiechając się z radości. Potem skrzypki nastroił i brząkał na nich do rana. Na chwilę się dalszym ciągiem sprawy nie zatroszczył. Udało się — i basta.

Żal mu tylko było, że milczeć musiał. Jakby się chętnie pochwalił, jak zakpił z policyanta, on taki mały, z takiego olbrzyma z gwiazdką na czapce. Sen go zmorzył wśród tych marzeń rozkosznych.

Zbudziło go wcale niedelikatne trącenie w bok. Zerwał się na równe nogi.

Nad nim stali dwaj urzędnicy gminy, z blachą na piersi a kijami w ręku. Brodacz stary i Jurgis Szwedasów.

— Wstawajno, błaźnie! — stary gromko huknął.

— A czego? — chłopiec drżał.

— Do gminy cię kazano dostawić piorunem! Coś ty przeskrobał?

— O Jezu! Ja nic, ja konie pasę. Nie mogę do gminy iść, ja na służbie! — jąkał.

— Co tam twoja służba. Urząd przedewszystkiem! I mybyśmy woleli siana resztę uprzątać, jak ciebie o trzy wiorsty wodzić! No marsz!

Poprowadzili go, jak aresztanta. On się już nie sprzeciwiał swej władzy. Dreptał przed nimi ze spuszczoną głową, bardzo zalękły i tylko żałośnie prosił, by ojcu nic nie mówili.

Gmina była we wsi sąsiedniej, w Wisborach. Chłopczyna nigdy tam nie był nawet, a w miarę zbliżania się, coraz go większy lęk napadał. Strażnicy napędzali go do pośpiechu, a on zbolałe swe stopy ledwie niósł, utykając często i kurcząc się, jakby czuł już razy na plecach.

Nareszcie przyszli na miejsce. Wprowadzili go do izby, gdzie się sądy i narady gromadzkie odbywały.

Wójt siedział za stołem, ławnicy i starszyzna, a wśród nich policyant mocno rozsierdzony.

On taki mały i mizerny przed nimi stanął i nic zrazu nie widział, tylką swą kurtkę płócienną, obszarpaną na stole. Czuł się zgubionym.

I zaczęło się śledztwo. Chłopi milczeli, policyant pytał, pisarz zapisywał.

— Twoja ta kurtka?

Marcinek skłamać chciał, ale szczęściem oczy podniósł i wśród sędziów Szwedasa starego zobaczył, który mu nieznaczny, twierdzący ruch głową wskazał.

— Moja! — odparł z cicha.

— Aha, twoja! A ty sam gdzieś biegał tej nocy?

— Marcinek znowu na Szwedasa spojrzał, ale już stary siedział nieporuszony i odwrócił w inną stronę.

— Ja konia szukałem! — odparł chłopak.

— A pocoś skłamał imię?

— Kasztanowatego szukałem...

— Gadaj prawdę! — Posełał cię kto?

— Nikt nie posełał, koń z paszy zginął.

— Nie łżyj, bo będzie źle! Dokąd biegłeś?

— Łysego szukałem. On kupny, to się stada nie trzyma.

— Łże! Ja mówię, że łże! Starszyna, każcie mu rózgami dać!

Chłopi spojrzeli po sobie, pokiwali głowami, naradzali się z cicha. Wreszcie wójt przemówił:

— Kiedy upewniacie, że kłamie, to rózgi nie zawadzą. Szauklis daj mu piętnaście, ty, Jurgis, potrzymaj!

Wykonawca wyroków, stróż gminny, chłop wysoki i barczysty przystąpił do delikwenta. Marcinek zęby zaciął, choć się cały trząsł. Położono go na ziemi i zaczęła się bolesna operacya. Nie wiadomo, czy Szauklis słabo bił, czy chłopak tak wytrzymały się okazał. Ani się odezwał. Odliczono piętnaście.

— No gadaj teraz. Posełał cię kto? Nosiłeś co, gdzie?

— Łysego kasztana szukałem! — była odpowiedź uparta.

— No poczekaj, jeszcze to nie koniec! Starszyzna, ja wam mówię, jeśli mu nie zasądzicie drugiej porcyi, zaskarżę was wyżej, że go z wiedzą ochraniacie!

— Co mamy ochraniać! — zawołał wójt niespokojnie. — Winien, powiadacie, niech cierpi. My nic nie wiemy.... on nam nie krewny, żebyśmy go oszczędzać mieli.

— Dać, jak pan policyant mówi!.. drugą porcyą! — potwierdził Szwedas w imieniu ławników.

Rozciągnięto go znowu i bito, rachując uroczyście razy, i znowu chłopak milczał.

Wstał czerwony, oczy miał pełne łez, ale nie płakał.

— Da ci ojciec drugie tyle, jak za ciebie grubą karę zapłaci! — krzyczał policyant ze złości wściekły.

— Powiedz prawdę, jeśliś winien! — ozwał się Szwedas powoli, łagodnie. — Możeś co ukradł i utaił! Dziecko jeszcze jesteś, mogłeś zbłądzić.

Marcinek, który na wzmiankę ojca aż ze strachu zzieleniał, teraz nazwany dzieckiem, głowę hardo podniósł.

— Łysego kasztana szukałem — swoje twierdził. — Śpieszyłem się, pan policyant mnie zatrzymał, chciał zamknąć więc uciekłem.

— A łysego znalazłeś? — szyderczo urzędnik spytał.

— Znalazłem i spętałem. Pokażę go panu, jeśli nie wierzycie.

— Szatańskie dziecko!

Policyant wstał ze złością okropną, i pięścią mu pogroził.

— Poczekaj. Dam ja tobie jeszcze!

— Może i prawdę mówi! — ozwał się wójt po namyśle. — Coby on tam nosić miał. Toć wiadomo, że za koniuchę służy we dworze. Nikt też kradzieży nie zaskarżył. Albo

to podobne do niego! Ot, zląkł się, i tyle! Ale za opór władzy kara go nie minie. Do komórki go na chleb i wodę zamknąć. Niech na drugi raz mores zna!

— A słusznie! — sędziowie potwierdzili.

Chłopiec płakać zaczął:

— Ja na służbie! Któż będzie konie pasł! Pan mi z zasług potrąci!

Ale go nikt nie słuchał. Chlipiącego Szauklis za ramię wziął, wyprowadził z izby, otworzył na dziedzińcu pusty chlewek obok pisarzowego wieprzka, wepchnął go tam, drzwi za nim na zamek spuścił i słowa nie rzekłszy poszedł do innej roboty.

W klitce bez podłogi i okna różnemi gratami pisarzowej zarzuconej, bohater sam został, na ziemi siadł i płakał rzewnie.

Teraz wszystko skończone. Pan się dowie i albo karę zapisze, albo całkiem innego pastucha przyjmie. Ojcu też sąsiedzi opowiedzą rzecz całą, i choć się więcej w chacie nie pokazuj. Rówieśnicy śmiać się i drwić z niego będą.

Płakał Marcinek, póki mu łez i sił nie zabrakło. Potem znękany, zbity, głodny zasnął jak zwierzątko zbiedzone, skręcony w kłębek na garstce słomy.

Szauklis go zbudził, otwierając skrzypiące drzwi. Dał mu chleba i wody, wrzucił też ową nieszczęsną podartą płótniankę siną. Chłopak zaczął go po rękach całować.

— Mój dziadziu, mój złoty, puśćcie mnie do koni.

— We środę cię puszczę!

— We środę! O Jezu! Toć to za pięć dni dopiero!

— A no cóż? Tak zasądzono. Dosyć lamentować, ażebyś się nie nudził, ot masz słomę, spleć mi kapelusz.

— Splotę, byle się ojciec nie dowiedział.

— Oho, jeszcze z wieczora przychodził!

— A bardzo się odgrażał?

— A no pewnie! Chciał tu przyjść, ale nie wolno.

— Oj! biedna moja głowa, biedna! ... Gdzie ja się obrócę?!

Szauklis się uśmiechnął i wyszedł.

W ciemnej komórce Marcinek męczył się nieznośnie. Do obszarów wolnych i bezgranicznej swobody nawykły, ciasnoty i mroku znieść nie mógł. Słomę splatał machinalnie, zamiast odpoczynku, zmęczony i chory się czuł. Zamiast ludzkich głosów, słyszał tylko krząkanie wieprzaka na lewo, a na prawo wieczorem

porykiwanie cielęcia do krowy. Powietrza mu też brakło. Do ściany podchodził, szczeliną na świat boży wyglądał, albo usta do szpary przykładał i jak pijak rzeźwiący podmuch do piersi wciągał. Ale najsroższy był namysł nad tem, co go w chacie czekało po uwolnieniu; już i spać mu się odechciało z nudy i niepokoju. Plecionkę dla Szauklisa skończył i chodził od ściany do ściany, jak zwierzątko dzikie w klatce. Nareszcie pewnego wieczora Szauklis mu drzwi otworzył.

— No, odsiedziałeś swoje! Możesz ruszać do domu!

Chłopak poleciał jak szalony na dziedziniec, ale już za wrotami na drodze, stanął niepewny co robić dalej.

— Marcinku! — ktoś go z boku cicho zawołał.

Obejrzał się, była to Rozalka, czatowała snać na niego tutaj.

— Biedaku, przepraszam ciebie! — rzekła z widocznym żalem. — Za mnieś tak pokutował. Żebym wiedziała, że tak ci się nie powiedzie, samabym poszła!....

Chłopak głowę zuchwale podniósł.

— Ot gadanie! Czy tobie, kobiecie w to się ryzykować. Mnie co innego, mężczyźnie.

Powiadasz, nie powiodło się! Jakto? Albo mi kto papiery odebrał! Oho! na miejsce odstawiłem. A że w skórę wziąłem, to co? Alem się nie wygadał. Jak drugi raz poszlesz, to jeszcze lepiej się sprawię, bom już praktyk! Drugi raz to mnie nie wsadzą do jamy! Tak mi zbrzydła, że nie opowiedzieć!

Otrząsnął się jak pies po kąpieli i szedł razem z nią ku Karewiszkom.

— Służbę to stracę niezawodnie, ale najgorsze to jeszcze od ojca czeka. Da on mi da! Jeszcze z naszego rodu nikt w areszcie nie siedział. Wstyd zrobiłem chacie, będzie mi!

— Pójdę z tobą do ojca, bo ja winna!

— Ej nie chcę, byś mię zasłaniała, odcierpię! I za kurtkę wykrzyczą i za kapelusz!

Markotnie głową pokręcił.

— Nie, płótniankę ci nową poszyłam. Ot masz, a kapelusz mam także w chacie! Nie bój się!

Podała mu zwitek odzieży, a on uradowany prędko się ubrał. Potem z za gorsecika wybrała coś małego i wręczyła mu.

— To za tę biedę twoją nagroda! — rzekła cicho. — Masz, schowaj, bo to drogo kosztuje!

Marcinek spojrzał, i aż poczerwieniał ze szczęścia.

— Książka z modlitwami! O Jezu! naprawdę moja będzie?

— A twoja. Zasłużyłeś dobrze!

— O jej! Taka gruba, i złote brzegi, i obrazków aż dwa jest! Toć takie tylko starsi gospodarze mają. Gdzieś ty ją kupiła?.

— Dostałam z daleka dla ciebie.

— Naprawdę dla mnie?

— Naprawdę. Powiedzieli: Marcinkowi daj za odwagę i wierność przysiędze! Toż Karewiszek spokój na twojej głowie leżał, a tyś strzymał!

— Oho! Ja wiem co przysięga. Podziękujże tym za książkę i powiedz, że nie raz i dwa gotowem usłużyć! Byle ojciec z chaty nie wypędził!

— Nie, nie!

— A Wawer już odjechał? Nie wiesz?

— Jeszcze z Kowna nie wrócił. Wy teraz bogaci.

— A wiem. Ziemi szmat kupił. Ale mnie to wszystko jedno, bylem służbę miał. Czy tak, czy siak, w rekruty pójdę!

Zbliżyli się do wsi, gdy już ciemno było, i zaraz na wstępie starego Szwedasa spotkali.

Jechał na wozie z próżnemi beczkami od piwa. Poznał ich i stanął.

— Odsiedziałeś?— spytał, fajkę z ust wyjmując.

— Jakeście zasądzili, takem cierpiał! — odparł chłopak z urazą.

— Drugi raz, to cię jeszcze srożej zasądzą. Nie oprzesz się, aż w powiatowym areszcie.

— Oho zjecie licha, nim mnie złapiecie.

— No, no, pamiętaj!

Stary konie trącił i już w biegu do Rozalki się odezwał:

— Zdrożeją grzyby w tym roku. W Gierynajcze (lasy) strażnicy zbierać nie dają!

Wóz się potoczył głośno dudniąc i podskakując.

— Co on o grzybach plótł? Ni przypiął, ni przyłatał — zauważył Marcinek.

— Za kogo innego mnie wziął. Nie poznał! — odparła Rozalka spokojnie.

Skręcili od figury do Didelisów. Chłopak rezon tracił, oglądał się, jakby zemknąć miał ochotę. Dziewczyna szła przodem i pierwsza weszła na próg. Wieczerzali właśnie wszyscy w około długiego stołu, na ławach, na stołkach. Gwar panował jak w ulu. Od pierwszego rzutu oka spostrzegła, że się omyli-

ła. Wawer już był z powrotem. Po prawicy ojca siedział obok Maryjki. Jasna jego krótko ostrzyżona głowa, zarost, miastowa odzież, wyróżniały go z pośród rodziny. Rozalka chętnieby się cofnęła, ale było już po niewczasie.

— Pochwalony Jezus! — pozdrowiła.

— Rozalka, czy upior! — krzyknęła Maryjka.

— A to dziw takie odwiedziny! — dodał Andrzej z przyjaznym uśmiechem.

— Do chleba i strawy prosimy! — rzekł Jan stary.

Wawer wstał z miejsca obyczajem światowym.

— Usiądźcie! — poprosił.

— Jeszczeby! — oburzyła się Maryjka. — Macie jak dla jakiej królowej miejsca ustępować. Zmieści się koło mnie.

— Dziękuję! — rzekła dziewczyna. — Przepraszam, żem wieczerzę przerwała. Do gospodarza mam interes.

— To gadaj, dziecko!

— Darujcie, że was do sieni pofatyguję!

— Oho, aż takie sekrety! — zaśmiała się Maryjka.

— Stary wstał i do ciemnych sieni z nią wyszedł,

— A tam kto stoi na dworze? — zagadnął.

— To ja, tewe, Marcinek!

— A ty, z aresztu! Bracia twoi nawet tej nazwy nie znali, a ty mnie wstyd i hańbę do chaty nanosisz! Złodziej Karewis, włóczęga, szelma! Chodź tutaj! bili cię w gminie rózgami, skosztujesz ojcowskiego rzemienia! Chodź bliżej, słyszysz?

Rzemienny swój pasek jął odpinać, gdy wtem dziewczyna za ręce go porwała, przechyliła się do niego i szeptem prędko, urywano, parę słów rzekła.... Kołodziej nieruchomy, milczący słuchał, ręce puściły koniec rzemienia. Nic nie powiedział. Parę kroków do nieruchomego Marcinka postąpił, na rozwichrzonej głowie spracowaną dłoń położył, potem schylił się nisko i włosy te pocałował.

Chłopak do kolan mu padł i łkał z radości. Ojciec go podniósł i wciąż po głowie gładząc, do izby wszedł.

— Maryjko — rzekł — chłopak z biedy wrócił.... Daj mu miskę strawy, a potem odzież czystą i bieliznę.

— Nie z biedy, a z aresztu! — Andrzej gniewnie wtrącił.

— Powiedziałem z biedy i basta! Jak ja nie karzę, wam do niego zasię!

Umilkli wszyscy, tylko Wawer się odezwał wesoło:

— Ojciec na starość ze srogości ustąpił. Jak my w jego latach byli inny rygor rządził. Dziękuj Bogu, Marcin, żeś wtedy jeszcze w kołysce królował.

— Inne czasy, inny rygor! — Jan lakonicznie wygłosił, siadając znowu na ławie.

— Siadaj i ty Rozalko — powtórzył z widoczną ujmą w głosie.

— Dziękuję, nie głodnam. Zostańcie zdrowi!

— A dalibóg nie puszczę! — zawołał Wawer zrywając się i zastępując jej drogę.

— Uciekacie, jakbyście do wrogów przyszli! A toć Maryjce w tej chacie swojsko, dodał Andrzej wesoło.

— Rzadki z was gość, to choć siłą zatrzymamy! — Piotr wtrącił.

Ostąpili ją od progu wszyscy.

— Fi, to ją tak kawaler płoszy! — zażartowała siostra.

Ogólny śmiech przyjął uwagę.

— A toż cię nie zje!

— Ktoby taką ładnę dziewczynę jadł! Ino popatrzeć i oblizać się! — zaprzeczył Wawer.

Rozalka wreszcie uległa. Posadzono ją u stołu. Jan jej sam chleb i misę podsunął.

— A Krysztof doma? — spytał.

— Na robocie.

— Coś on zmarkotniał temi czasy!

— Nie wesoła dola bez roli, bez konia, bez chleba.

— I bez Magdalenki! — wtrąciła Maryjka.

— Oj, tyle biedy — Andrzej się odezwał. — Jesienią swaty poszle, to mu ją dadzą! Żadna osobliwość.

— Nie dadzą! — szepnęła Rozalka. — Szluguris już się upewnił. Głośno opowiada.

— Moc wesel tej jesieni będzie! — Zaczęła wyliczać Piotrowa. — Brodacz krawcównę bierze, a Józefów młodsza do Wisborów idzie. To dwa, a wdowiec Bukutis myśli drugą żonę brać, to trzy. U Szlugurisów będzie też huczne wesele, a u Szwedasów to chyba dwa.

— Jakie dwa?

— Ano Magdalenki i Jurgisa.... Stary Rozalkę już jakby za synowę miał, a Jurgis wczoraj cały wieczór pod oknem u niej prze-

gadał. Ot jak się dziewczyna mieni. Pewnieście sobie przyrzekli?

Rozalka pod ogniem wszystkich ciekawych spojrzeń, pąsowa się stała, ale oczu nie spuściła.

— Plotki to! — odparła ramionami ruszając. — Jurgis za matczynym interesem zaszedł, o robotę pytał. Potem pasek sobie kupił i trochę zabawił na Krysztofa oczekując. Szwedas takiej hołoty jak moja nie patrzy.

— Ale statku twego i pracy! — rzekł Jan.

— I krasy! — dorzucił Wawer.

— Kraśniejszych nie przeliczyć w Karewiszkach! — obojętnie dorzuciła.

Skończono wieczerzę. Wstała pierwsza Maryjka statki sprzątać, wstali za nią wszyscy i modlitwę zmówiwszy, staremu gromadnie podziękowali. Zbliżył się do niego i Marcinek, który przy starszych cicho siedział i pocałował go w rękę.

— Ojcze — rzekł — pójdę do koni już, a jak mnie ze służby za tę biedę przepędzą?

— Pięknie przeproś, a jak to nie pomoże, przychodź śmiało do chaty. Karać nie będę i chleba nie poskąpię.

— Ale — oburzył się Wawer — co on tam ma poniewierać się po cudzych obowiązkach!

Albo my to od pana nie bogatsi? Dosyć biedy, będziecie panować!

— Służba nie hańbi— stary zaprzeczył — a chleb im ciężej zdobyty, smaczniejszy! Dał Bóg dostatki, chwała Jemu, ale pracować do śmierci trzeba. Dwór bez nas, a my bez dworu się nie obędziemy — takie z wysoka ustanowienie jest. Niech chłopak służy, jak przedtem, a my, choć dzięki tobie bez najmu przeżyć zdołamy, skoro do żniw dworskich poproszą, jako zwykle gromadą ruszymy.

— A rozumie się! — jednogłośnie Piotr i Andrzej potwierdzili.

— Oho, jabym i palcem nie ruszył. Albo mi to pańszczyzna! Jakby wieś rąk i potu tym polom pańskim nie dała, dwórby nasz był, i zginął.

— Nie daj nam Boże cudzą krzywdą bogacić!

— Tak na wielkim świecie jest, świat długo pańskim był, a teraz czas, by się stał chłopskim. W Ameryce chłopi panują.

— Nie wiem, jak w Ameryce jest. U nas dwór od wieków był, panowie jak my na ziemi swej wzrośli. Każdemu jako matka ta ziemia droga — i nam i im. I oni teraz równą

biedę z nami cierpią, w jednym kościele Bogu troski zanoszą. My ich nie zgubimy!

— Jako zwykle usłużymy, bo nijakiej krzywdy nie mamy! — za ojcem starsi synowie rzekli.

Rozalka poczęła się żegnać, starego Jana pocałowała w rękę, innym skinęła głową. Wawer po kapelusz sięgnął.

— Nadprowadzę was trochę — rzekł — bo mi po drodze do Szlugurisów wstąpić trzeba..

Nie odrzekła nic i w progu jeszcze nabożnie pozdrowiwszy, wyszła za wrota.

— Rychło odjeżdżacie do Niemców? — spytała go na drodze.

— Jeszcze zabawię! — odparł. — Prawo na ziemię gotowe, ale ojciec uprosił, bym jeszcze drzewo na budowle kupił i na miejsce dostawił. Trzeba staremu dogodzić, żeby bardzo nie lamentował! Nudno tu, ale nic nie poradzisz.

— Bezczynnemu zawsze nudno.

— Mnie dziw, żeście z miasta tutaj wrócili.

— Czemu dziw? Jako do matki wracałam do swojej chaty, jako do rodziny, do swoich ludzi. Obczyzna mnie gniotła jak grobo-

wy kamień.... Chłopską mam naturę — nie taką jak wy!

— Bo was serce ciągnęło. Kochanie zostawiliście. Żebym ja dziewczynę wybraną odjechał, tobym też wrócił.

— Kochanie różne bywa.

— Wasze dobre! Wam z oczu patrzy, że miłować umiecie. Uroda od was aż bije!

W ciemności oczy mu zabłysły. Spostrzegła to, obejrzała się i przyśpieszyła kroku.

— Szkoda was dla Jurgisa Szwedasa.

— Czemu? Chłop on jako ja i pracowity i stateczny.

— Lubicie go?

— A czemu nie. Szanuje mnie, i nigdym od niego złego słowa nie posłyszała. Ot, i do Szlugurisów zwrotka, bywajcie zdrowi!

— Nie śpieszy mi się. Może Jurgis pod oknami u was wystawać, możecie wieczorem u Rufina bywać, to mogę i ja was do chaty nadprowadzić.

— Idźcie swoją drogą, a ja swoją. Mnie takiej kompanii nie trzeba. Idźcie do Magdalenki bałamuctwa prawić.

— Mnie do was ochota. Nie zostanie znaku, jak mi buziaka dacie.

*

— Wstydu nie macie tak gadać, narzeczonym będąc.

— Bóg wysoko, a pan daleko! — ze śmiechem odparł.

— Tak wam się zda, a mnie inaczej. Idźcie swoją drogą.

— Pójdę, jak na swoim postawię.

Dziewczyna naprawdę się zlękła jego zuchwalstwa i złych oczu. Już prawie biegła, ale on nie ustawał. Minęli całą wieś, dochodzili jej chaty. Stanęła u furtki zdyszana.

— Odejdźcie sobie! — zawołała gniewnie.

On zamiast odpowiedzi w pół ją ramieniem ogarnął, do twarzy się pochylił. Podniosła wtedy rękę i dała mu ognisty policzek.

— Precz, do Niemkini zaprzańcze, do miastowych dziewek! — zawołała głuchym od złości i zmęczenia głosem.

Zachwiał się od razu, ale taki zawzięty, nie puścił jej. W jednę żelazną dłoń obie jej ręce uchwycił i jak w kleszczach ścisnął. Teraz była na jego łasce. Odchyliła twarz, ale on ją w szyję, we włosy całował, nic nie mówiąc.

— Puśćcie! — zawołała, wydzierając się ze sił całych.

— Nie męcz się próżno! — rzekł. — Było po woli na prośbę buziaka dać. Bijesz, za to po niewoli pocałuję!

— Wstyd wam i hańba.

— Niech sobie będzie. Nigdym w życiu do nikogo takiej ochoty nie czuł, jak do ciebie. Czego się boisz, krzywdy ci nie zrobię, a wycałować muszę.

— Ja was się nie boję, ale nie cierpię. Puśćcie!

— Za co nie cierpisz?

— Boście podli, nie dochowaliście nikomu wiary i nikczemność z sobą przynieśliście! Tak wami się brzydzę, jak gadem.

Ramię jego opadło i dłoń puściła jej ręce. Uwolniona, skoczyła do chaty i zamknęła się w niej. A on jak oszołomiony i zawstydzony chwilę stał, potem zawrócił do wsi, nie gwiżdżąc jak zwykle. Sam nie wiedział, dlaczego wstyd mu się zrobiło i tym tryumfem nad Rozalką nikomu się nie pochwalił.

....

A Marcinek tymczasem do dworu pobiegł. Tęskno mu było do swych koni, do skrzypek, do szałasu. Z wieczora jeszcze przed panem stanął i pokornie ręce ucałował, przepraszając.

Pan zrazu krzyczał, karę zapowiadał, nareszcie jednak po ramieniu go poklepał i łaskawie uwolnił. O świcie już chłopak wesoło z bata paląc, stadninę pognał na zwykłe pastwisko.

Szałas znalazł pusty. Chleb jego ktoś zabrał, słomę deszcz przemoczył, garnuszek przepadł, a skrzypce zamokłe pękły i grać nie chciały.

Strapiony chłopak do ptasząt swych w odwiedziny poszedł, ale gniazdko tylko puste zastał. Wylecieli jego wychowańcy tymczasem, a może je kot pożarł, bo i starej nie było w pobliżu. Domek ten maleńki z perzu i piór sklecony, Marcinek w ręce wziął, obejrzał i na płacz mu się zbierało. Tak je hodował i patrzał, a one mu nawet nie zaśpiewały na pożegnanie.

V.

Nadeszły żniwa. Na dworski łan wylęgły pewnego dnia całe Karewiszki, bo dzień to był taki, że zabobon zabraniał u siebie robić, a z wieczora w wigilią pan sam wieś przeszedł, prosząc o pomoc. Stawili się bez mała wszyscy, od najbogatszych do najbiedniejszych, od starych do młodych. U Didelisów Jan tylko sam

został z dziećmi. Synowie z żonami do świtu jeszcze poszli, po drodze zabierając sąsiadów i krewnych. Był to jakby fest, to żniwo we dworze. Mężczyźni odzieli śnieżne koszule, najjaskrawsze spodnice poupinały dziewczęta, jak na tańce, rutę w warkocze. Był jakby fest, bo nawet Krysztof Jodas zjawił się z kosą i Rozalka warstat opuściła.

Ustawili się kosarze jak żórawie, długim kluczem, ciągnęły za nimi kobiety garście złotych kłosów zbierając, snopy wiążąc, a w końcu starzy i wyrostki gromady składali, wzdłuż ogołoconych zagonów. Od pola tego szmer szedł, jak od roju szarańczy. Chrzęsty zboża, kos brzęczenie, szumy głosów setnych. Czasem kosy stawały do słońca błyszcząc nieruchome, a ogarniał wszelkie odgłosy śpiew chóralny, któremu wnet kobiety podpowiadały drugą zwrotkę, a starzy basem wtórzyli. Jakby motyle to pole obsiadły, tak się mieniło całe, tak ruszało się, jak żywe. Dworski łan w tem miejscu Kirszniawa oddzielała od owego szmatu roli sprzedanego Didelisom. Cztery świeże kopce świeciły z daleka, a na wzgórzu piętrzył się stos budulcu. Co rana Wawer na to pole szedł, dozorował pomiaru i opalowania,

zwózki drzewa i kamieni na fundamenta. Już miesiąc upłynął, a on jeszcze bawił.

Ze Szczecina przychodziły listy wzywające go do powrotu; odpisywał tłumacząc zwłokę rodzinnemi sprawami, zwlekał co tydzień z wyjazdem. Robotę miał teraz. Ten kawał ziemi za krwawy grosz dwunastoletniej pracy ojcu kupiony, stał się dlań drogim, coś go z rana ciągnęło na ten wzgórek za krynicą, spędzać zwykł na nim dnie całe. Zajęcie przeciągało się, obejmowało nieznacznie jego myślenie i chęci.

Do pracy ręcznej się nie imał, ale przyglądał się jej chętnie. Cieszyło go to, gdy pole rozdzielono na trzy części, i jednę bracia i sąsiedzi złamali pługami na jesienny zasiew; zajmowała go każda sztuka drzewa przywieziona z lasu, raz nawet wspomniał ojcu o nawozie, który gdzieś kupić należało i namawiał do kupna paru koni i krów na zimę.

Ze wzgórka widział całą posiadłość. Łączkę, którą na potraw zatknięto, regularne skiby świeżo ruszonej ziemi, pastwisko, gdzie bratnie bydło się pasło. Dalej Piłkalnis stary a w prawo gościniec i najbliższą Jodasów zagrodę, skąd stuk warstatu Rozalki od świtu do zmierzchu się rozlegał, i skąd co rano ciężkim

krokiem ponury Krysztof do niego szedł drzewo spławiać i ciosać. Rankiem od Kirszniawy para się wznosiła, jak dym białawy, potem długi dzień skwarem palił i znowu wieczorem mgły wstawały, a orana rola wydawała z siebie surowy, czerstwy zapach.

Zachodzili do niego gospodarze ze wsi, podziwiając i chwaląc tę ziemię, a on się uśmiechał radośnie. Odwiedził go kiedyś sam pan nawet, i rozmawiał z godzinę przyjaźnie, a raz z wieczora ze starym Janem pleban przyszedł, obejrzeć nabytek i miejsce na kapliczkę opatrzeć.

Zasiedli we trzech na ociosanej belce.

— Ziemia się ta cieszy, cieszy — mówił kołodziej, a twarz jego do poważnej zadumy nawykła, wygładziła się dziecięcą radością. — Cieszy się, bo nie będzie jej najemnik kaleczył, dzierżawca jak pijawka ssał. Będzie ją sam właściciel pielęgnował, pieścił. Będzie nią oczy pasł i jak matkę szanował.

— Bo i matka to jest — ksiądz dodał. — Widzicie, jak ona dzieci, póki małe, chlebem karmi, lnem odziewa, żeby potem, jak dorosną, opieką i chlubą jej byli. Wawra waszego ona się nie powstydzi.

A Wawer milczał, bo mu wstyd było zaprzeczyć.

Wieczorem wracał jakiś rozmarzony. Bywało, że o Szczecinie zapominał, tak mu ta wieś stała się swojską, ludzie znajomi, tak do ścieżek tych i zagród przywyknął. Odnalazł mowę czystą, jakby nigdy innej nie używał, i nierzadko do chóru młodzieży stawał, pieśń naiwną chłopską z innymi śpiewając.

U Butkisa na tańcach pierwszy był, a w chacie poznał wszyskie kłopoty i troski, zaprzyjaźnił się z dziećmi, ze zwierzętami domowemi, ze sprzętami nawet.

W ów dzień dworskiego żniwa, ze wzgórka swego widział ich wszystkich, jak na dłoni. Rozróżniał twarze kosarzy, poznawał kobiety, słyszał słowa pieśni:

Kto nie wyszedł wśród rosy
I nie skąpał w niej kosy,
Temu suchą wiatr trawę
Sprzątnie, jak przez zabawę.
Hulajże koso, hulaj!
Do kwiatów się przytulaj!

Powoli zaczął schodzić ku rzece. Przebrodził ją, na pole wszedł, zbliżył się ku pracującym.

— *Podiek Diewo*! (Pomagaj Boże!) — pozdrowił.

— A mógłbyś ty i mnie pomódz, bom od machania i śpiewu dech stracił! — zaśmiał się Szluguris.

Zaśmieli się wszyscy kosarze.

— A toby on nam nogi poucinał! Pewnie jak żyje, kosy w garści nie trzymał.

— Trzymać, trzymałem, będzie temu lat dwanaście. Andrzej zaświadczy, on mnie wtedy uczył.

— Miałeś czas zapomnieć! — odparł brat zatrzymując się by kosę naostrzyć.

— A dajno! spróbuję... — zaśmiał się podchodząc.

Obejrzeli się ciekawie wszyscy.

On kosę ujął, zamachnął, śmignął raz i drugi.

— A doprawdy zdatny! — chwalono. — Ino się prędko zmęczy, bo niezwykł!

— Poczekajcie, nim powiecie! — odparł urażony.

Zrzucił surdut i stanął jak reszta w kamizelce i koszuli. Tylko koszulę miał bielszą i krawat ze złotą szpileczką, która migała na słońcu. W szeregu miejsce zajął i kosił nie gorzej innych. Znój mu wystąpił czerwienią na policzkach, i żyłami grubemi na szyi i skroni.

— Zuch z ciebie wszędzie! — rzekł Andrzej po chwili — ale dosyć sławy. Ustąp mi.

— Niechaj! Ochotę mam. Garście ty zbieraj, a Rozalka niech spocznie.

Andrzej usłuchał, a Maryjka do krzyczącego na miedzy Wawrzyńca pobiegła, rada wytchnieniu.

Robota szła żywo, od dworu pan sam nadjechał, konia rzucił i pieszo pracujących szeregi obchodził, chwaląc i żartując.

— I Krysztof tutaj i tkaczka sławna nasza! Wielkiego honoru moje żyto dostąpiło. Taki dzień wart poczęstunku!

— Wszyscyśmy tu! — odparł Szluguris— żeby Rufin nogi miał, toby i on swoje *apasztaluki* (apostołowie) rzucił i z nami bieżał, bo we wsi teraz jakby mór przeszedł.

Pan teraz wprost Wawra stanął i patrzał, oczom nie wierząc.

— Co? i mój kupiec tutaj? To już przednia osobliwość. To wy Karewis i kosić umiecie!

— Co zobaczę, to umiem.

— To was w dwójnasób szanuję, żeście w pomyślności pychy nie nabrali!

Poszedł dalej między kobiety i żartował.

— Starajcie się dziewczątka, takiego kawalera we wsi macie, że przed nim się pochwalić trzeba.

Magdalenka wyprostowała się, zawsze śmiejąc.

— Starałybyśmy się, panie, żeby korzyść była. Ale ten kawaler na nas nie patrzy. Ma on już swoją pannę w mieście, może i nie urodniejszą od nas, ale całą ze złota i Niemkinię!

— A kłamiesz! — Wawer zaprzeczył. — Jeszczem ani jednej z was nie opuścił, żeby nie popatrzeć.

— Co ta z twego patrzenia. Żebyś na zapowiedzi dał, tobyś chwacki kawaler się nazywał!

— A dam, tylko nie ze wszystkiemi, a z jedną. W Karewiszkach i bezemnie chłopców nie brak. Ot! niedaleko ciebie Jonas, Petras, Krystof!

— Siła złego! — lekceważąco odparła.

Jodas, za którym garście zbierała, obejrzał się i pierwsze tego dnia słowo rzekł:

— Nie bałamuć, a rób!

— Ty mnie nie napędzaj! — oburzyła się. — Tak się za innemi wleczesz jak senny, a drugim przyganiasz. Rozalka, zbieraj sobie za nim, ja weselszej kompanii poszukam.

Rozalka znalazła się obok Wawra. On na nią nawet nie spojrzał, i dalej ze Szwedasówną się droczył.

Od owego wieczora nie gadali do siebie, a spotkawszy przypadkiem, on tylko kapelusza uchylał i nie pozdrawiał nawet. Zapanowała między nimi głucha złość i niechęć.

Dziewczynie na wspomnienie owych zniewolonych pocałunków ze wstydu i gniewu twarz pałała, on jej darował policzek, lecz nie zapomniał zarzutu niewiary i podłości.

Kosarze dokończyli zagonów, wbili kosy rękojeścią w ziemię i odetchnęli chwilę. Szluguris wnet śpiewać począł, i Wawer z innymi zawtórował:

Konno w świat jadąc pytam skowronka,
Gdzie jest dziewczyna przyszła ma żonka,
Po czem ją poznam, gdzie ona mieszka,
Jaka do chaty jej wiedzie ścieżka?
Mijam podwórze nie zamiatane,
Spoglądam w okno — płótno nietkane.
A ptaszek śpiewa,
Nie tu twa dziewa,
Czyściocha tkaczka,
Prządka, śpiewaczka.

Przy ostatnich słowach brzękły kosy równo, w takt, potem jednocześnie śmignęły błyszczącem ostrzem po ziemi. Skwar panował

nie do zniesienia. Kobiety przyniosły wody z rzeczki i podawały dzbany braciom i mężom. Starzy spoglądali ku niebu i wróżyli burzę na wieczór. To dodawało pośpiechu.

I Wawer spocony z zaschłem gardłem kosy jednak z ręki nie wypuścił. Obudziła się w nim ambicya wiejskiego parobka, chęć pochwalenia się kobietom siłą i zręcznością. Przypadkiem wiązalnice się zmięszały, i za nim znalazła się Rozalka. Tej napędzać nie było trzeba, zwinna była i niestrudzona, ale on zaczął machać wściekle, i dziewczyna nie zdołała nadążyć. Jakby zrozumiała jego chęć, śpieszyła gorączkowo, ale już w połowie zagona przystała. Nie chciała mu nic rzec, więc blada ze męczenia, ze zbolałym od nachylenia karkiem i drżącemi rękami, wiązała snopy mozolnie.

Towarzyszki zaczęły z niej żartować:

— A wstyd! Niemcowi nie możesz nadążyć.

— Rączkiś białe przy warsztacie pohodowała i liczko jak u panienki. Staraj się, staraj Niemkini daleko!

— Może cię o rutę z wianka poprosi!

Tu Jurgis Szwedas ujął się za dziewczyną, chłopak mizerny, wątły, łagodny.

— Wstyd by karewiskim parobkom było, żeby taką pracownicę Niemcowi oddali.

Dziewczęta zaczęły szeptać i chichotać, a Wawer zuchwale głowę podniósł.

— Albo to was Niemiec o pozwolenie pytać będzie, jak zechce!

Dokończył zagona, kosę wbił w ziemię, obrócił się i począł garście wiązać.

— Hej tam, wy! — do kosarzy krzyknął, a bywajcie! Już ja i za siebie i za dziewuchę zrobię, nim zdążycie miedzy!

— Oho, wyhodowałeś się, podczas gdy nas bieda żarła! — Krysztof ponuro się odezwał.

Wawer szyderczo się zaśmiał.

— A hodowałem się! — rzekł, snop jak piórko rzucając na gromadę. — Hodowały mnie takie burze, co gwałtem do zguby ciągną, pieściły mnie po grzbiecie smolone powrozy, gładziły mi ręce liny śliskie, po których aż het pod niebo szła droga! Z hodowania takiego tybyś nie wrócił, a chorób i biedy, co mnie żarły, to i we snach nie doznasz....

Rozalka spojrzała ukradkiem na niego.

Poczucie własnej siły i wartości, wspomnienie tych walk i zwycięstw, wypiękniły go nawet w jej oczach. Zrozumiała żal Rufina za

nim, gdy go ta ziemia straci, znowu i na zawsze....

Stanęły kobiety wszystkie i z pękami kłosów w rękach wpatrywały się weń, młodsze z lubością i zachwytem, starsze z żalem nad chłopakiem. On głowę odkrył i ocierając pot, mówił dalej.

— Wy myślicie, że wasz znój ciężki, że wasz trud drogi? To ci fraszka pracować pod tem słońcem, co ledwie grzeje, na czystem zdrowem polu! Nie widziałeś Krysztofie tych jak piekło gorejących czeluści kotłów parowych, gdzie żar skórę smali, a pot jak wrzątek paruje! Nie kładłeś się spać w norze pełnej robactwa, ino na białej pościeli, rękami siostry wysłanej w chacie, nie opadała z ciebie odzież nigdy nie prana i nie łatana, nie znęcali się nad tobą obcy, boś ojca miał i swoich w około.

— Ale ci się męka opłaciła, a nam co?

— Opłaciła się, bom nie jadł, a myślał, bom nie spał, a uczył się, bom taką wściekłą zawziętość miał i taką wolę bezmierną wyżej pójść, żem ani na cal nie ustąpił, ani na chwilę zwątpił, ani jednej złej myśli do siebie nie dopuścił. Myślicie, że jabym i tu na jednym zagonie życie strawił, jak wy?

— A cobyś zrobił? — zagadnął któryś ze starych?

Wawer szeroko ręką w dal zamachnął.

— Jako te łany idą, wszystkobym od pana dla wsi wziął!

— Chyba gwałtem! — Szluguris się zaśmiał.

— Gwałtem głupcy wojują, a rozumni głową! Jabym tak zrobił, że nie pan by nam za pot płacił, ale my jemu za ziemię, byłoby wtedy na czem pracować i kołacze całą zimę i lato pożywać.

— W dzierżawę wziąć?— wtrącił stary gospodarz.

— A w dzierżawę! — Wawer potwierdził.

— Siła trzeba pieniędzy!

— Siła też wasz jest.

— Oj! głowy na ten interes trzeba, coby wszystkie te ręce kierowała!

— Ale mowę on rozumną mówi. Oj rozumną!

Zajęła ich ta myśl mocno. Oczy chłopskie nad złoto ziemi chciwsze, po polach powiedli. Po tłumie jakby drżenie pobiegło.

— Chcecie pić? — niespodzianie Rozalka się odezwała.

Spuścił ku niej wzrok, zdziwiony tą przyjazną propozycyą.

Trzymała dzbanek w ręku i patrzała poczciwie.

— Dziękuję, — odparł ciszej, tak, że ona tylko słyszała, — utraktowaliście mnie do syta obelgami.... Pewnie i woda wasza jak z morza gorzka i słona!

Dziewczyna poczerwieniała z przykrości, naczynie odstawiła na bok i znowu nad pokosem się schyliła. Wtedy on poczuł, że ją upokarza przed ludźmi, co widzieli jej ruch i odmowę jego. Pochylił się, dzbanek wziął i począł pić chciwie.

— Bóg zapłać — rzekł, dzbanek jej oddając.

— Za gorzką wodę nie warto! — mruknęła.

Spojrzeli po sobie i może na jednakie wspomnienie pokraśnieli równocześnie.

— Zamęczyłem was dzisiaj, już więcej nie będę! — rzekł.

— Samiście potem dopomogli! — odparła ostatni snop wiążąc.

Kosarze dopędzili Wawra i stanęli. Czas był na obiad właśnie, ale zamiast spocząć i posilić się, skupili się i gadali rękami, oczami,

dworskie pola wskazując. Wawer im rzucił myśl rozkoszną jasną, co może kiedy mglista pod niejednem czołem majaczała, nie znajdując określenia i wyrazu. Teraz ogarniała ich, jak czary, podniecała jak trunek.

Przybiegł ekonom od dworu, na poczęstunek ich wzywając. Opieszale poszli bez śpiewu i śmiechu, prędko spożyli jadło i znowu wrócili na pole, gdzie im swobodniej było mówić, milej na tę ziemię patrzeć. Wawer do dworu nie poszedł, ale do Marcinka, który do swych ludzi z pastwiska przybył i kosić próbował. Starszy brat przyglądał mu się i kierował radą. Spiącego na miedzy Maryjki dzieciaka ostrożnie na ręce wziął i kołysał delikatnie.

Wśród zbóż stając i rozmawiając chłopską mową, ten mężczyzna zgrabny i jak pan ubrany, wyrostek bosy i śniady, ze szkaplerzem na źle osłoniętej płótnianką piersi, i to dziecko w grubej lnianej koszulinie i czerwonej na główce czapeczce, stanowili obrazek pełen kontrastów. Nie powiedziałby nikt ich widząc, że jedna chata ich zrodziła i wykarmiła. Maryjka widząc ich zdaleka, splasnęła rękami i przybiegła zdyszana, krzycząc i śmiejąc się naprzemian.

— O Jezu!.... jeszcze go upuścisz, mego robaka! — wołała.

— Albom to taki słaby, czy niezdarny? Tak jak w kołysce śpi, ino się od much krzywi. Rzuciłaś go na miedzy, to podniosłem!

— Dobry z ciebie ojciec będzie. Z dziećmi się jak najlepsza piastunka obchodzisz. Aleś głodny! Chcesz, skoczę do chaty i chłodnego mleka ci przyniosę! I tak z twojej łaski nic nie robię dzisiaj.

— Wieczorem zjem, teraz dalej do kosy!

Dziecko jej oddał, obejrzał się po tłumie robotnic.

— Boicie się już, Rozalko, niemieckiej roboty! — zawołał.

— Nie. Wytrwacie wy, wytrwam i ja!— odrzekła stając za nim.

— Do wieczora nikt nie wytrwa! — wtrącił Krysztof. — Burza idzie cwałem, za godzinę tu będzie.

— I prędzej nawet. Trza się śpieszyć! Dajno Marcin kosę.

Wysunął się naprzód Wawer, jak żórawie za nim inni.

Po chwili wiatr się podniósł suchy i duszący, zrywający piasek z gościńca; jaskółki piszcząc przypadały nad głowami. Z za lasu

wyjrzała jak głowa potworna, chmura szarosiwa. Już nie cwałem ale ptaka lotem pędziła burza, już nietylko głowę chmury widać było, ale cały kadłub jakby bestyi, która wnet dostała skrzydeł potężnych, poszarpanych jak nietoperze, ogarniała niemi z końca w koniec niebiosa. Wichr przeszedł w huragan, giął drzewa, cichę przed chwilą łany zbóż szamotał jak morza w fale i bałwany.

Żniwiarze stanęli, wicher ich tłukł w piersi, szarpał odzież, odkrywał głowy, rozwiewał włosy. Kobiety rzuciły się pierwsze do odwrotu, krzycząc przeraźliwie w obawie o stroje swoje. Mężczyźni śmiejąc się z tej paniki, wzięli też surduty i kosy na ramiona, opuszczali tak gwarny przed chwilą łan. Tłum ten ku rzece zmierzał, która ledwie widocznie w niektórych miejscach sączyła się po białym żwirze. A wtem padły pierwsze krople deszczu i jeszcze daleki grom. Wtedy zaczęli wszyscy biedz, wyprzedzając się, śmiejąc, chłopcy gonili dziewczęta, kobiety starsze żegnały się pobożnie, gospodarze z niespokojem spoglądali ku niebu.

— Broń Boże nieszczęścia! — szeptali.

Dopadli wsi i zaczęli się po zagrodach rozbiegać, a w tem drugi i trzeci grom padł już

bliższy i deszcz lunął strumieniem. Ale już wszyscy prawie byli pod strzechą.

U Didelisów Jan stary nie na burzę patrzał, ale na swego Wawra, który z braćmi wpadł, jak z pola zszedł, z surdutem na ręku, z kosą w garści, spocony, zdyszany.

— A ty synku gdzieś był? — spytał.

— Kosiłem za Andrzeja! — odparł, białemi zębami błyskając w uśmiechu.

— Kosił bez mała od ranka! — potwierdził Andrzej.

— A jak jeszcze! Za dwóch! Jakby z rodu nic innego nie robił! — dodał z chlubą Piotr.

Kołodziej za głowę go rękami objął i do piersi przygarnął.

— Takiś ty zuch wszędy! — radośnie się uśmiechnął.

Błyskawica zajrzała do izby rażąc oczy.

— Zamknijcie kobiety drzwi i komin! — Andrzej krzyknął.

W izbie było prawie czarno. Zapalono gromnicę i garść i ziół Maryjka rzuciła na węgle. Dzieci poczęli płakać, a starsi głośno pacierz odmawiać.

Chata ich tyle lat i burz przestała, czyż już dziś ma jej być ostatni dzień?

Znowu błysnęło tak strasznie, że aż się wszyscy wzdrygnęli, a równocześnie prawie rozległ się, huk, jakby świat cały w sztuki druzgotał.

Kobiety popadały na ziemię, Wawer do okna poskoczył. Chwilę zdało mu się, że bez wypadku minęło, ale wnet się zerwał i do drzwi rzucił.

— Szwędasów gumno gore! — krzyknął wypadając na podwórze.

A już się i we wsi gwałt podnosił.

Szwedasowie w samem sercu wsi mieszkali i w miejscu najgęściej zabudowanem. Gumno słomą kryte zajęło się jak smolona pochodnia i gorzało pomimo deszczu, jakby z nieba nie woda szła, ale płyn ognisty.

Zewsząd na łunę ludzie biegli, lamentując i włosy drąc, wnet cała wieś się zbiegła, ostąpiła pożar, który wpadłszy do siana szalał, roznosząc na wsze strony płonące snopki.

Ratować nikt nie myślał i nie zaczynał, bo nie pozwalał obyczaj niebieski ogień gasić. A wtem Wawer zagrody dopadł rozpychając tłum kobiet i dzieci.

Wody! — wrzasnął. — Siekiery! Płoty rąbać! Na dachy!

— Boży dopust! Niech ginie! — ktoś się ozwał z gromady.

— Ty sam giń z twoją głupią mową! — młody człowiek krzyknął.

Do siostry się zwrócił, która we drzwiach chaty stała, oniemiała ze strachu i zgrozy, najmniejsze dziecko do piersi tuląc.

— Hej, Barbaro! Czekasz, aż ci się dzieci popieką, a ty szwagrze, aż ci węgły ogień zje!.... Siekiery!

Szwedas starszy pociągnięty energią tego głosu, siekierę z izby wyniósł. Wawer mu ją z rąk wydarł, pod ścianę palącą prawie się podsunął, zaczął zajadle płot rąbać.

— Jurgis do mnie! prędzej!

Szwedas przyskoczył, zaczęli we dwóch walić słupy, odbijać żerdzie. Dym ich oślepiał i dusił. Jurgis odstąpił wreszcie, nie mogąc wytrzymać żaru.

Wawer jak potępieniec się zwijał.

Zwaliwszy płot, do chlewów najbliższych się rzucił, na które wiatr niósł płomienie, iskry i żużle. Siekierę rzucił, chwycił widły od siana, jak kot na strzechę się wdrapał, począł snopki obrywać, zrzucać.

— Ludzie! wody! — krzyknął, ochrypły, na pół zduszony. — Jak to ogień zajmie, pół

wsi z dymem pójdzie. Nie widzicie? Toć wicher na Szlugurisów idzie i na krawca i na Bakutisa. Ratunek dajcie póki czas. Dawajcie wiadra, niech kto tu do mnie skoczy. Strzechę trzeba całą obedrzeć!

Usłuchał go pierwszy Marcinek i pierwsze wiadro lunął na ścianę, tak wysoko, jak mu sił starczyło.

Ruszyła się za nim reszta, pociągnięta odwagą i energią. Kilku młodych na dach do Wawra starało się dostać, ale żarem owiani, dymem ogarnięci zaniechali, z dołu, z boków dach szarpiąc.

On wytrwał. Podano mu na drągach mokre płachty, miotły maczane w wodzie. Na samym szczycie stojąc, sto razy ryzykując spaść na dół, uczepiony niewiadomo jak krokwi i łat, o krok od płonącego gumna, wśród płomieni prawie i dymem ogarnięty, zwijał się jak szatan. Popaloną miał koszulę i włosy, osmaloną twarz, głos już do ludzkiego nie był podobny, gdy nie przestawał komenderować.

— Z rąk do rąk wiadra. Szeregiem stańcie od studni, a reszta ziemię na gumno rzucajcie! Prędzej! Jonas, do wiadra sznur uwiąż i mnie tu rzuć. Wody trzeba, wody, wody!

Wreszcie mu już głosu nie stało, poczuł zawrót głowy, wzrok mu się mącił, zakrztusił się dymem.

— Zejdź, zejdź! — wołali bracia i ojciec.

Ale go tylko podnieciło do większego zuchwalstwa jeszcze. Sznur rzucony chwycił w powietrzu, wiadro wody wciągnął i z zamachem po dachu lunął. Rękami chwytał żużle i gorejące snopki, nogami odrzucał głownie, zawziął się, jak on to umiał i czynił w zawodzie swoim niebezpiecznym, ale mu już sto rąk pomagało, i ogień sto razy od chlewu odegnany, skupił się na gumnie, objadając je do gruntu, do ziemi. I deszcz się wzmógł z sykiem i świstem obryzgując płomienie, w które też padały garście ziemi, błota, kamieni. Już teraz kto żył, do dzieci małych nawet, ratował, jak mógł i umiał. Lament przechodził w okrzyki zwycięstwa i ulgi.

Wtedy Wawer zaczął schodzić z dachu, nareszcie za ścianę się chwycił i spadł. Musiał na chwilę zemdleć, bo nie pamiętał, jak się u studni znalazł i jak mu pić dano. Gdy się rozejrzał przytomnie, już tylko dymiły zgliszcza, czarna kupa popiołów, nad którą grubsze resztki opalonych słupów sterczały.

— A co? Nasza racya! — zawołał, stając na nogi.

— A twoja! Własnąś skórą wieś uratował! — zaczęto krzyczeć.

— Nie skórą, a szerścią! — odparł dotykając głowy i twarzy.

Nawet brwi i rzęsy miał posmolone, a na ramionach i rękach czarne opalenizny. Śmiał się jednak lekceważąco.

— Zagoi się do wesela. Nic to. Zgliszcza jednak szwagrze pilnujcie, bo złe to i zawzięte. Do trzech dni nie stłumicie.

Do pogorzeli przystąpił i oglądał ją z tryumfem.

— Ty bestyo! — zawołał, kamień w środek zgliszcz rzucając. — Chciałaś ludziom ich węgły i pracę wziąć. Niedoczekanie twoje, łykaj teraz wodę!

Obstąpili go gospodarze za ręce ściskając i dziękując. Rósł w dumę stary Jan i rozmiłowanemi oczami wodził za swoim bohaterem. Szluguris i Bakutis częstowali go tabaczką, winszowali pociechy, a Jurgis Szwedas głos podniósł i pokazując Niemca rówieśnikom, rzekł:

— Dziw wam był, że on tam na świecie do takich zaszczytów i dostatków doszedł rę-

kami tylko i głową. Ot czemu! Mogli my wszyscy tam w ogień pójść, a on jeden strzymał. Zatem go na plecy wziąć i do Butkisa zanieść trzeba! Hej chłopcy!

Porwano Wawra z ziemi, i tak jak był, w strzępach koszuli i czarny od dymu, tak go nieśli ulicą wśród śmiechów i wiwatów. I on się śmiał rozbawiony i dumny. Tłum za nimi pociągnął, nawet Szwedasy straty nie pomni, nawet Krysztof ponury. Deszcz przechodził i tylko już słup dymu oznaczał miejsce, na którem stał się wypadek.

Posadzono Wawra na stole w oberży i Jurgis zawołał:

— Fetowałeś ty nas nieraz, teraz my ciebie ufetujem. Tak pij, żebyś i pamięć stracił. Nie bój się! Odniesiemy cię do chaty ze śpiewami, jak z godów.

— Dziękuję bracia, tylko nim pamięć stracę, dwie wam rzeczy powiem. Najprzód, że to Karewiszkom wstyd, iż ni jedna chata na wodę beczki i do rozrywania zgliszcz haka nie ma, a potem powiem, że za małą cenę ludzie na świecie blachę ogniową do chaty przybiją i spią spokojnie. Takci i tutaj być powinno.

— A pewnie, pewnie, tylko na to cała wieś zgodzić się musi! — potakiwali starzy. —

A wieś ile głów, tyle rozumów ma! Takci się to odwleka!

— A to Karewiszkom drugi wstyd! Wawer stanowczo zawołał.

Szwedas mu szklankę szumiącego piwa podał.

— Pij ochotniku!

— Za wasze zdrowie, by się zła okazya nigdy nie powtórzyła, ale w niczyje ręce nie wypiję, chyba w naszego Marcinka. On to błazen pierwszy mi na pomoc skoczył. Dajcie go tutaj na stół!

— Słusznie! Marcin, bywaj!

Ale Marcinka nie było w pobliżu. Skoczyli po niego chłopcy i po dość długiem oczekiwaniu przywiedli.

Opierał się zawstydzony, przestraszony, niespokojny.

— A chodź żywo, nie będą ci łóż liczyć, ani do chlewu zamkną! — wołał doń brat wesoło.

— Ja wiem! — chłopak odparł — ale tam konie same, jeszcze w szkodę wpadną!

— Nic to! Dziej się co chce! Tyś nie na koniucha zdatny, ale do czegoś lepszego. Naści, pij, a proś Boga, by cię ojciec ze mną

w świat puścił, boś mi cały brat i krwią i ryzyką!

Marcinek czerwony z dumy wypił, ale dłużej bawić nie chciał, i choć go nie puszczano, jak wąż się z pośród gromady parobków wywinął i do koni uciekł. Chciano go ścigać, ale stary Jan nie pozwolił.

— Służbę niech szanuje, uszanują go ludzie! — rzekł.

Zaczęła się tedy uciecha, traktament, ogłuszająca wrzawa. Według programu spojono Wawra, tak, że go potem parobcy na ręce wzięli i do chaty odnieśli późnym już wieczorem.

Nazajutrz już wytrzeźwiony do Szwedasów rano poszedł. Pogorzel jeszcze dymiła, a gospodarze nad stratą biadali, popioły zostały z wonnego siana, budowli nie mieli za co postawić. Siostra opowiedziała mu to z płaczem, bo mężczyźni do roboty z kosami poszli, nie chcąc na zgliszcza patrzeć. Chwilę z nią pogadawszy, Wawer do kieszeni sięgnął i storublową asygnatę kobiecie za gorset wetknął:

— Weź to! — rzekł. — Hodowaliśmy się razem, toć nie opuścimy w złej chwili. Nie dziękuj Barbikie, cobym ja za brat był, że-

bym mogąc was nie poratował!.. Ucałował ją i odszedł przeprowadzony błogosławieństwem.

O południu Szwedasy do niego przybiegli na Bubie, gdzie robocie Krysztofa się przyglądał. Uściskali go jak dobrodzieja.

— Teraz ty nas jak swoich parobków używaj! Czy do zwózki, czy do orania, czy do ciesielki! — wołał szwagier uradowany.

Wieczorem już cała wieś o tem wiedziała. Dowiedział się też Rufin od Rozalki i tryumfująco się uśmiechnął.

— A nie mówiłem ci, że hulanki jego to tylko szumy z wiosennych wód, a pod spodem jak krynica dusza? A nie mówiłem ci, że jak odejdzie nas, to jakby wieś skarb straciła? Pytałaś ty, co on przyniósł. Oj dużo, dużo! On jeden to wszystko w sobie nosi, co piszą te książki, co je życie ważąc wprowadzamy do chat. Nosi on rozum i doświadczenie, i młode żywe myśli, które w każdej naszej głowie się lęgną, potem marnieją, codziennemi troskami i ciemnotą zabite. U niego one porosły i wybujały, i zły to dzień będzie, gdy on je znowu z sobą zabierze dla Niemców.

Rozalka zamyślona milczała chwilę.

— Mógłby go ojciec zatrzymać! — rzekła wreszcie,

— Nie! On nie dziecko, a mąż! Nie zatrzyma go, nie, chyba ta ziemia doń zagada, chyba ten szary proch z pod stóp. Chyba cudowne wody, chyba złote pola! A więcej nic, nic, bo on tam wszystko ma! Litościwy on, a ziemia nasza jak żebraczka, tylko się głośno nie skarży, więc bardzo ją umiłować trzeba, aby szept dosłyszeć, biedę pojąć....

Jak był zwykł, zapomniał, że mówi do chłopskiej dziewczyny. Marzył głośno.

Rozalka głowę ręką podparła i słuchała nabożnie. Nauczyła się go rozumieć, wykształciła się w tem poważnem myśleniu.

Na dworze zmierzchało, przez otwarte okienko dalekie pieśni i wsi ludnej odgłosy płynęły do samotni kaleki.

Rufin umilkł, i po chwili zadumy innym się głosem odezwał:

— Byłaś w Uganiach niedawno?

— Byłam. Co roku chodzę.

— A pięknie tam zawsze?

— Pięknie i wesoło. Kościół odnowiono i pomalowano i piękny obraz wśród białych ścian jaśnieje.

— Chodziłem i ja kiedyś. Dubissa w dole płynie, a z góry sto strumyków do niej bieży. W cudownej krynicy źródełko jak łza czy-

ste, i Chrystus się w niem z ołtarza przygląda. Kto tej się wody napije bolów zapomina.

— Przyniosę ci tej wody, jak drugi raz pójdę!

— Przynieś, a tymczasem zaśpiewaj mi co. Ciężko śpiewać zawsze samemu.

Rozalka nie dała się prosić, i wiatrom wieczornym rzuciła tesknią nutę:

O dajnos, dajniales
Justik taj mań wienas,
Galet nuramintie
Ir pasaldimit dienas.
O piosnki, piosenki,
Jedyne wy moje
Smutku pocieszycielki
I duszne napoje.

Na dworze zaszeleściało i w okienku cień stanął.

Rufin oczy podniósł, dziewczyna nagle śpiew urwała.

— Pochwalony Jezus! — rozległ się głos Wawra.

— Na wieki! — rzeźbiarz odpowiedział.

— Idę drogą, aż to u ciebie śpiewy! Gościa masz.

— Rozalkę.

— Toć znam głos, i nikogom innego nie myślał. Tylkoś ty Rufin ciemięga! Żeby do

mnie dziewczyna o zmroku przyszła, siedziałbym bliżej niej!

— Boby do ciebie z miłości przyszła, a do mnie z ulitowania. Wie ona, że jej nie spłoszę, jak ptaszka, co mi nad oknem śpiewa. Wejdź, proszę!

— A nie wypada, bo ten ptaszek twój już śpiewać przestał, a gdy wejdę precz odleci. Nie chcę wam przeszkadzać i w dwóch słowach interes ułatwię. Ojciec o kapliczkę pyta, czy zaś gotow a

— Bez mała czego. Wejdź, zobacz na swego patrona.

Wawer nareszcie usłuchał.

Rufin zapalił lampkę i figurkę drewnianą ze stołu do światła podniósł. Cienko była rzeźbiona i wykończona.

Karewis pochylił się nad nią i uważnie przyglądał.

— Co on w ręku trzyma, mój święty? — spytał.

— A ruszt.

— Na co?

— Bo go na rozpalonym rozciągnięto, i tam duszę wyzionął za wiarę. Tak z nim, jak królowie z koroną poszedł, i tak go przedstawiają na wizerunkach.

*

Wawer spoważniał.

— Gorącą miał duszę, gdy jej ten ogień nie spalił.

— Gorącą! — kaleka powtórzył zamyślony. — Takie moce, co człowieka w mękach nawet nad wszystko przenoszą, od Boga dwie tylko dane. Tać wiara jest święta, co go ze świętymi równa, i to do ziemi swej umiłowanie, co go wśród ludzi dziedzicem czyni. Od świata zaczątku, za te klejnoty swe dwa ludzie konali, a za nic więcej, bo do śmierci zapamiętania nic innego nie doprowadzi. A tak Bóg mądrze ustanowił, że za to dwoje ciągle bojować trzeba i tak będzie, aż świat się skończy, bo w bojowaniu bohatery rosną, a miłowanie im więcej bólów przechodzi, temci człowiekowi milsze i droższe i chlubniejsze!

Pochylony nad stołem Wawer, od figurki męczennika oczu nie odrywając — słuchał.

Widziała Rozalka, jak twarz jego swawolną i drwiącą powlokła niby chmura, a bystre oczy jakby się w głąb cofnęły i zamyślone w duszę zaglądały, a nie widziały zewnętrznego świata.

— Wiara jako ojciec co uczy i prowadzi, a ziemia jako matka kocha i pieści, choć często płacze! — ozwała się cicho, nieśmiało.

Wawer ocknął się z zamyślenia. Figurkę na stole złożył i głową potrząsnął.

— Mało już ludzi tak myśli na świecie, jak wy Rufinie! Dwanaście lat przeszło mi w wędrowkach po całej ziemi, a nie słyszałem takiej mowy.

— Bo z bólów takich nikt się nie chełpi, a gdy je wymówić musi, to do kościoła idzie. Tak ci te bole święte są i ciche, a szanowne! Ale są i poruszają wnętrzności, bo gdyby Bóg się na nas rozgniewał i kazał z dusz tym dwom mocom wyjść, toby już ludzi nie było — ino zwierzęta.

— Siła zmian tutaj się porobiło. Dawniej nikt tak nie myślał, anim ja słyszał coś podobnego.

— Jakże to. A my-że nie ludzie? — Rufin żywo przerwał. — Nie dziedzice my tej ziemi, co naszych ojców piersiami od krzyżaków sto razy była zasłoniona? Nie kupili my obywatelstwa na niej i krwią i łzami i potem, nie szlachta my i nie rycerze? Ziemia taka, co jej krwią nie umierzwią i kośćmi nie wybrukują, rodzi piołuny gorzkie, a nasza nam rodzi dąbrowy i zboża i lny. Tyś ta książek nie czytał w których nasze dyplomy i herby zapisane stoją, wszystkie od wieków, nie rachowałeś fun-

damentów naszych kamieni! A mocne one, kiedy nas trzymały na miejscu, choć tyle razy świat się trząsł. W książkach historya cała stoi i wstydby był, żeby nas nie zapisała w dziedzictwie tej ziemi, żebyśmy ojców pamięci w bojowaniu i chwale zapomnieli. Nie na to nas ta matka zrodziła i pohodowała, byśmy ją starą obcym rzucili, a sami precz odbiegli!....

I znowu porwany marzeniem swojem, kaleka nie do Wawra mówił, ale jakby do złej mocy, znękania i niewiary. Zda się urosł i zamiast kaleczej postaci, miał wzrost olbrzyma i skrzydła u ramion. Wzrok mu pałał, usta drżały, a chude ręce wyciągały się do okna, po za którem go ta ziemia słuchała, skąd Piłkalnis na ciemnem niebie nocy widać było — dziedzictwa tego pieczęć starodawną. . .

Wawrowi krew żywa nabiegła do skroni, poczuł w piersi nieokreślony ból i drżenie, jakby w wielkim dzwonie, co na żywot cały parę razy tylko uderza, zatrzepotało się ptaszę zbłąkane, trwożne. A Rufin się zakaszlał, zmęczony — i znowu mówił:

— A ot za wsią, Kirszniawa płynie. Płynęła i wtedy, gdy naszych ojców głowy pod wodą chrztu się chyliły. A gdyby ta rzeka głos miała, toby i ona zaświadczyła, że jako

nam wtedy ciemnym poganom białą szatę wiary włożono, tak się ona na duszach została bez plamy i bez szramu, całodziana. A tak ją nosimy w chlubie i dumni, bośmy już i za nią cierpieli. A skarb taki, co go człowiek życiem zasłaniał i dla żadnej pokusy nie oddał, jest nam jako ten ruszt św. Wawrzyńca, jako to drzewo, u którego św. Sebastyan, wsi naszej patron, skonał. My ta z wiarą swoją choć jak mrówki marne, choć jak pyły szare niewidoczni na ziemi, pójdziemy do nieba i do świętych tych kompanii.

Milczący Wawer słuchał. Słuchał jeszcze, gdy rzeźbiarz skończył i wyczerpany głowę na splecione na stole ramiona położył.

W tejże chwili za oknem śpiew się rozległ. Śpiewał bratanek księdza, uczeń młody na wakacyach idąc samotnie od dworu, gdzie wieczory spędzał.

Litwinem mnie dzieckiem nazwano,
Litwinem mnie śmierć zabierze,
Sławą mi jest to miano,
Sławą to z ziemią przymierze....

Wawer się poruszył, ale nic rzec nie potrafił, ani zaprzeczyć nie mógł, ani potwierdzić nie śmiał.

Spojrzał na Rufina i nie żegnając go wyszedł z izby.

O Rozalce zupełnie zapomiał.

I tej nocy zaledwie nad ranem do domu wrócił, ale nie widziały go puste dziewczęta i oberża.

Nie wiadomo gdzie chodził.

VI.

Pewnej niedzieli po nabożeństwie nastąpiło poświęcenie kapliczki Karewisów. W przeddzień ustawiono ją u źródełka, na granicy ich posiadłości nowej. Z daleka biła w oczy ponieważ wyglądała taka świeżutka, biała, smukła. Za szkłem ustawiono też figurki świętych patronów, w jaskrawo malowanych szatkach. Zachwycano się robotą Rufina. On sam nie był na miejscu. Daleki to był kurs dla jego nóg połamanych, a zbiorowisk ludzkich ze wstydliwą nieśmiałością unikał, jakby oczu zdrowych widokiem swego kalectwa nie chciał urażać. W niedzielę jednak zawlókł się do kościoła, a gdy proboszcz w komży tylko, poprzedzany przez chłopaka z krzyżem i organistę ze święconą wodą, wyszedł z ludem, co go wnet ogarnął i towarzyszył ku wsi, rzeźbiarz pod ścianę się usunął i tylko ze smutnym u-

śmiechem za gromadą tą okiem pogonił, z cicha ich pieśni wtórując.

Codzień z rana
Rozśpiewana,
Chwal o duszo Maryę,
Cześć jej świątkom,
Cześć pamiątkom,
Codzień w niebo niech bije,

Już za bramą byli, gdy się jeden z ich tłumu oddzielił, obejrzał i zawrócił. Wawer to był.

— A ty Rufin nie z nami? — zawołał.

— Z wami, ale tylko duszą. Nie kłopocz sie mną bracie. Nie zaniosą mnie kule tak daleko!

— Jakże ma być bez ciebie ten obrządek? Nigdy! Nie zaniosą cię kule, to ja zaniosę. Nie spieraj się, a chodź.

Ramieniem go otoczył i poprowadził powoli i ostrożnie, omijając kamienie i wyboje, podtrzymując na spadzistości drogi.

— Nic się nie lękaj ze mną! — mówił uśmiechając się doń.

— Jakiś ty poczciwy, Wawer. Wspomniałeś mnie!

— A nie ja, trza prawdę rzec, ale Rozalka. Obejrzała się ona pierwsza i powiada: „Rufin by się cieszył, widząc jak jego robotę

ksiądz święci i ludzie podziwiają!" Więc ja się wtedy zawróciłem po ciebie.

— Bóg wam zapłać obojgu.

Dopędzili korowód wolno idący, a na ich widok wnet Jurgis Szwedas kalekę pod drugie ramię wziął, a inni się rozstąpili aż do księdza im miejsce czyniąc. Szedł tedy i Rufin z odkrytą głową, której włos już mimo młodości już srebrem przetkany polny wiatr całował, a słońce osobliwie złociło. Szedł, a rzewność smętną miał w twarzy, łzy w oczach.

Proboszcz u krynicy modlitwę odczytał, krzyżem to pole całe przeżegnał i święconą wodą poznaczył. Potem kapliczkę pobłogosławił, a wreszcie łacińskie modły ukończywszy, po żmujdzku ,,Pod Twoją obronę" zaintonował.

A wtedy tłum na klęczkach do ziemi przypadł, głowy jak łan zboża pochylił i ze stu piersi prośba biegła, łkała, żaliła się sinym niebiosom. A Rufin z innymi nisko się pokłonił i chude ręce do wpadłych piersi cisnąc, takoż się korzył i prosił, choć zagona nie miał, ani rodziny ani dobytku, choć już dawno o nic dla siebie się nie upominał....

Potem powstali wszyscy, a ksiądz komżę i stułę słudze oddał i z nimi się zmięszał, o

sprawach różnych i troskach gwarząc. Tak do wsi wracali, a już u zawrotu Jan Karewis pokornie go za kolana objął i nieśmiało na wieczór do zagrody prosił, gdzie z racyi tego poświęcenia roli, biesiada ma być i gościna. Z daleka Piotr i Andrzej i kobiety czekały niespokojnie odpowiedzi, aż proboszcz potakująco głową skinął, a oni z radości i dumy aż wyrośli.

Rufin za księdzem ku chatynie swej się kierował, ale go Wawer nie puścił i pół gwałtem ku chacie ojcowskiej poprowadził.

— Nie zrobisz ta nam ujmy! — prosił. — Gościny naszej nie odmówisz, chlebem nie pogardzisz.

— Na co ja między biesiadnikami. Będzie wam przykro na mnie patrzeć, uciechę wam popsuję! — opierał się biedny odludek.

— Będzie nam honor i cześć. Głupi, kto przez twe kalectwo duszy nie dopatrzy. Nie wiem jak komu, a tyś mi między biesiadnikami najpierwszy!

Ale i Jan stary, kalekę dostrzegłszy, naprzeciw niego wyszedł, głowę odkrył i do chaty sam wprowadził, a synowie posadzili go na przedniem miejscu, okazując uwagę i szacunek.

Podwórze i chata gości pełne były. Starzy pod dachem fajki paląc a poważnie roz-

prawiając, młodzież na dworze, w gry różne się zabawiając.

Więc naprzód w „spitra“ (ślepca) grali. Szlugurisowi oczy zawiązano i posadzono wśród podwórza. Chłopaki przebiegali koło niego, skubiąc, a on pytką na chybił trafił machał, chcąc kogoś dosięgnąć.

Potem Jurgis „Cigona“ przedstawiał, koziołki i dziwaczne skoki wyprawiając, wśród śmiechów i żartów. Potem Wawer z Kryształem za bary się wzięli, sił próbując i pół godziny się mocowali, zanim wreszcie Wawer Jodasa jak gruszkę o ziemię grzmotnął, potem pocałował. Chłopcy dziewczętom zagadki dawali i wesołość rosła, ogarniając najpowolniejszych. Wreszcie pomęczeni od swawoli i śmiechu, murawę ogródka obsiedli i nuż sobie bajki opowiadać.

Wtedy do Rozalki wszyscy się zwrócili, bo ona najpiękniejsze umiałała. Dziewczyna, jak zwykle najciszej i najpoważniej się zachowywała. Ubrana odświętnie, może najubożej, ale zgrabnie i schludnie w granatowej spódniczce i takimże gorsecie, w śnieżnej koszuli, wyróżniała się tym swoim powściągliwym, skromnym układem, z pośród rozbawionych swawolnych rówieśnic. Przysiadało się do niej

chłopców sporo. Jurgis i Antanas Brodacz i Bakutisa synowiec. Ona odpowiadała grzecznie ale spokojnie, wciąż siostrzeńca małego pieszcząc, który jej medaliki i wstążki na szyi szarpał, po rutę w warkoczu rączęta wyciągał i coś niezrozumiale bełkotał.

Wawer snać urazę w sercu chował, bo jej nie zaczepiał. Czuła to, i aż przykry jej był ten jego żal i gniew. Teraz ona ukradkiem na niego spoglądała niekiedy. Ładny był chłopiec, śmiały, w języku i pięści najsprawniejszy. Od opalenizny jeszcze szramy po rękach i twarzy miał, a głowę nosił dumnie i zuchwale, jakby jej wartość czuł....

Ostatni na zabawę zjawił się Krysztof. Zdaleka gdy się ukazał, zgarbiony, posępny, z fajką w zębach, wzrok utkwiwszy w ziemię, dziewczęta poczęły go sobie palcami pokazywać i drwić. Magdalenka w naśmiewaniu się tem prym trzymała. Śmiech wybuchnął ogromny, gdy Jodas zamyślony o furtkę się zaczepił i omal nie upadł.

— Powinieneś Krysztof, z dzwonkiem chodzić, żeby wam ludzie z drogi ustępowali, albo psa na sznurku wodzić, by wam pokazywał drogę! — Szwedasówna szydziła.

Za całą odpowiedź splunął tylko.

— Pewnie cię taki namysł trapi wedle wesela! — drażniła dalej. — Nie turbuj się, pomyślą za ciebie.

Ujęła się pod boki i zaśpiewała:

Przyszedł meszka
Z beczką alus
Wilczykowi niebożęciu
Sprawić wesele.
Jeż jest drużbą,
Lis tam swatem,
A zajączek nieboraczek
Musi ciągnąć wóz.

Jodas po raz drugi splunął.

Wawer do Jurgisa się przechylił i coś szepnął, a ten wnet na siostrę krzyknął.

— Nikt cię wesela śpiewać nie prosił, swojego nosa pilnuj!

Magdalenka może się bała brata, a może zlękła dzikich oczu Krysztofa — zmilkła.

Zabawa poszła swym trybem. Rozalka zagabywana o bajki, wymawiała się.

— Kiedy Rufin niedaleko, jakżebym ja prawić miała. Toć co umiem to od niego!

Ruszono do chaty po rzeźbiarza, przyprowadzono z tryumfem i posadzono wśród młodzieży, wśród wiszeń dojrzewających i krasnych kwiatów. Ale i on nie miał ochoty do

opowieści. Rozalce przy warsztacie opowiadał skoro, tutaj wobec tylu ludzi nie swój się czuł i onieśmielony.

Rozmowa zeszła na strachy i upiory, i coraz to straszniejsze historye prawiono.

Zaprzysięgał Szluguris, że gdy raz konno przez las jechał, oberwała się nie wiedzieć skąd płachta szara i spadła mu na plecy, a koń go uniósł. Przytem coś jęczało okropnie....

— Do mnie raz na pastwisku staruszek maleńki, czerwono odziany przyszedł — opowiadał starszy Szwedas. — Jesienią to było i już chłodno, więc ognisko paliłem i trochę zadrzemałem. Otwieram oczy, aż naprzeciw mnie on stoi i ręce do żaru wyciąga, jakby się grzał. Takci i nogi potem w ogień kładł, a potem sobie jeden węgiel do gęby włożył i zniknął.

— Opowiadał mi nieboszczyk ojciec — rzekł Bakutis -- jako raz blisko kurhanu orząc, ostrogę staroświeką wykopał i z sobą do domu przyniósł. Ale tejże nocy przyszedł do niego zamkniętemi drzwiami wojak okrutnie wielki, cały żelazny i powiada: „Oddaj coś mego wziął. Rynsztunku swego pilnuję, ażeby jak nas pobudzą, stanąć w ordynku, a tyś mnie okradł! Oddaj zaraz, bo nie daruję". Takci ojciec zaraz rankiem ostrogę odniósł i

mszę świętą zakupił! I potem już spokój miał.

Wawer, na uboczu siedząc i cygaro paląc, wzgardliwie się uśmiechał.

— Brednie to i banialuki! — zawołał. — Jako żywo, strachów ni duchów żadnych nie ma. Kto raz umarł, to już leży i o świat nie dba! Sny to bywają, mamidła, gorączka albo pijaństwo!

— Gadaj zdrów! —oburzył się Bakutis — a ty sam nie poszedłbyś na Piłkalnis, trzeciego dnia nowiu o północy....

— Czemubym nie poszedł.

— Boby ci kark skręciło, jak kiedyś temu szewcu Grejcziusowi.

— Albo to prawda!

— Ot jeszcze co, albo to takie stare czasy? Toć stryj mój widział na własne oczy.

— Jakże to było?

— Niech-ta stryj sam opowie, kiedy nam wiary nie dajesz.

Skoczył parobczak do izby i wnet starego Baktisa przywiódł.

— Niechaj-ta stryj Wawrowi rozpowie, jak to ongi z Grejcziunisem na Piłkalnisie złe się obeszło.

— A cóż, kark mu skręciło, że sobie na pięty patrzał po śmierci!

— Żartujecie, gospodarzu! — Wawer zaprzeczył, rozciekawiony, traktując włościanina cygarem.

— Jakto żartuję! Toć świadków jeszcze wiele żyje. Grejczius wędrowny szewc był, trochę pałkę zalewał. Wydało się potem, że i kontrabandą się zabawiał, ale tegoby po nim nikt nie odgadł. W Karewiszkach bywało miesiące siedzi, nim całą wieś na zimę obuje. Takci też było owej jesieni. Przyszedł, u mnie rozgościł się ze swym warstatem. W chacie, wiadomo na jesieni, kobiety na prządki zbierały się wieczorami, i bajały różne dziwa. Tak ci rozmowa na Piłkalnis raz przyszła. Jest ci ta studnia na szczycie, powiadają, że kto na trzeci dzień nowiu o północy tam stanie, ino sam — i trzy razy: jestem — powie, to się ta studnia przed nim otworzy, pokażą się złote schody i dwie stare wiedźmy poprowadzą pod ziemię śmiałka....

— Żeby choć ładne dziewczęta! — Wawer żartował.

— Poczekaj ino. Na dnie samym pałac jest ze złota i dyamentów, a w nim królewna. Powiadają, że trafił się raz taki śmiałek, co te-

go wszystkiego, co mówię, dokonał i przed królewną stanął. A cudnej była piękności i wdzięcznie na chłopca patrząc, powiada: „Ulituj się nademną i czar zdejm, a i siebie tobie oddam i te skarby i królestwo olbrzymie!" — „A cóż mam czynić?" prawi parobczak. — „Musisz przedemną wszystkie moje ciotki pocałować". A w tem na to słowo poczęły z różnych kątów wyłazić gadziny, stonogi, pająki, ropuchy, nietoperze pijawki, obrzydliwe żuki. Chłopiec w nogi, a królewna płacząc, zatrzymuje go i tak błaga i zaklina, że wreszcie zgodził się na ofiarę. Pocałował każdą z kolei, a co jej buziaka da, to z niej skóra potworna opada i w staruszkę się zmienia. Takci wszystkie przeszedł, aż ostatnią wyłazi żaba, cała klejka i cuchnąca, wielka jak wół, oblepiona szlamem, z gębą pełną robactwa. Wtedy go już odwaga odstąpiła, odwrócił się i splunął. A ot nim słowo rzec, zaczął się pałac walić, stare znów przedzierzgnęły się w potwory, królewna zapłakała gorzko, a śmiałka coś porwało za włosy i rzuciło przez powietrze jak kamień. Wtedy go przytomność odbiegła, a gdy się ocucił, leżał w rowie pod kurhanem sam jeden. Od tej pory sechł i niknął, i nie doczekał miesiąca, aż umarł....

— Ot głupi! — rzekł Wawer. — Jabym zamiast te straszydła całować, tobym wnet je p[illegible]zabijał, a piękną królewnę dopiero pocałował ogniście.

Bakutis pobłażliwie na tę przechwałkę się uśmiechnął.

— Gadał tak i Grejczius, kobiecych baśni słuchając, a raz dobrze cięty powiada: „Ot dziś nów i trzeci dzień właśnie. Doczekam się północy i szczęścia spróbuję. Bóg szewców lubi, to mi dopomoże. Jednakowoż w kawalerskim stanie dotąd przebyłem, czas mi się z niewiastą obejrzeć, wezmę sobie odrazu królewnę!" Tak się przechwalał, a my się śmieli nigdy na seryo tego nie biorąc. Potem nie zaszła, szewca do karczmy korciło, zabrał się, poszedł i długo nie wracał. Dokuczyło mi czekać, myślę, pijak głowę stracił, prześpi się w szynkowni na ławie. Zamknąłem sień i położyłem się, światło zgasiwszy. Rankiem konie w pług założyłem i w pole poszedłem. Jesień to była i późne słońce. Pamiętam jak dziś, pod ziemniaki łamałem rolę. Koło kurhanu za Jodasowem moje pole leży. Przeszły konie raz i na zawrocie zachrapały dziko, przeszły drugi raz i dęba stanęły w temże miejscu. Żegnam się i zaglądam w fosę, aż tam coś le-

ży wielkiego. Podchodzę jeszcze bliżej, człowiek — trącam go kijem, potem nogą, ani drgnie. Piersiami do ziemi leżał, a twarz miał aż na ramię wykrzywioną. O Jezu, Grejczius, czy co! Porywam go na ramiona, trzęsę, a ta głowa to tu, to tam, niby dzwon się kołacze. Takci na skórze tylko się trzymała. Jakem w twarz spojrzał, tom nieludzkim głosem krzyknął, a włosy mi jak druty stanęły. Była to twarz do ludzkiej niepodobna, umazana krwią i błotem, z językiem wypadłym, a oczami w słup stojącemi. Rzuciłem trupa w kałużę krwi, co mu się gardłem wytoczyła, rzuciłem konie i jak waryat uciekałem, i z początku w gminie to mię nikt zrozumieć nie mógł. Zdziwili się ludzie, straż, policya, cała wieś. Uprzątnęli ciało i śledztwo okrutne poszło. Wodzili mnie po sądach, trzęśli kraj cały, trupa nawet z grobu dobywali i krajali. Kurhan też obszukali starannie, studnię odwalili, trzymali po więzieniach moc ludzi, a cały ten kram niczem się skończył, bo i kto od umarłego czego się dowie, albo nocne moce złe zwojuje! Nie daj Boże je spotkać, a broń Boże je zaczepić!

Po zgromadzeniu jakby zgroza przeszła. Milczeli wszyscy, dziewczęta żegnały się trwożnie. Tylko Rufin był spokojny i Rozalka.

Rzeźbiarz nisko głowę skłonił i chudymi palcami kwiatki w murawie gładził i muskał; na ów straszny Piłkalnis malujący się w dali, dziewczyna zamyślone oczy wlepiła.

A w tem milczenie Wawer przerwał.

— Nie zła moc, ale ludzie tego szewca ubili! — rzekł.

— Po co? Biedny był i z nikim sporu nie miał.

— Kto to wie.... Niby to biednych nie mordują. Może co wiedział niepotrzebnego, przeszkadzał komu.... Różnie się trafia na świecie.

— Niech ta, co chce będzie, ale jabym za nijakie skarby na Piłkalnis nocą nie poszedł! — zdecydował wstrząsając się Antoni.

— Ani ja! — powtórzył Brodacz.

— Ani ja! — dodał Szluguris.

Reszta milczała, ale znać było, że nie inaczej myśli. A Rufin głowę podniósł i głuchym swym głosem powoli i cicho się odezwał:

— Słyszałem ci ja inną bajkę o kurhanie naszym....

Zwrócili się wszyscy do niego, jakby uwolnieni z pod ciężkiej zmory, a on wciąż kwiatki pieszcząc tak mówił:

— Nie ma tam pod spodem ni pałacu, ni królewny. Za dawnych czasów bojowały wielkie moce o tę ziemię naszą i nijakiej zgody nie było. Więc wziął Bóg ze strony prawej małego karzełka, a ze strony nieprawej najtęższego olbrzyma i pod tą górą ich zamknął i kazał im ze sobą wojować, a na ziemi tymczasem niby ucichło i czekają moce inne. Więc karzełek kowadło sobie zbudował i wciąż na niem miecz kuje, a co ukuje, to olbrzymowi próbować daje, a olbrzym wciąż go łamie. I taka od wieków niestrudzona robota idzie, ni karzełek nie ustaje, ni olbrzym. Ale taki czas przyjdzie, że ten maleńki kowal miecz zahartuje nad siłę tego większego większy, a wtedy odmieni się wszytko na ziemi i wszystko, co uciemiężone i małe nad światem zapanuje!

— I my zapanujemy? — spytał Jurgis Szwedas.

— I my, bośmy owego karzełka może wnuki.... — Rufin z uśmiechem łagodnym potwierdził.

— Zapanujemy właśnie krukom na szubienicy, albo robakom w grobie! — ponuro, szyderczo Krysztof się odezwał.

— Wstydziłbyś się tak gadać — upomniała go Rozalka.

Spojrzał na nią jak wilk.

— Ty to mi wstydem oczu nie wycieraj, głupia! — burknął.

— Ty to bardzo rozumny! — zawołała Magdalenka.

— U ciebie mózgu nie kupowałem.

— Myślisz, żebym dała? Nie wiedziałbyś co z nim robić.

— Jak pora przyjdzie, to pokażę!

— Wolelibyście się o buziaki targować, jak o rozum! — zaśmiał się Wawer.

— A nie pozwolę, bom już wszystkie kupił, — swawolnie Szluguris zaprzeczył.

Zaczęli się spierać, żartować, gonić po ogródku, reszta też zaruszała się i rozchmurzyła się. Na murawie Rufin z Rozalką pozostał, bo Bakutis na uciechę młodzieży chwilę popatrzył i do chaty wrócił, gdzie wśród starszych kobiet siedziała wdowa młoda, do której na jesieni swaty myślał słać.

A wtem wrotka skrzypnęły i na podwórze wszedł gość rzadki, stary Szwedas. Człek to był drobnego wzrostu, ale żylasty, szerokich pleców i ramion potężnych, chudy przytem i żółty na twarzy. Ubierał się zawsze jednako staroświecką modą, w sukmanę siną o stu fałdach, na piersi miał dużo szkaplerzy i rożaniec

z bukszpanu. Głowę miał łysą, a twarz golił starannie, co mu nadawało pozór kościelnego sługi. Pozór mylił, bo Szwedas i w kościele i w chacie swojej rzadko bywał. Gospodarkę na dwóch synów zdał, a sam furmanił. Miał parę koni i drabiak, który szeroko znano; jeździł po piwo i wódkę dla Butkisa, po żelazo i sól dla dworu, najmował się do dostaw i drobnych nawet posyłek, bez mała rok cały na wozie spędzał, nie bojąc się ani odległości, ani zimy, ani nocy.... Małomówny był i nigdy się nie śmiał, ale w lot interes każdy pojął, załatwił, a taką miał opinię uczciwości, że wielkie pieniądze mu powierzano, posyłano w najważniejszych sprawach. We wsi był osobistością poważaną i szanowaną, to też gdy się na podwórzu Karewisów niespodzianie pojawił, gospodarz z synami naprzeciw niego wyszli i choć krewny im był i swojak, witali niemal jak pana. On też chętnie do chaty wszedł na biesiadę, a przechodząc pod płotem ogródka, Rufina zoczył i pozdrowił. Nic więcej nie rzekł i dalej Karewisom na pytania, skąd jedzie, odpowiadał, ale rzeźbiarz zaraz wstał, wstała też i Rozalka.

— Trzeba iść! — z cicha wymówił.

— Pójdźmy! — odparła podobnież.

Kule mu podała i korzystając, że młodzież opodal Gedrajtysa muzykanta obstąpiła, wymknęli się oboje na drogę.

— Zostań się Rozalko, toć tańce się gotują! — mowił.

— Albo mnie tańce w głowie? Nie dlategoście mnie oświecili, żebym podobną innym była....

— Oświeciłem cię, ale nie po to, żebyś marniała. Służba święte swoje prawa ma, a lata młode swoje. Za mąż ci pora!

— W chacie mój warstat stoi, nie od tańca mnie wezmą, ale od roboty. Nie lubię pustej swawoli.

— Szwedas cię nikomu nie da, tylko dla syna chowa.

— Nie Szwedasa, ale moja wola się stanie — hardo odpowiedziała.

— Chciałbym cię za życia szczęśliwą i spokojną zobaczyć! Do chaty twego męża zawlokłyby mnie kule, a oczybym uradował i duszę.

Żałośnie, choć się uśmiechał, głos jego brzmiał.

— Po co śmierć wspominacie? Nie pora wam umierać!

— Giltina (bogini śmierci) nie patrzy w zęby! — spokojnie odparł.

Za nimi, w zagrodzie Karewisów skrzypki się rozległy i wesołe okrzyki. Rzeczywista zabawa dopiero się rozpoczynała, potrwa długo w noc bez nich!....

VII.

Stanęły zręby zagrody na Bubiach.

Pewnego wieczora Wawer z Krystofem ku wsi od roboty szedł, siekierę na ramieniu niosąc. Od niejakiego czasu zniecierpliwiony powolnością roboty, zaczął Jodasowi pomagać, ucząc się ciosać niby przez zabawę. Stary ojciec przychodził często i chwaląc go pokazywał sposoby różne.

Listy ze Szczecina stawały się coraz natarczywsze, wzywała go do powrotu.

Już dwa miesiące ubiegło, już kończono żniwa, a jego ten dom zaczęty i obietnica dana ojcu trzymały w Karewiszkach. O tej mitrędze opowiadał Krysztofowi właśnie.

— Będzie mi, będzie od pana Matschkego — mówił czuprynę markotnie trąc. — Na tydzień, dwa, urlop wziąłem, miesiące siedzę.

— Napanujesz się jeszcze do woli.

— Ta pewnie, ale i narzeczona po mnie nudzi.

— Wierzysz w kobiecą naturę? Byle gach ją pocieszy.

— Ty-bo wszystkie wedle Magdalenki cenisz.

— Jednakie one!

— Będziesz do Szwedasów swaty słał?

— Będę.

— A Szluguris?

— Szwedas musi ją mnie dać.

— Lubisz ją tak bardzo?

— Chcę mieć. Poniewierała ona mnie siła, oddam jej za wszystko.

— Toci osobliwa twoja natura! Przecie jej bić nie będziesz, jak żoną zostanie?

Jodas nie odpowiedział, ale znać było, że złe ma myśli pod twardą zaciętą czaszką.

Wieczór był późny i pogodny. Za Piłkalnisem już tylko pamięć słońca została w kilku czerwonych smugach. Po czystych bezchmurnych niebiosach Wawer oczami powiódł.

— Pogoda będzie jutro. Wcześnie się księżyc wysunął.... a taki jasny choć mały!— zauważył.

— Trzeci dzień jak nów wstąpił! — odparł Jodas.

Doszli do chaty jego.

— Wstąpisz może? — zaproponował.

— Z miłą chęcią.

Znaleźli się w izbie pustej.

— Rozalki nie ma? — zagadnął Wawer po kątach spozierając.

— Nie ma! — odburknął Krysztof. — Do miasteczka motki do farby poniosła. Wróci niebawem.

Usiedli. Biały kotek dziewczyny przyszedł do Karewisa i na kolanach mu się ułożył. Jodas we włosy dłonie wsunął i rozparty w ziemię patrzał. Rozmawiali o tem i owem czas jakiś. Wawer widocznie powrotu Rozalki nadczekiwał, ale sciemniało zupełnie, a jej nie było. Wreszcie wstał i gospodarza pożegnał.

— Spóźnia się siostra twoja! — zauważył już na drodze.

— Licho jej nie weźmie! Może zanęcuje w miasteczku.

Wawer w dal na drogę spojrzał — pusta była. Poszedł powoli ku chacie, rozmyślając, gdzie się zabawi dzisiaj. Księżyc stał wprost niego bardzo jasny.

— Trzecia noc po nowiu; straszna noc! — pomyślał uśmiechając się.

Wyjął zegarek, wskazywał w pół do dziesiątej. Za parę godzin można dziwa zobaczyć na Piłkalnisie, a w każdym razie zabobonnym

chłopom dowieść, w jakie to brednie wierzą; zechciało mu się bardzo tej wyprawy.

Zaszedł na chwilę do chaty i rewolwer swój do kieszeni włożył, potem za wieczerzę podziękował i do Butkisa poszedł.

W oberży kilku nieznajomych podróżnych drzemało w kącie. Szynkarz z chłopami o procesach gadał. Nie było zresztą nikogo z kolegów do zabawy.

Wawer piwa sobie kazał podać i z procesowiczami wdał się w długi rozhowor o ich pretensyach i sporach. Tak mu zeszła godzina. Znowu na zegarek spojrzał, nie wiele brakło do północy. Wstał tedy, zapłacił za piwo i wyszedł.

Zrazu gwizdał cicho kierując się zagonami i miedzami, bez drogi na groźny cień kurhanu, potem ucichł i kroku zwolnił.

Pomimo odwagi, ten trup szewca ze skręconym karkiem plątał mu myśli i towarzyszył jak zmora. Naturalnie zamordowano go, ale kto?

Stanął w fosie, może w tem samem miejscu, gdzie Grejcziusa Bakutis znalazł. Wzdrygnął się mimowoli. Nie był to jednak człowiek, coby w pół drogi zawracał — ruszył dalej — ciągle fosą upatrując w gęstwinie, po-

krywającej stoki wzgórza — ścieżki lub szczeliny.

Cisza była niczem niezakłócona. I wtem posłyszał Wawer gdzieś ponad sobą, ludzkie głosy. Zatrzymał się i podniósłszy oczy nasłuchiwał. Rozmawiało na kurhanie wyraźnie osób kilka, niczem się nie hamując i rzecz dziwna, że jeden z głosów przypomniał mu głos Rozalki.

Tam do licha! — pomyślał — do duchów trzeba iść przebojem — do ludzi podkopem. Spróbujemy zajrzeć tym nietoperzom w oczy. Już teraz nie myślał o zamordowanym szewcu, ani o baśniach, już nie chciał dać dowodu odwagi, ale był zajęty, zaciekawiony, żądny wytłómaczenia tajemnicy

Przypadł do ziemi i bardzo powoli i ostrożnie począł się wdrapywać na stromą pochyłość, unikając poruszenia gałęzi, szmeru najmniejszego. Tak pełzł jak kot dziki do upatrzonej zwierzyny. Coraz wyraźniej dochodziła go rozmowa, a raczej jeden głos brzmiał — nieznany mu. Nareszcie dotarł odwiecznego dębu, co już stał na brzegu platformy. Wtedy ostrożnie z za pnia głowę pochylił i patrzał bezmiernie zdumiony.

Przed nim znajdowało się czworo ludzi — trzech mężczyzn i kobieta.

Oczy Wawra rozwierały się coraz szerzej, słuchał tamując oddech.

Mężczyzna jeden siedział, reszta stała. On jakby rozkazy wydawał, tamci słuchali plecami do dębu zwróceni, tak że tylko siedzącego widział dokładnie Wawer. Człek to był już stary ubrany w samodział i długie buty. Szlachcic zagrodowy z pozoru.

— Młodość ma swoje przymioty, ma i błędy, — usłyszał zaczajony dalszy ciąg mowy. — Odwagę i ofiarność! Tylko, że odwaga bywa często szaleństwem, a ofiarność, poświęceniem często próżnem. Nie mówię tego do was, Karewis, jako zarzut, ale jako ostrzeżenie. Wy dajecie się mnie dzieckiem, możeście od nas starych lepsi, szczęśliwsi! Poleciłem Szwedasowi i Rufinowi człowieka mi dać — wybrali was. Wielka to wam chluba, wielka odpowiedzialność. Rozumiecie mnie jasno?

Wawrowi się zdało, że człek na niego patrzał i jego pytał i mimowoli zadrżał, ale wtem jeden ze słuchających obrócił się i parę kroków pod światło księżycowe postąpił. Był to drobny i śniady koniucha dworski, braciszek jego najmłodszy — Marcinek. Zbliżył się do sta-

rego, w rękę go pocałował, a potem jak żołnierz się wyprostował.

— Rozumiem! — odparł stanowczo. — Nie bójcie się mego wzrostu i lat. Trzy razy na próbę biegałem do was, owe papiery nosząc. Za pierwszym razem tom nic nie pojmował i jak po omacku szedł. Za to mnie obito! Ale drugi raz jużem przejrzał i wiedział, co niosę, i jak po wietrze, nie było po mnie śladu, a za trzecim razem, tom całkiem zrozumiał rzecz, i odtąd gotowem za tę sprawę nie skórę, a głowę nałożyć. Zobaczycie!

— Uchowaj Boże podobnego nieszczęścia. Głowa twoja potrzebna ziemi i pilnować jej powinieneś. „Bądźcie chytrzy jako wężowie", powiada pismo — i to ci powtarzam i zawsze powtarzać będę. Uklęknij teraz!

Marcinek ukląkł a stary wstał, podniesioną jego rękę na książce starej położył i poddawał jemu słowa:

— Ja, Marcin Karewis, za świadka mając Boga i tu obecnych, przysięgam, jako z duszą całą, myślą i siłami staję w służbę Szkaplerza żmujdzkiego, na życie całe, ślubując sprawie swej wierność, starszym swoim posłuszeństwo, braciom swoim pomoc, ludziom obcym milczenie. Jeźlibym niewierny się stał i zdradził, u-

karaj mnie Boże nasz, ukarzcie mnie ludzie, co te moje słowa słyszycie. Amen!

— Amen! — powtórzyły trzy głosy.

Stary chłopca z ziemi podniósł, szkaplerz czerwony mu na szyję włożył i jak brata ucałował. Pozostali uczynili to samo. Wówczas zobaczył ich i poznał Wawer. Był to stary Szwedas i Rozalka.

— Co czynić każecie? — spytał Marcinek uroczystym głosem, dziwnym przy jego chłopięcej postaci.

— Będziesz słuchał dziewczyny tej mądrej a dobrej. Będziesz od niej ogniwem dalszem łańcucha — bardzo długiego, którego ja sam początku ni końca nie znam. Bóg z tobą Karewisie młody. Może w moich latach będąc — lepsze dni zobaczysz. Tymczasem jak mrówka pracuj, jak orzeł myśl, a jak wąż chytry bądź.... Możesz odejść już!

— Pójdźmy! — szepnął Marcinek do Rozalki....

Ona zwróciła się po Szwedasa.

— Rufin mnie kazał się dowiedzieć o nowy transport, czy czego dla nas nie ma?

— Jest gazet cały worek. Pod kamień go wsunęłem naprzeciw Wawrowej kapliczki, przy drodze. Znajdziesz?

— Rufin też wam pieniądze kazał wręczyć, ile zebrał przez ten czas. Przysłał mnie bo u niego wieczorem dwóch z urzędu było, niby rzeźby oglądali. Ostrzedz was polecił....

— Dobrze, nie przyjdę do niego tedy, a jutro rano znowu jadę — pusty w tamtą stronę.

Ręką ku zachodowi wskazał.

— Prędko będziecie znowu?

— Dopiero na odpust Szydłowski.

— Szczęść wam Boże i zdrowo prowadź. Pochwalony Jezus!

— Na wieki. Amen!

Dziewczyna i Marcinek skłonili się i przeciwną stroną kurhanu poczęli schodzić.

Podniół się też i nieznajomy.

— Czas i mnie! — rzekł — droga na stare nogi daleka.

— Podwiozę was! — Szwedas się ofiarował.

— By nas kto razem zobaczył? Pamiętacie, jak was przed trzema laty wzięli do więzienia i mnie pytali, czy znam Szwedasa i w jakich z nim jestem stosunkach! Znam, powiadam, ale co do stosnków, to w jakichże ja, obywatel, mogę być względem ciemnego, głupiego chłopa? Takem rzekł wtedy, a coby pomyśleli, żebym nocą z tym samym Szweda-

sem na wozie jechał? Wypuścili mnie na takie tłumaczenie.

— Myli się pan! — ozwał się chłop. — Wypuścili dlatego, że ja na śledztwie o to samo pytany, powiedziałem: W nijakich stosunkach nie jestem, bo pan mi pierwszy wróg urodzeniem i mową, a dwór pierwsza moja nienawiść i obchodzę go jak gniazdo szerszeni!

Obywatel szczerze się zaśmiał.

— Oddałeś mi z nawiązką Szwedas!

— Dlatego, żem tak nie myślał, tom rzekł. Czas panu w drogę, czas i mnie. W Szydłowie się spotkamy. Mam tutaj jeszcze jeden interes. Dali mi darmo studenci z tamtej strony książeczek tysiąc, bym je po kraju rozrzucił. Zostało jeszcze dwadzieścia, te już tutaj zostawię.

Sięgnął w zanadrze i pokazał broszurkę małą w żółtej okładce. Obywatel jednę wziął, resztę mu oddał.

— Siejcie, Szwedas, dobre to ziarno i Bóg niech wam pomaga! Bywajcie zdrowi.

Uścisnęli sobie prawice.

Obcy zniknął w miejscu, gdzie Rozalka poszła. Szwedas przeszedł tuż koło zaczajonego Wawra. Znał tam widocznie każdy krzak, korzeń, gałąź, bo spuszczał się prędko i cicho,

potem jeszcze czas jakiś kroki oddalające się było słychać, wreszcie wszystko ucichło, znikło, rozwiało się, a w głowie Wawra zostawiło wrażenie chorobliwej halucynacyi.

Zaczął i on schodzić, tak zamyślony, że nie widział, jak opodal jeszcze jeden człowiek czając się do ziemi w stronę wioski zmierzał, który ani Szwedasem nie był, ani tym obcym szlachcicem. Ze wzrokiem wbitym w ziemię i w sobie zatopiony młody człowiek szedł powoli miedzami polnemi wśród zagonów ze zbóż ogołoconych. Chaotycznie mięszały mu się wrażenia doznane. —

Dziewczyna, którą tyle razy grubijańsko zaczepiał, chłop z pozoru nieokrzesany i ów Karewis, piętnastoletni bosy pastuch, który za granicami swej parafii świata nie znał!.... Mówili oni teraz do duszy jego dziwnym językiem, stanęli przed nim jak ci dziedzice i obywatele szanowni ziemi, o których kiedyś Rufin mówił. Mrówki te znosiły źdźbła, pyły, igiełki sosnowe i siedmkroć większy niż siły ciężar wlokły do mrowiska, sypały przez lat dziesiątki kopce rojne, nie ustawały nigdy. Tak się zamyślił idący, że zdały mu się te zagony i pola leśną rubieżą, pociętą śladami owadów, a te chaty po nich rozrzucone mrowi-

skami, które miliony wznosiły, na trud zapamiętałe, przemyślne. A wtem przed nim coś zaświeciło na miedzy. Schylił się. Leżała tam książczyna mała, którą człowiek ukryty, nieznany rzucał za siebie, jak siewacz ziarno. Dla pracowników biednych, dla bosonogich pastuszków zostawiona tam była, co jak ptaszęta wstaną przed słońcem i ziarno to znajdą na miedzy, na karm dla duszy. Wawer ją podniósł.

„Apej żeme!" — (O ziemi) przeczytał na okładce i już nie odłożył napowrót, ale schował w zanadrze.

Czasem na wierzchu mrowisk złocą się ziarna żywicy wonnej — taką mu się ta książka wydała kruszyną kadzidła....

*
* * *

Ukończono żniwa, na ukończeniu też była zagroda na Bubiach. Pracowano przy niej gromadnie. Wawer nie szczędził pieniędzy i poczęstunku, sam od świtu stawał do roboty, śpieszył gorączkowo, pomagali mu też chętnie sąsiedzi i krewni. Na zagrodzie bielał już komin wysoki, świeciła złocista strzecha, rosła jak na drożdżach stodoła i obórka.

Wszystko było dostatnie i schludne, przypominało porządkiem i skrzętnością zagrani-

czne farmy, wzbudzało w patrzących zachwyt i podziw, a Wawra napełniało wielką dumą i lubością.

Przychodził zrana pierwszy, a odchodził ostatni, gdy już gwiazdy świeciły. Nad wyraz miłe były mu te węgły świeże, ten szmatek ziemi, przygotowany pod pierwszy zasiew nowego właściciela. A tymczasem dnie i tygodnie biegły niepostrzeżenie i aż się przeraził pewnego wieczora, obrachowawszy sumiennie czas pomiędzy swoimi spędzony. Miał to być tydzień odwiedzin — a zmienił się na cztery miesiące i trzy dni już tylko brakło do Szydłowskiego odpustu Narodzenia Matki Boskiej.

Listy od Matschkego przestały dochodzić, zapewne obrażeni śmiertelnie nie chcieli się więcej do zbiega odzywać. Zbiegiem bo był i zdrajcą i niewdzięcznikiem....

Choć go nikt nie widział i nie strofował, Wawer wstydem spłonął i spuściwszy głowę, szedł jak winowajca, zaprzysięgając sobie następnego piątku odjechać stanowczo, oprzeć się wszelkim prośbom i zaklęciom rodziny.

Zstępował na gościniec właśnie, gdy go turkot wozu doleciał i raźne parskanie koni, więc się obejrzał machinalnie.

Wieczór jasny był, więc zdaleka poznał siwego i kasztanka starego Szwedasa i zwolnił kroku.

Wóz się wnet z nim zrównał, a Szwedas siedzący na ładunku beczek i tłumoków, pozdrowił Bożem Imieniem.

— Dobre macie oczy, dziadziu, żeście mnie poznali! — rzekł młody nachylając kapelusza z uszanowaniem.

— I poznałem i zapamiętałem, chociem ciebie mało widział — odparł stary, wstrzymując koniki do kroku pieszego.

— Dziękuję wam za pamięć!

— Ty może myślisz, że to z powodu owych pieniędzy, coś moim chłopcom po ogniu rzucił? Otóż nie z tego! Zapamiętałem cię dla twego rozumu i zastanowienia! — Ciągnął dalej Szwedas lejce zarzucając na luśnię i dobywając z kieszeni fajkę. — Inni wszelaką rozpustę i swawolę do chaty przynoszą, a tyś przyniósł uczciwy grosz i naukę. Będzie ta chata twoja dobrą szkołą i przykładem.

Na zagrodę ręką wskazał.

Wawrowi nie snadno było w obec tych pochwał powiedzieć, że niebawem odjedzie, by więc rozmowę zmienić, spytał:

— A wy, dziadziu, do domu wracacie?

— Wracam. Wiozę Butkisowi piwo, a do dworu smarowidło i sól. Konięta mam też zmordowane szpetnie.

— Zabawicie w chacie?

— Zabawię, bo odpust niedaleko, a ślubowałem do Szydłowa z ofiarą i pokutą.

Wawer na furę spojrzał i pomyślał sobie, jaka to ofiara była pod beczkami piwa i worami soli.

— Szczęść wam Boże! — rzekł szczerze.

— Dziękuję! — odparł stary dobrodusznie.

Skinął przyjaźnie głową i koniki zaciąwszy oddalił się ku wsi.

Wawer go oczami przeprowadził i widział, że zamiast do Butkisa, do swojej chaty skręcił, jakby tam zostawić miał najcięższy ładunek.

U Szwedasów znano obyczaje ojca, słuchano go ślepo, nie pytano nigdy o nic. Gdy wóz się na podwórze wtoczył, synowie wyszli obadwa, ucałowali ojcowską rękę, zamknęli wrota. Stary nic do nich nie mówił, bo właśnie przesuwając paciorki różaniec odmawiał.

Koniki nie kierowane, same zaszły pod szopkę i stanęły.

— Wyprzęgać, ojcze? starszy syn zapytał.

Szwedas głową potrząsnął. Nie złaził z wozu i tylko im drzwi chaty ręką wskazał. Zrozumieli i odeszli.

Po dość długiej chwili stary na progu stanął. Podnieśli się wszyscy z ław i czekali rozkazu. Wstał i Szluguris swawolny, który coś z Magdalenką szeptał w kącie, wstała Barbara karmiąca u pieca niemowlę.

Szwedas rożaniec właśnie skończył i krzyżyk ucałowawszy, na szyi go powiesił. Wtedy się odezwał:

— Weźmiesz Jurgis moją furę i do Butkisa i dworu ładunek odstawisz. Powiedz, żem zmordowany i jutro z rachunkiem przyjdę!

Parobczak skłonił się i wnet zniknął, a stary na ławie pod obrazami usiadł, głowę podparł i tak siedział zamyślony.

Wnuczek mały, czterolatek, do kolan jego się przysunął i ocierał się o nie jak kociak mały, prosząc o pieszczotę czy o upominek. Szwedas ręce od twarzy odjął i pod nogi spojrzał. Twarz jego nie znająca co uśmiech, na małą chwilę zadrgała radością i nieco się do dziecka pochylił, ale wnet się powsztrzymał i już znowu surowy w zanadrze sięgnął, pierniczek złocony dobył i chłopczykowi podał.

— Barbaro! — do synowej się zwrócił — zabierz małego!

Ale już dzieciak zalękniony srogiemi dziada oczami, umknął sam do matki i oddał jej łakocie nie śmiejąc pokosztować.

— A mnie tatuś nic ładnego nie przywiózł? — spytała Magdalenka z umizgiem.

— Nie! — odparł krótko.

— Powieczerzacie, ojcze? — starszy syn wtrącił.

— Powieczerzam, jeźli co postnego macie.

— Zawsze dla was gotowe stoi, jako, że nie wiemy, kiedy wrócicie, a wiemy, że z omastą nigdy nie jecie! — rzekła Barbara, stawiając przed nim miskę postnej kaszy.

Stary jej głową przyjaźnie skinął i jeść począł. Obecni zaczęli rozmawiać, ale on ani słówkiem do rozmowy się nie wmięszał i na nikogo nie patrzał. Odzywał się śmiech Magdalenki i żarty Szlugurisa, gospodarskie uwagi młodego Szwedasa, wioskowe opowiadania jego żony, szczebiot dzieci, stary jakby nie słyszał. Ukończywszy wieczerzę na ławie się wyciągnął i zdawał się drzemać.

Powstał wreszcie Szluguris i pożegnawszy się odszedł, a po chwili wymknęła się za nim Magdalenka i gdzieś przepadła, choć niby tyl-

ko na moment do sąsiadki za jakimś interesem zajrzeć miała. Barbara poczęła dzieci do snu układać i pacierz im mówić, Juras czółenko tkackie dla żony strugał.

— Długo Jurgis nie wraca! — zauważył do ojca się zwracając.

Stary na łokciu się podniósł.

— Idzie ktoś pieszo! — rzekł ku drzwiom spoglądając.

— Ktoby tak późno?

— Wyjdź, zobacz!

Juras wstał, ale nim do drzwi doszedł, one się otwarły i na progu stanął czarny, wysoki drab w żołnierskiej czapce.

— Pochwalony ozwał się posępny głos Krysztofa Jodasa.

— Na wieki! — odparł Szwedas młody — Nie poznałem ciebie po tej czapce, myślałem, że wojna w kraju!

— Słyszałem, że ojciec twój jest we wsi, a że go trudno doma zastać, przyszedłem choć pod noc, bo mam do niego sprawę.

Stary Szwedas podniósł się z ławy.

— Wejdź i mów! — rzekł.

Jodas próg przestąpił, skłonił się gospodyni i czapkę w rękach mnąc, do stołu się zbliżył.

— Mam ta do was, gospodarzu, interes, prośbę.... — ozwał się niepewnym głosem.

— Mów! — Szwedas powtórzył.

— Spodobałem sobie dziewczynę waszą, więc o nią proszę u was!

Zatrzymał się sądząc, że odpowiedź będzie jaka, ale stary milczał, Juras w kąt się usunął, a Barbara tylko zaciekawiona tamując oddech słuchała, oczy wlepiając w twarz teścia.

— Biedny jestem, jako wiecie, ale siły i zdrowia Bóg mi nie poskąpił. Sto rubli rocznie siekierą zarobię, chata i ogród jest, biedy wasza jedynaczka u mnie nie zazna, bom ani pijak, ani rozpustnik, ani hulaka, jako cała wieś to mi poświadczyć może. Tak tedy z prośbą uczciwą do was przychodzę.

Pochylił się do kolan starego, pokłonił się potem Jurasowi i Barbarze. Szwedas wyprostował się i ręce na piersi skrzyżowawszy, popatrzał bystro w oczy.

— Wieli o chęci twojej dziewczyna? — spytał.

— Jako zwyczaj do ojca wpierw przyszedłem.

— Toś źle trafił, bo ja jej tobie nie dam!

— Nie dacie? Innemuście obiecali?

— Pierwszy się odzywasz!

— Powiedzcie, może co macie przeciwko mnie.

— Powiem! Z dwóch przyczyn odmówić ci muszę. Jako, że dziewczyna zalotna jest, pieszczona i swawolna, a ty zazdrosny i mściwy, więcbyś ją zakatował, a nie poprawił i jako że ty nie prosty mi się wydajesz, nie czysty nie pewny w myśii i czynie....

Jodas zbielał i wargi drżące zsiniały mu okropnie.

— Obelgą mi odpowiadacie! — burknął przez zęby.

— Nie obelgą, ale słowem prawdy, jakeś żądał. Mógłbym ci ojcem być, więc prawo mam, co myślę powiedzieć. Naturę ci Bóg twardą dał, jako żelazo, a na niej teraz tyle rdzy narosło, że już to żelazo całą wartość straciło. A rdza ta, to twoja zawiść dla lepszych i bogatszych, to twoja niechęć do ludzi, to twoja dzikość, to twoja obojętność dla spraw i trosk sąsiadów, niedbałość i nieużytość! Nie bieda twoja mnie zniechęca, ale taka natura, bo nie strach mi zięcia ubogiego, ale strach mi zięcia zdrajcy, a tobie ja nie ufam i nie wierzę! Taka jest moja racya.

Jodas trząsł się cały zmieniony i straszny wściekłością i wstydem. Oczy mu łyskały jak

wilcze, a zacięte zęby zgrzytały. Przez chwilę zgrzyt ten tylko i sapanie słychać było, wreszcie ozwał się schrypniętym, dzikim głosem:

— Takim ja, jakim być muszę! Biednemu dwie drogi ludzie zostawili: zdechnąć, albo się spodlić! Ostatnie to wasze słowo na prośbę moją?

— Nie zdycha, kto duszę ma i nie podli się, kto serce czuje w piersi! Takie moje słowo ostatnie. W złości żyjesz i zemście. Pamiętaj, że nóż to ostry i zatruty! Zabije w kogo uderzysz, ale i ciebie otruje! Więc opamiętaj się, nim go użyjesz....

— Ja wiem, że się mnie lękacie, nie wypuszczajcie mnie z odmową tedy!

Szwedas wstał z ławy i oczy jego dziwnie zabłysły. Kapotę miał rozwartą na piersi i widać z pod niej było pęk szkaplerzy jaskrawych.

— Lękam się Jodasie Boga a nie złego człowieka. Nie groź mi i odejdź, bo teraz wiem, żeś zdrajca, a w chacie mojej tacy nie bywają! — rzekł poważnie i surowo, drzwi mu ręką pokazując.

Potykając się Krysztof wyszedł.

W izbie zapanowało grobowe milczenie. Stary wciąż stał na jednem miejscu, ze wzro-

kiem utkwionym w czarną otchłań sieni, gdzie tamten zniknął. Zdawało się, że w pasowaniu trwał z jakąś myślą straszną i z jakimś zamiarem złowieszczym. Nareszcie rękę do czoła podniósł i przeżegnał się. A wtem na podwórcu zaturkotało i po małej chwili Jurgis wszedł niefrasobliwy i spokojny.

— Załatwiłem i koniki już wyłożyłem. Każecie je ojcze na nocleg gnać?

— Nie, w stajni je postaw i obroku zasyp. Napoję je sam w nocy. Pora spocząć teraz! Możecie zawierać chatę, ja w stodole się położę.

Wyszedł i już do izby nie wrócił.

Pozostali jeszcze długo nie myśleli o spoczynku. Wróciła Magdalenka i we czworo ze zgrozą opowiadali o Jodasie.

— Puści nas z dymem! — biadał Juras.

— On ta gotów studnię zatruć, szeptała drżąc Barbara.

— A łotr jeden! — burczał Jurgis. — Jutro go za pogróżki do gminy zaskarżyć i basta! Jakiem prawem ten rozbójnik pomstować się waży.

Dziewczyna była najspokojniejsza.

— Ot zawracacie sobie głowy lada gadaniem. Ja mu jutro jedno słowo rzeknę i będzie cicho! — śmiała się pogardliwie.

— Tylko ty się z tym zbójem nie zadawaj, bo się biedy napytasz! — upominał Jurgis.

— Oho, ja się go nie boję. Wydrwię i tyle! Ale co honor, to mi honor, żem nawet zbójowi głowę zawróciła!

— Mnie ta Rozalki szkoda! — szepnął Jurgis nieśmiało.

— Na wszelki wypadek jednakowoż gumna pilnować trzeba! — zadecydował starszy brat markotnie.

Zabrali się wreszcie do snu, ale co chwila zrywali się nasłuchując niespokojnie. Po północy spłoszył ich skrzyp wrót od stodoły. Wypadli z kijami na podwórze. Ale nie złodziej to był, tylko ojciec wracający na spoczynek. Co robił dotąd nie mogli zgadnąć, a pytać nie śmieli.

. . . . . .

Nazajutrz Wawer od godziny sam pracował, nadczekując na Krysztofa, wyglądał go i dziwił się niebywałej opieszałości, a wreszcie nie rozumiejąc, coby się stać mogło, ruszył do chaty skrajnej, skąd go codzień stuk warsztatu dolatywał. Podszedł pod okienko i zajrzał do wnętrza. Rozalka była sama przechylona nad robotą. Wydała mu się bardzo blada i mizer-

na. Przestraszyła się, gdy do niej niespodzianie przemówił.

— Nie ma Krysztofa? — zdziwiony spytał.

— Nie ma!

— Gdzież on?

— Poszedł z wieczora na robotę do Ramuniszek.

— Na długo

— Nie mówił.

— Bodajby kark skręcił.

Rozalka milczała, nie odrywając oczu od roboty.

— Rachowałem na niego i nikogom do roboty nie zamówił. Teraz stracę dzień cały z jego racyi.

— Mało co u was do końca braknie, o jeden dzień mniejsza — zauważyła.

— Wyrachowałem do środy ukończyć, we czwartek poświęcić, a w piątek precz jechać. Dzień jeden dużo mi znaczy. Podłogi nie ułożone i drzwi nie wyrychtowane jeszcze.

— Tak już prędko jedziecie?

— Zda się wielki czas. Cztery miesiące jak tu siedzę. Już mi nawet od roboty odzież się porozpadała w strzępy i bielizna podarła.

Już mnie znajomi nie poznają w mieście, jak takiego oberwańca zobaczą.

— To źle was Maryjka dogląda.

— Nie lubię nikomu sobą turbacyi robić!

Usiadł na ławce pod oknem i ku niej spoglądał.

— Robotnica z was okrutna, aż miło patrzeć, jak was to czółenko słucha.

— Wprawę mam, co dnia to samo robiąc.

— Nie nudzi się wam tak samej w chacie?

— Przywykłam.

— Ale to wam nie służy. Dziewczęta inne krew z mlekiem na licach mają, a wy niedobrą bladość. Bym władzę nad wami miał, nie dozwoliłbym się tak zamęczać, urodę przed czasem tracić! Dziewczyna spojrzała ku niemu i spotkawszy na sobie jego oczy, spuściła prędko głowę. Zrobiło się jej gorąco na wspomnienie tych buziaków kradzionych, namiętnych, co zda się jeszcze teraz paliły jej usta i szyję. Milczeli chwilę, może o jednem myśląc.

— Szwedasa starego wczoraj spotkałem — ozwał się Wawer bacznie się jej przyglądając.

— Na odpust do Szydłowa pewnie się szykuje! — rzekła spokojnie.

— Chytra jest! — pomyślał Wawer, ale ją zaraz złapię!

— Z książkami! — rzekł głośno.

Dziewczyna drgnęła lekko i warsztat jej ucichł. Zerwała się nić, więc ją związała i przez tę chwilę opamiętała się znowu.

— Nie wiem! — odparła, ramiona wznosząc.

Zaśmiał się.

— Ej Rozalko, nie do twarzy wam kłamstwo! Myślicie, że z Niemiec przyjechawszy, nie wiem, co znaczy ten szkaplerzyk czerwony, co wam z za gorsetu wyziera?

Dziewczyna mimowoli sięgnęła do piersi i znak ukryła głębiej, potem oczy zdziwione i trwożne wlepiła w mówiącego.

— Myślicie, że nie wiem, jakie to duchy uśmierciły szewca pijaka i co tam za czary na Piłkalnisie w drugą noc nowiu się odbywają?.. Zuchom nie warto bajek prawić, bo one ich nie odstraszą, ale zaciekawią. A co, teraz wyście się zlękli!

Rozalka opuściła ręce na kolana, zalękła i onieśmielona.

— Milczcie, na rany Boskie! — szepnęła drżąc cała.

— Żebym nie milczał, dawnoby po was wszystkich było. Alem ja różne tajemnice widział w swojem życiu i nigdym nie zdradzał.

Powiedziałem teraz, byście mnie za dudka nie mieli i nie okłamywali darmo, a przytem byście się więcej na ostrożności mieli....

Dziewczyna wstała i zbliżyła się do okna. Wyjrzała na podwórze i drogę niespokojnie.

— Nikogo nie ma! — rzekł Wawer. — Samiście ze mną, tak jak owego wieczora, kiedym was całował, a wyście mi w twarz dali. Pamiętacie? Mógłbym się teraz na was zemścić!

— Moglibyście! — odparła przez zęby marszcząc brwi. — Nad samą siebie, mnie ta tajemnica świętsza. Ale wiem ci dobrze, żeście nie podły i dla próżnej przechwałki swej odwagi nie wydacie sprawy co wam obojętną i obcą jest, a ludzkie żywoty kosztować może..

— Nie wydam was i znać po sobie nie dam. Obelgą mi wtedy plunęliście w oczy — pamiętacie — żem nikomu wiary nie dochował. Przekonacie się, żeście krzywdę uczynili!

— Ja was dawno przeprosić chciałam! — szepnęła nieśmiało. — Nie chowajcie żalu. Takem w złości rzekła niebacznie!

Wyciągnęła do niego rękę i spojrzała tak poczciwie prosząco, że Wawrowi krew gwałtownie nabiegła do serca.

— Rozalka — rzekł — byś wiedziała, jakaś mi ty miła!

— Nie godzi się wam tak mówić — upomniała cofając się.

— Ja wiem, ale żebyś chciała za mną pójść, tobym dalibóg tamto rzucił i podeptał...

Niechcący, niespodziedwanie mu się to wyrwało.

Dziewczyna cofnęła się jeszcze dalej i potrząsnęła głową.

— Żartujecie, bo wiecie, żebym od swoich nie poszła! — rzekła spokojnie.

A wtem od drogi gruby głos się rozległ.

— To ci państwo dopiero, w powszedni dzień od rana na amorach trwają.

Wawer się obejrzał. Krysztof to był.

— A tyś gdzie dotąd siedział? Siostra twoja mówiła, żeś do Ramuniszek na robotę poszedł.

— Skąd ta głupia ma wiedzieć! Do żadnych Ramuniszek nie chodziłem, alem w twojej stodółce nocował i zaspał.

— A kłamiesz, bom w stodole był i ciebie nie widział — odparł Wawer wstając i wychodząc do niego.

— Jakeś patrzał, takeś widział! — burknął Krysztof.

Poszli obadwa i po chwili siekiery ich słychać było przy robocie, a w chacie Rozalki

miarowy stuk warsztatu.... Pochylona nad tkaniną barwną, formowała desenie, zmieniała kolory, poprawiała niedokładności. Czasem spoglądała na świat za okienkiem i nuciła smutno.

Czegoś jej ciężko było na duszy.

* * *

Na odpust od Didelisów nikt nie poszedł, bo stary Jan zaniemógł i już od trzech dni z pościeli się nie podnosił, stękając ciężko.

Jak mu Wawer odjazd swój na piątek stanowczo naznaczył, tak starego z nóg zwaliło i nazajutrz nie wstał.

Jak struci chodzili wszyscy w chacie, robota nie szła, rozmowa się nie kleiła, kobiety popłakiwały po kątach, mężczyźni siedzieli zmarkoceni i osowiali.

Wawer wnet felczera sprowadził, po doktora chciał jechać, zmartwił się okrutnie.

Ale stary niczego nie chciał, tylko wciąż go przy sobie trzymał, odejść mu nie pozwalał.

— Niechta się na ciebie przed śmiercią napatrzę — mówił. — Niech ty mnie do trumny włożysz i w dół spuścisz. Nie potrzeba mi ni leków, ni doktora, ino twego widoku do skonania godziny!

Więc na taką mowę lament napełniał chatę, a Wawer z desperacyi za głowę się porywał, sam nie wiedząc, co robić, co rzec, co postanowić.

Tak się ten dzień odpustowy im żałobą i smutkiem naznaczył, że i nie pamiętali jak minął. Aż około wieczora ktoś na podwórze wpadł, prędko, bez pozdrowienia do chaty wbiegł. Była to Barbara Szwedasa cała we łzach, z dzieckiem u piersi, rozczochrana.

— O Jezu, Marya! — krzyczała łkając.

Porwali się wszyscy do niej.

— Co się stało? Zdechło co u was? Dziecko chore?

Ale ona zdyszana, czepiając się sprzętów, nic więcej z siebie wydobyć nie mogła.

— O Jezu, Marya! O Jezu, Marya!

— Cicho, Barbikie! — Wawer krzyknął. — Gadaj porządnie, ojca chorego nie strasz.

Barbara do ojca przypadła.

— Tatusiu, ratujcie! Starego naszego wzięli! — wyjąkała.

— Jak to wzięli?

— Wzięli! Żandarmy, policyanty do sądu — do kryminału!

— Matko cudowna! Za co? Gdzie?

— Ja nie wiem. Juzas z tą wieścią wpadł, parobczaka zabrał i precz polecieli — ratować. O Jezu! O Jezu!

Jeden Wawer rzecz całą zrozumiał zapewne, bo dalej nie pytając za czapkę wziął i wybiegł prędko. We wsi czuć było coś niezwykłego: kupili się ludzie, szeptali, oglądali się trwożnie. On ich wszystkich mijał i dobiegł Jodasów chaty.

— Rozalko! — krzyknął przez okno.

— Nikt nie odpowiedział. Postał chwilkę namyślając się i równie prędko do Rufina zawrócił. W chatynie świeciło się przecie. Wpadł żywo do środka.

— Jest Rozalka? — zdyszany spytał.

— Jestem — odparł głos dziewczyny bardzo zmieniony.

— No, to chwała Bogu! — rzekł oddychając z ulgą.

Obejrzał się dopiero po izdebce, Rufina dłoń uścisnął.

— Kto tam jeszcze w kącie siedzi? spytał.

— Swój! — rzekł rzeźbiarz, — Marcinek.

— Wiecie, że Szwedasa aresztowano? — zagadnął ciszej.

— Wiemy! — odparł Rufin głucho.

— Jakże to było? Wiecie! Znaleźli co przy nim?— badał bardzo zajęty i niespokojny.

— Ktoś wydał widocznie.... Przed Szydłowem z lasu wyjeżdżał, gdy go opadli. Był wóz pełen. Zabrano wszystko!

— Z was trojga nikogo nie zaczepiono?

— Nikogo tymczasem. To dopiero początek.

— Któż wydał? Tego hycla ogniem piec, za nogi wieszać....

— Nie minie go kara! — uroczyście Rufin wymówił. — Dziesięciu wyda, stu, zostaną jeszcze tysiące na zemstę....

— Kto on? Nie macie posądzenia na nikogo?

— Dotąd nie! Wczoraj wieczorem to się stało. Rozalka przed chwilą z wieścią przybiegła. Marcinek na noc pójdzie.

— Wy się na ostrożności miejcie!

— Bóg ci zapłać za troskliwość. Mniejsza o nas. Szwedasa nikt nie zastąpi, a ten już zginął!

— Wykręci się!

— Już nie! Trzeci raz go biorą. Teraz już go więcej oczy nasze nie zobaczą. A my teraz, jak stado bez przewodnika, rozlecim się na cztery wiatry.

— Gadacie! — wtrącił Wawer — na jednym człowieku sprawa nie stoi.

— Prędzej na jednym, jak na tysiącu. Jeden wielki głaz pod węgłem dłużej budynek utrzyma, jak drobnych kamieni setki, choćbyś je na cement najtęższy kładł....

Głuche milczenie zapanowało po tych słowach. Marcinek je przerwał, wstając:

— Pójdę już — rzekł. — Ostańcie z Bogiem, a jakbym się spóźnił, do koni kogo na moje miejsce poślijcie!

— Daj ci Boże szczęśliwie! — pożegnali.

Zatrzymał się w progu i do Rozalki zwrócił.

— Skrzypki moje z budy zabierzcie, jakby deszcz padał.

Zabiorę wracając do domu.

Chłopak zniknął, a oni siedzieli jeszcze chwilę smutni i zgnębieni.

— Masz ta, co do schowania u siebie? — zagadnął Wawer Rufina.

— Rozalka zabrała już.

— Oddajcie mnie lepiej — zwrócił się do dziewczyny.

— Nie trzeba. Mnie to już nie pierwszyna.

Wyjrzała oknem, a pod chustkę ukrywszy zwitek niewielki, skinęła głową kalece i wyszła.

Poskoczył za nią Wawer.

— Jakem o Szwedasie usłyszał, tom się o was przeraził okrutnie. Uchowaj Boże na was co złego! — mówił, towarzysząc jej wytrwale.

— To i co? — odparła z jakąś niebywałą u niej goryczą. — Mnie i tak życie niemiłe! A najgorszy strach i zgryzota, skoro mnie oszczędzą!

— Nic was nie rozumiem!

— Bo nie wiecie tego, co ja wiem i krew w was tak, jak moja, z rozpaczy nie zamiera!

— Co wam takiego? Przecie wam Szwedas ojcem nie był, przecie nie przepadnie z nim wszystko! Osobliwa z was dziewczyna! Kochać wam i bawić się, a nie o spiskach rozmyślać.

— Do kochania i zabawy dosyć jest bezemnie. Nikomu ja nie potrzebna, bom ni wesoła, ni miła.

— Dalibyście pokój. Zgryzła was ta awantura. Ot jeszcze wszystko się uspokoi. Będzie jak było.

— Nie będzie już! — westchnęła żałośnie.

— A mnie z pomocą macie. Co schować macie, oddajcie. Nie dam wam samej po nocy się błąkać. Teraz może śledzą, a na mnie nikt posądzenia nie poweźmie, bom zwykł włóczyć się o wszelkiej porze.

Weszli do chaty Rozalki. Nie zapalając światła, zakrzątała się, on stał w progu.

— Chcecie znowu iść? — zawołał, gdy znowu stanęła przed nim.

— Pójdę!

— Nie! Zostaniecie! — rzekł stanowczo. Pójdę ja sam, a wy spoczniecie. Dajcie, co macie!

Przemocą wziął z jej rąk zawiniątko.

— I skrzypki tego błazna do chaty zabiorę, a to tak schowam, że i pies węchem nie znajdzie. Bądźcie spokojni i dobrej myśli.

— Dziękuję wam za usługę.

— Krysztofa nie ma?

— Nie ma! — odparła, jakby przerażona oglądając się w koło.

— Co macie sama tu siedzieć, chodźcie do nas. Ojciec ta chory leży, ale przy Maryjce raźniej wam będzie.

— Dziękuję! Zwykłam sama być. Wyście bardzo dobry!

— Ot osobliwość. Żebyście wiedzieli, jakem o was niespokojny tutaj z domu biegł! bardzo mi was szkoda, Rozalko!

Dziewczyna nic nie odrzekła i odeszła w głąb izby. Myślał, że ją rozgniewał, więc tylko dobranoc rzekł i odszedł, nie chcąc jej drażnić.

Gdy wrócił do chaty, rozprawiano jeszcze o Szwedasie. Istotnie sprawa jego była ciężką. Trzeci raz powtarzało się to samo. Za pierwszym razem opłacił karę, za drugim odsiedział w więzieniu, teraz go zeszlą niechybnie. Wieś poruszona była, zgrozą przejęta, przeklinano duszę i życie zdrajcy. Bo zdrajca był w tej sprawie, ale kto?

Stary Jan już nie stękał, ale z okiem w sufit utkwionem rozmyślał, nic nie mówiąc. Rozjaśniły mu się oczy na widok Wawra, obrócił się z trudem i rękę jego ująwszy z cicha rzekł:

— Synku, jakeś mi odjazd swój oznajmił, pomyślałem, że dziecko ojcu nie potrafi gorszej troski uczynić, jako ty mnie uczynił. A oto teraz myślę, żem cię skrzywdził. Bo jako boleć musi ten ojciec, którego syna do zdrady szatan skusił. Jako on boleć musi! O Jezu!

— Tatusiu miły, nie karzcie mnie taką mową!

— Nie, synku nie! Już ci się opierać nie będę, kiedy ci co innego sądzono, zatrzymywać nie ośmielę się! Mój to ból próżny jest i niesłuszny naprzeciw tamtego. Nauczył mnie Bóg....

Mało co spano owej nocy po wszystkich zagrodach. Rankiem, niewiadomo skąd, słuch się rozszedł po wsi — jeszcze nieśmiały, niewyraźny szept:

— Jodas wydał Szwedasa!

Skoro do Didelisów to doszło, zakipiało jak w garnku. Maryjka z początku jakby skamieniała, potem z jękiem, krzykiem, łkaniem poleciała do Rozalki.

Wawer iść nie śmiał, siedział zgarbiony, milczący, ze wzrokiem wlepionym w ziemię.

— Może ty być? — spytał Jan odurzony, siadając na łóżku i po synach spoglądając.

Nikt nie potwierdził.

— Jak żmija plotka pełza i niewinnego kąsa! — rzekł Piotr.

— Pójdę do Szwedasów prawdy się dopytać! — dodał Andrzej.

— Tyś ludzi siła znał, Wawer! Może to być? — stary uparcie badał.

— Nie powiem ojcze, aż palca w ranę nie włożę! Ze wszystkich to zbrodni najcięższa!

Andrzej powrócił ponury był i z wieścią się nie kwapił.

— Prawdali to co mówią? — Jan pytał.

— Prawda! Juzas właśnie przyszedł z miasteczka. Widział na śledztwie przy spisywaniu protokółu Krysztofa między policyą. On doniesienie zrobił.

— Tedy mu hańba po ostatnią jego godzinę i hańba temu, co go Imieniem Bożem pozdrowi! — zawołał stary dzikim głosem opadając wyczerpany na posłanie.

Wawra dreszcz wstrząsnął. Uciekł z chaty od tych słów okropnych, od klątw, które bracia ciskali.... Ale we wsi mały, duży to samo miał na ustach, a w oczach nieubłaganą, cichą, żmujdzką zawziętość.

Nie podnosił nikt głosu, ale w szmerach były dzikie zgrzyty, szepty dyszały wściekłością.

U Szwedasów było zbiegowisko na podwórzu, tłok w chacie.

Juzas schrypnięty, trzęsący się od złości i zapamiętania opowiadał przebieg katastrofy i śledztwa, Jurgis płakał jak dziecko.

— Niedoczekanie jego po naszej ziemi chodzić i z niej chleb jeść! Nie doczekanie jego do kościoła wstąpić i słowo od człowieka posły-

szeć! Niech się udławi tymi pieniądzmi, co mu dadzą, niech się na nieświęconym cmentarzu obwiesi, gdzie cholerników i samobójców grzebią! — pomstował okrutnie Juzas.

— Nie ośmieli się on tutaj powrócić! — mówili wszyscy.

— I tatusio nie wróci! — wzdychał Jurgis. — Jutro go jak złodzieja czy zbója do Kowna powiodą.

Wawer i stamtąd uciekł i mimowoli do Rufina swe kroki skierował, co ten mu powie.

Kalęka przy stole swym roboczym siedział, figurkę świętą rzeźbiąc. Był blady jak papier, trzęsły mu się wargi, a na chude ręce pracą zajęte padały z oczu rzadkie, wielkie krople — jak perły. A on ich nie ocierał, ani się wstydził, ani chował, choć skrzyp drzwi usłyszał i gościa poznał.

— Rufin!.... spodziewałeś się ty łajdactwa takiego? — wybuchnął Wawer stając przed nim.

Rzeźbiarz roboty zaprzestał i ręce swoim zwyczajem wyciągając na stole, złożył na nich głowę znękaną.

— Można w co wierzyć na świecie, co czynić, co kochać! — Karewis wzburzony, dalej mówił. — Kiedy ludzie jak psy się gryzą, jak

niewolniki zdradzają. A gdzież to ziemi umiłowanie, gdzie ta wiara! coś ty kiedyś tak sławił. Ten na obczyźnie nie był, ta chata go zhodowała, ta ziemia wykarmiła — a taki on! Mnieście wytykali palcami, sądziliście, nazywaliście odstępcą, Niemcem! Któż on — ten wasz chłop — ten wasz brat?

— On jest mordercą i zginie! — powoli, uroczyście przemówił Rufin.

Łzy mu zaschły, głos stwardniał.

— Jego jak kąkol wyrwą i spalą innym na przykład. I tylko ja jeden po nim zapłaczę, i ta matka ziemia we wnętrznościach swoich ból poczuje po synu zgubionym, po sile zmarnowanej, po nadziei zagasłej.... Tak on przepadnie marny i przeklęty, tak on zgnije oplwany — a zgubi go właśnie ta moc, którą pogardził, to kochanie i wiara, których się odprzysiągł. W bojowaniu one i w łzach trwają i trwać będą, ale nie daj nikomu z nas Boże bojowania tego być kwasem, łez tych być przyczyną. Takim on jest ten zdrajca!

— A wiesz, dlaczego on zdradził? Dlatego, że Szwedas mu dziewczyny odmówił.

— Dlatego, że Bóg tak dopuścił! — Rufin poprawił poważnie. — Wszelakiemi — On wielki — ohydami świat ten obsiał, gryzące

pyły rozrzucił, kolące osty po ścieżkach zostawił, zjadliwe gady pod głazami ukrył, gorzkimi smaki napoje zaprawił. A wszystko — On dobry — tak zrobił, byśmy nieba żądając, do Niego wciąż tęsknili, wśród ziemskich nędz i bólów, zawsze hen w górę nagrody i wypoczynku wyglądali. Taki — On mądry jest!.. A ten zdrajca o tem zapomniał — przeto ja płaczę po nim — bo z biednych, z nędznych — on najbiedniejszy, najnędzniejszy.

— Rufin,tyś chyba święty, że ty ta wszystko inaczej jak ludzie widzisz. Ty chyba z Bogiem rozmawiasz!

— Nie święty ja i nie inaczej widzę. Tylkom sam zawsze! Z kimże rozmawiać mam,jak nie z Bogiem, co mi sierocie jeden pozostał — za wszystko, czem wy się cieszycie!

Wawer nie śmiał więcej się odezwać, szacunkiem i czcią zdjęty, a kaleka znowu do roboty się wziął i już zwykłym tonem spytał:

— Widziałeś po tem Rozalkę?

— Nie, nie godzi się jej widokiem obcego smutku powiększać!

— Słusznie uczyniłeś. Ranne zwierzę i człowiek nieszczęśliwy jednaką naturę mają. W jamę czarną, w pustkę daleką — skryć się i cierpieć!

— On tu nie wróci chyba?

— Nie poważy się, myślę.

— A jakby się poważył?

— Uchowaj go Boże od takiej doli!

— Ludzie zapomną, lękać go się będą zresztą.

— To naszych ludzi nie znasz. I nie zapominają oni i raz zrażeni, nie znają co lęk.

— Zdradził kogo więcej?

— Nie!

— Wrócił Marcinek?

— Wrócił! Już o tej porze z końca w koniec kraju wiedzą, że w łańcuchu jedno ogniwo pękło, stalowe, hartowne ogniem i wodą i z nami wszyscy biadają.

Zagawędzili się długo i zmierzch był, gdy Wawer niespokojny o ojca do domu z powrotem ruszył. We wsi było cicho. Nie odzywały się jak co wieczór skrzypki u Butkisa, a po ogrodach śpiewy i śmiechy. Jakby żałobę włożyli wszyscy, tak głucho było i niemo!....

Skręcając na gościniec, Wawer zmorę ujrzał i o krok się cofnąwszy przeżegnał.

Zdało mu się, że przed nim przeszedł Krysztof. Szaro było, więc oczom nie wierzył, ale i przekonać się nie śmiał zdjęty wstrętem i zgrozą. Onże to był? niepodobna,

Przywidziało mu się coś, bo głowę miał Jodasem nabitą. Mógł urlopnik jaki czapkę żołnierską włożyć, innej pod ręką nie mając, mogło wielu parobków mieć wzrost Krysztofa i jego chód ciężki, spracowanego wyrobnika. On się wrócić nie poważy, tak prędko przynajmniej.

IX.

Skurczona jak zwierz ranny, jak robak zdeptany, Rozalka siedziała na ławie przy piecu w najciemniejszym kącie. Cały dzień nic nie miała w ustach, nie tknęła roboty, teraz nie zapalała światła, nie myślała o spoczynku. Już jej łez zabrakło, siły do łkania nie stało, już nawet jej rozpacz stępiała, już ją i czucie odbiegło. Oprócz Maryjki nikt u niej nie był, nikt nie klął i nie złorzeczył, ale ona rozumiała tę niebywałą ciszę wsi, ona wiedziała, co za głos wielki, duszny ta cisza kryła. Ona znała naturę swego ludu!.... Ta cisza wyklinała ją ze społeczności, jej chatę ze wsi, ta cisza wyrokiem była nieubłaganym, mściwym, zapamiętałym.

I oto nagle drzwi od sieni skrzypnęły. Może to Wawer idzie, któremu kiedyś niewią-

rę zarzuciła?.. Przyjdzie i on mściwy i spyta, jakiej wiary dochował ten jej brat rodzony, zdrajca? Rozwarły się drzwi od izby. Nie odzywała się i nie ruszała. Ktoś potarł zapałkę, zatlił kaganek i nagle ujrzała Rozalka.... Krysztofa.

On sam, w swej czapce żołnierskiej i w mundurze, który na odpust był włożył, ponury, trochę zgarbiony, patrząc jak wilk z podełba.

Zobaczył ją, nim oprzytomniała, nim zdołała krzyknąć.

— To jesteś! — burknął. — Cóż siedzisz i oczy wyłupiasz? Prędzej, jeść mi daj i wódki przynieś!

Ona się nie ruszała. Zgarnięta na ławce, zczerniała przez ten jeden dzień, patrzała nieruchomie, coraz dziczej na niego. Rozdymały się jej nozdrza, krwią nabiegały skronie. Jego też rozdrażniało jej wymowne milczenie, oburzał opór widoczny. Podszedł, pięści składając.

— Ruszysz się, czy nie? Słyszałaś! jeść chcę i wódki! Zaraz!

Ona powstała wreszcie, cała się trzęsąc ze zgrozy.

— Czegoś tu? — zawołała. — Chatę tę dla uczciwych ludzi stawiali, a nie dla łotrów i zaprzedajników! precz idź, skądeś przyszedł! Chleba dla ciebie nie ma tutaj! Precz idź!

A w tem Krysztof pięści podniósł na nią i bić począł, drugą ręką za włosy uchwyciwszy. Spadały na nią razy i sołdackie przekleństwa, po izbie ją włóczył za warkocze, nogami kopał sam tak zajadły i rozjuszony, że pianę miał na ustach, krew w oczach.

Dziewczyna nie wydała głosu z siebie. Zrazu broniła się, zasłaniając rękami, szamocąc się, potem straciła siły i przytomność, osunęła się na ziemię. Byłby ją zabił chyba, bo leżącą i omdlałą jeszcze bił, szarpiąc jej odzież, wydzierając włosy, a ona już mocy zaciętości nie mając tylko jęczała żałośnie, ledwie dysząc półmartwa.

W tej chwili Krysztof poczuł, że go ktoś za kark chwycił, oderwał od ofiary.

— Ty zbóju! sołdacie! — chrypliwy od wściekłości rozległ się głos Wawra. — Puść jej włosy, bo cię zduszę jak robaka! Ty jakie prawo masz, słabą kobietę katować?... Precz stąd.

— Precz ty sam! Zabiję ją skoro mi się podoba! Tobie co do mnie? Ona mnie słu-

chać musi, a nie chce, to za każdym razem tak jej będzie! A szelma! Będzie mi ona fochy stroić! Ubiję w śmierć i za płot wyrzucę, jak psa! Ty idź, pókiś cały!

Wawer go puścił z żelaznego uścisku, do kubła z wodą skoczył i w dłonie naczerpnąwszy na dziewczynę wylał. Już i jęczeć przestała. Leżała bez ruchu, z krwią na ustach, w podartej koszuli, przykryta gęstwiną potarganych włosów.

Wawer ją na ręce wziął, położył na posłaniu i na Krysztofa już nie zważając, jął cucić, jak umiał, pryskając wodą, trąc ręce.

Jodas na ławie się wyciągnął, kląć nie przestając. Odgrażał się całemu światu. Pijany był i rozwścieczony. Nareszcie Rozalka rozwarła oczy, powiodła niemi w około. Niejasno jej było przez chwilę w umyśle, ale wnet pamięć wróciła, i ból, i żal i oburzenie. Spojrzała na Wawra z bezmierną wdzięcznością i rozpaczą zarazem, potem na Krysztofa miotającego się jak potępieniec. Wstała z trudnością.

— Odeszła was słabość? — Wawer troskliwie spytał.

— Odeszła! Bóg wam zapłać!

— Nie zdechłaś? — Krysztof wrzasnął. — Dostałaś naukę, żebyś przedemną gęby nie otwierała, tylko słuchała rozkazów! Ja cię nauczę rygoru niecnoto! Ja cię tak ścisnę w łapie, że cienia mego bać się będziesz! Nie będziesz włóczyć się po nocach i ze złodziejami władzy się opierać! Skończone Szwedasa panowanie i twoja wola.... Teraz moja będzie w chacie.... i w całej wsi.... ja pan!... Nu podziękuj swemu gachowi, że cię obronił, a potem jeść mi daj, rozbierz i posłanie dobrze wyściel. Ja teraz pan i wszyscy niech mnie słuchają, bo jak nie, to za Szwedasem pójdą... Słyszysz, Wawer, powiedz im to!

Rozalka, słaniając się na nogach, podeszła do swego kuferka, otworzyła go, zebrała garść bielizny i odzienia, zawinęła to w płachtę, narzuciła chustkę na siebie, skierowała się do drzwi.

Krysztof zerwał się na nogi, przyskoczył do niej.

— Gdzie to? Nie pójdziesz nigdzie!

Za ramię ją chciał porwać, ale szeroka pierś Wawra stanęła między niemi.

— Nie rusz! — rzekł krótko, ale takim głosem, że mroził krew w żyłach.

Rozalka za tą twierdą żywą mogła się odezwać.

— Pójdę do ludzi! — rzekła, — tutaj teraz nie moja chata, gdzie mnie katują jak zwierzę, tutaj teraz i nie mego brata chata, ale zdrajcy i nikczemnika. Tutaj już ja więcej nie wrócę, gdziem przez jeden dzień wszystkie wstydy i bole poznała, gdziem się sromoty i gwałtu doczekała.... Niech cię te ściany ojcowskie przeklną, niech ciebie to, co zostawiam ci — udławi, boś nawet dobrej śmierci nie wart — ty zdrajco!

Ze zdławionym rykiem Judas rzucił się ku niej, ale na miejscu go przykuły ramiona Wawra. Poczęli się szamotać.

— Puść! — zachrapał wreszcie Krysztof.

Wawer odstąpił.

— Puszczę cię! — rzekł — ale nim odejdę, to ci ostatnie słowo rzeknę, jakie od ludzi tutaj posłyszysz. Życzliwe słowo, więc je zapamiętaj.... Nie pan wróciłeś do wsi, ale przeklęty. Więc ci teraz nie szaleć i ciężkie grzechy na sumienie brać, ale precz stąd iść trzeba, za góry i lasy, za lądy i wody — jako Kain szedł. Jeśli Bóg wszystek twój pot i łzy i krew zechce na zrównanie winy przyjąć, to je daj, bo jakoś Kain winien, jako bratobój-

ca i Judasz grzeszny. Jeśli się opamiętasz i słowa mego usłuchasz, ja ci dopomódz gotowem! Pamiętaj!

Zawrócił się i nie żegnając go wyszedł.

Rozalka słyszała go z sieni i nagle poczuł jej usta na swojej ręce i szept stłumiony:

— O jakiście dobry, Wawer!

Zawstydził się tego pocałunku.

— Co tam! — rzekł. — Bardzo was zbił i skrzywdził?

— Dusza gorzej boli. Bóg was w porę sprowadził.

— Wracałem od Rufina. Mignęło mi coś.. Krysztof nie Krysztof. Nie wierzyłem oczom, chciałem się przekonać, więc po namyśle pod okno do was podszedłem. Jeszcze w porę dał Bóg! Uśmierciłby was! Do nas zawiodę was. Tam już będzie bezpiecznie.

— Dziękuję, jutro do dworu pójdę! Dawno już mnie na służbę namawiają. Robotę przed odpustem odniosłam, jakbym przeczuwała. Nic-ta już w chacie swego nie mam, ino hańbę, co za mną w ślad pójdzie....

Zapłakała gorzko, a on się do niej przysunął i ot tak, sam sobie z czynu sprawy nie zdając, żalem zdjęty i czułością, ramieniem ją w pół ogarnął.

— Kwiatuszku mój biedny! — wyszeptał, tuląc ją do siebie.

Wstrząsały ją łkania i nie opierała się wcale pieszczocie. Tak nieszczęśliwą się czuła i tak samotną.

— Było mi po co wracać do chaty i jego niegodziwca prosić, by też ostał! — żaliła się. — Myślałam, że on tu złagodnieje, ustatkuje się, jako ojciec będzie! A on taki się stał. Szwedasów dobrych żałobą okrył, wstyd i hańbę i zgubę nam zgotował!

— Nie płacz Rozalko, tyś niewinna. Ciebie każdy uszanuje i pożałuje. Nie zobaczysz go więcej! Pocieszy cię Bóg za to dobrą dolą! Nie płacz nieboga!

Wawer coraz bliżej do siebie ją tulił i wreszcie tak się pochylił, że ustami jej czoła dotknął.

Ona zajęta swą troską jedynie, dała się całować, a w nim krew poczynała grać i serce bić gwałtownie.

Już pod płotem Didelisów sadu byli, gdy on ją w objęcia wziął i ogniście uścisnął, całując po twarzy i ustach. Wtedy się opamiętała i przestraszyła okropnie.

— Wawer! — poczęła błagać — nie godzi się, puśćcie! swoją macie dziewczynę! Popełniacie grzech!

— Co zrobię, kiedym was umiłował i powstrzymać się nie mogę, tak mi do was serce woła! Pójdźcie za mną, a tamtą porzucę. Przysięgam!

— Nie grzeszcie! Opamiętanie miejcie! Nie żonam ja dla takiego pana, ino chłopka głupia! Nie mogę pójść za wami! Zostawcie!

— Byś mnie choć krzynę lubiła, poszłabyś, ino ci inszy snać miły!

— Bym was nad życie umiłowała, nad ziemię swoją i niebo.... nie potrafię. Zostawcie mnie! Ludzie zobaczą i dobrą sławę mi odbiorą. A toć nadto, ja biedna, nic nie mam!

Wówczas on się zawstydził i upokorzony odstąpił, a ona, jakby z przeproszeniem, spojrzała nań i przodem do chaty weszła. On pozostał chwilę, by swe wzburzenie opanować. Wrzała mu w piersi do tej dziewczyny ochota, ino na myśl nie przyszło zostać tu dla niej. Zabrałby ją z sobą, przemocą wiódł, ale zostać, los świetny zagrzebać, nie, tego nie zrobi!

Gdy wrócił do chaty, już się opamiętał, pilnował swych oczu i mowy, spokojnie u zapłakanej Marynki o wieczerzę się upomniał.

Stary już się zwlókł na ławę i Rozalkę koło siebie trzymając, gładził ją jak własne dziecko po głowie.

— I dziewczynę biedną nakarmcie — rzekł. — Niech choć z musu je, bo siłę całkiem straci! Wy, kobiety nie rozżalajcie jej waszym płaczem. Niech moc zbierze, niech się uspokoi.

Marynka podała na stół jednę miskę dymiącą i parę łyżek.

— Siadajcie i pożywajcie! — wezwała szwagra i siostrę.

Stołem przedzieleni, wieczerzali wspólnie, czerpiąc razem kapustę z misy i dzieląc się kromką chleba. Jan umyślnie rozmowę o czem innem wszczął i po chwili spokój pozorny powrócił. Potem Rozalkę w gościnnej izbie ułożono do snu i cisza zaległa chatę. Tylko Wawer w swym alkierzu długo usnąć nie mógł, rozdrażniony, niespokojny, z głową pełną dzikich projektów....

Nazajutrz po śniadaniu Rozalka mimo próśb i protestów, mimo perswazyi mężczyzn i płaczu kobiet, zabrała się do dworu. Ucałowała ręce starego, uściskała siostrę i chciała już iść, gdy Wawer wstał i na progu ją zatrzymał.

— Nie będzie tak! — rzekł — nie pójdziecie jak żebraczka piechotą, ale pojedziecie wozem, jak gopodarska córka i siostra. Piotr zabrał do pługa bratnie konie, ale w stajence stoją kobyły dereszowate, com ojcu na gospodarkę kupił. Odwiózłbym was sam, ale ludzie gotowi plotkę jaką krzywdzącą zbajać, więc Andrzej was odstawi porządnie, aż pod bramę dworską, tak będzie ładnie i stosownie.

Rozalka spojrzała nań wdzięcznie, a Andrzej nawykły słuchać jak ojca tego brata bogacza, już drabiak wyścielał kilimkiem.

Tak tedy pojechała Rozalka sierota, wysoko na wozie, parą spasłych, żmujdzkich mierzynów, przeprowadzona aż za wrota przez całą rodzinę, pobłogosławiona przez Jana.

Drabiak podskakiwał, a klacze Wawrowe parskały radośnie, ona się długo oglądała za siebie i aż do zawrotu u figury widziała jeszcze jak Wawer przed furtką stał i za nią patrzał rozkochanemi oczami, a wiatr mu z odkrytej głowy włos rozwiewał, który mu przez to lato odrósł, jak go chłopi noszą. Jak jej tego chłopaka zawrót skrył, zrobiło się jej tak nudno i ciężko, jakby rodzonego pogrzebała i płakała z cicha całą drogę, szwagra rozmowy nie słysząc.

Po godzinie wrócił Andrzej i opowiedział, że dziewczynę państwo radośnie przyjęli do garderoby za pokojówkę do panienek, że jej tam dobrze będzie i spokojnie. Ucieszyli się wszyscy, tylko Wawer dziwnie markotny i milczący, klacze swoje do żłobu zaprowadził, a potem siedział jak senny, ni roboty, ni zwykłych figlów z dziećmi się nie imając. Rozchmurzył się dopiero, gdy Jan stary o przeprowadzce do nowej zagrody zaczął mówić, przedmiotem tym zajęty, radością jaśniejący.

Gotowa była już ta chata jego ulubieńca i chluby, jutro ją poświęcić miano. Wawer już się z panem porozumiał i Marcinka od służby uwolnił, przy ojcu starym na gospodarce chcąc osadzić.

Już też w gminie się rozpisał, swojej części zagona na braci się zrzekając, już i sprzęty wszelakie kupił i narzędzia rolne i krowę z półrocznym cielakiem i świń kilkoro i owiec dziesięć.

Było wszelkie dostatki i sprzężaj, a nad drzwiami Rufin figurkę wyrzeźbił, podobiznę Chrystusową na krzyżu.

Mówiono tedy o tej przeprowadzce na pojutrze, i o siewie jeszcze nieskończonym, i o paszy dla bydlaków na zimę.

Wtem ktoś drzwi z hałasem otworzył i raptem rozmowy ucichły, w izbie jakby makiem siał.

Był to Krysztof.

— Po dziewczynę przyszedłem! — burknął bez powitania.

Nikt się nie odezwał i na niego nie spojrzał, tylko Jan stary z obowiązku krótko, niechętnie zamruczał:

— We dworze, na służbie ona jest!

— Sprowadzę ją prędko kijem. U Wawra też pieniądze mam należne za robotę..

— Ile? — Wawer spytał.

— Trzy ruble!

W milczeniu Wawer pieniądze z pugilaresu dobył, na stole przed nim położył.

Krysztof je zgarnął, spojrzał po nich, jakby czekał wyrzutów i łajania, chciał się kłócić, ale nikt się nie odezwał i nawet Marynka gwałtowna, choć chęć miała po temu okrótną, nie pisnęła słowa pod surowym wzrokiem męża i teścia zostając.

— Zostańcie zdrowi! — Jodas pożegnał wychodząc.

Nikt mu „z Bogiem" nie odpowiedział, jako zwykle.

Zaczynała się dla niego ta dola okrutna, którą Rufin prorokował, nie posłyszał on głosu człowieka.

Krewni, znajomi, kobiety, dzieci małe — wszyscy, jakby się sprzysięgli — spotykali go, mijali, jakby nie istniał, bez słowa, bez powitania, bez Bożego pozdrowienia.

Gdy się do kogo odezwał, odbierał odpowiedź lakoniczną, gdy na kogo spojrzał, spotykał wzrok zimny i ponury.

Dziatwa, z daleka go ujrzawszy, witała ze zgrozą:

— Jodas zdrajca....

Kobiety odwracały głowy.

Dzień cały tułał się po wsi zuchwały, wyzywający, szukając zaczepki — wieczorem przywlókł się do pustej chaty i wziąwszy siekierę, warsztat Rozalki w sztuki porąbał, a kotka jej białego nogą kopnął i za drzwi wyrzucił.

Izba była niewymieciona, piec zimny, chłód i ciemność wyzierała z kątów. Nie stało bez dziewczyny duszy w chacie.

Krysztof długo usiedzieć nie zdołał. Coś go kąsało w duszy.

Poszedł do Butkisa i między gospodarzami usiadłszy, wódki zażądał.

— Nie ma wódki! — szynkarz odparł. — Miał po nią Szwedas jechać, ano!... teraz nie mam podwody!

— Będzie teraz wasz Szwedas kajdany nosić i do zdechnięcia piechotą chodzić! — zuchwale Jodas krzyknął.

Nikt mu nie zaprzeczył, ani potwierdził. Grobowe milczenie zaległo szynkownię, poczęli po jednemu chłopi wychodzić, prędko alus i fajkę kończąc.

On sam wreszcie został, bo i Butkis do alkierza się wysunął.

Posiedział czas jakiś i wyszedł rozstrojony jakby przelękły, straciwszy w obec tego martwego milczenia cały swój rezon i równowagę.

Nazajutrz do dworu po Rozalkę poszedł, ale dziewczyny nigdzie nie spotkał, więc się do pana zameldował. Wprowadzono go do kancelaryi, gdzie pan nad jakiemś pisaniem siedział, i nie jak znajomego, ale jak obcego obojętnie spytał.

— Potrzebujesz czego?

— Po siostrę przyszedłem, która wczoraj uciekła z chaty. Nie pozwalam jej służyć i chcę zabrać. ..

— O Rozalce mówisz? Chora ona, doktor był właśnie i stwierdził ciężkie pobicie. Nie

wiesz, kto to zrobił? Bo obowiązkiem moim jest, sprawę tę w sądzie zajawić..... W każdym razie teraz jej zabrać nie możesz, bo leży ciężko słaba.

Krysztof się zmięszał w obec spokoju pana i chłodnej stanowczości.

Coś zamruczał i wyszedł, coraz bardziej wylękły. Chatę kołkiem podparł i nazajutrz już go we wsi nie było.... Poszedł szukać roboty po dworach okolicznych.

X.

Nad zagrodą Wawrową dym się pierwszy wzbił siwą smugą, prosto mknąc ku pogodnemu niebu.

Zdaleka widział go Rufin Diwodirbis, powoli, na kulach dążący w tę stronę.

Ciężki to był kurs dla niego i ważny bardzo interes widocznie miał, gdy się na taką mękę odważył.

Kapliczkę swoją odwiedził, przy krynicy chwilę postał i dalej się wlókł z czołem potem oblanem. Świeżo odbita droga wiodła do folwarczku. Ogrodzony już był i okopany, z porządną bramą, co strzegła podwórza i miejsca, gdzie sad miał być kiedyś.

Na podwórzu pusto było, tylko pod chatą w słońcu kotek biało się wygrzewał. Rozalki kotek, którego Wawer głodnego i zdziczałego pojmał i przyhołubił. Rufin do domku wszedł i pozdrowił starego Jana, który po stancyi bialutkiej się krzątał, wesoły i uśmiechnięty, jakby o dziesięć lat odmłodniał.

— Rufin! A to się mój chłopak gościem ucieszy! Siadajcie, proszę!

— Daj wam Boże szczęście w tej chacie!

— Bóg wam zapłać za dobre słowo. Byle Wawer tu ostał, szczęście by było.

— Jakże! Nie zostanie?

— Nie! Ledwiem go do pojutrza uprosił. Już się też nie godzi więcej dokuczać i wstrzymywać! Wola snać taka Boża. Czy ja wiem. Mnie mimo wszystko coś szepce, że nie darmom się modlił. Może Bóg jaki cud sprawi... Gospodarze wczoraj się do niego hurmem zeszli i prosili, by za nich z panem pogadał wedle tej dzierżawy gruntów dworskich. On to im tę myśl rzucił i o niczem teraz innem nie marzą.

Bez niego tu nikt nie uczyni, bo i z panem umowę trzeba zrobić, i grunta podzielić i pieniędzy na każdego wyliczyć i zebrać na termin, a przytem moc rachunków trzymać. Jego tylko głowa to obejmie. Prosili go jak dobro-

dzieja, młodsi krzyczeli, że go siłą od siebie nie puszczą.

— Cóż on? — Rufin ciekawie spytał.

— Znać było, że mu odmowa ciężko szła, że się sam przywiązał, że nie odszedłby bez musu. Ano? mus powiada, jest konieczność. Tak mu w końcu aż łzy w oczach stanęły, jak mu stali dziękować i dobrze życzyć, i żałować. Ano mus jest!

Zwiesił stary głowę i zasępił się ciężko.

— Gdzie on teraz? — Rufin spytał.

— Żyto sieje!

— Sam?

— A sam. Zacząłem ja rano, a on wnet pojął i powiada: dajcie mnie ojcze dokończyć. Jak to zbierać będziecie za rok, pomyślcie o mnie, żem wam zasiał ten chleb pierwszy! Jakbym ja kiedy o nim nie myślał!

— Pójdę do niego, bo interes mam!

— Poczekajcie, zawołam!

— Nie, nie! Pójdę sam zobaczyć go przy robocie!

Poszli tedy razem. Nieopodal czerstwe już zagony wyciągały się symetrycznie — na pierwszym z brzegu worek z ziarnem bielał, a opodal Marcinek pogwizdując, świeży zasiew broną powłóczył.

Siewacz do nich bruzdą szedł, szerokim rzutem zboża garście przed siebie ciskając, zapatrzony w ten deszcz ziarn dorodnych, rozsypujących się z szelestem.

— Podiek Diewo! (pomagaj Boże!) — Rufin do niego zawołał.

— Ir jums! (i wam) — odparł podnosząc głowę.

Rozjaśniły mu się oczy i twarz cała na widok rzeźbiarza.

— Godziło się tobie tak męczyć? Trza było rzec słowo, a przyjechałbym po ciebie. Tak daleko szedłeś biedaku.

— Niedawno z miasteczka przyjechałem i wprost idę!

— A prawda, zachodziłem wczoraj do ciebie i chatę zapartą znalazłem. Toś w miasteczku był?

— Szwedasa w więzieniu odwiedzałem.

— Puścili cię?

— Puścili, bo go jutro do Kowna przeprowadzą, skąd nie wróci, więc pozwolili mu się ze swemi pożegnać. Synowie byli i wnuki mu przynieśli, by pożegnał — byłem i ja.

— Cóż on?

— Jako zawsze spokojny. Do ciebie prośbę ma.

— Do mnie — on?

— Nie wielką prośbę. Chciałby cię przed odejściem zobaczyć.

— To jedź synku! — stary Jan zawołał.

— Jedź! ino rychło! — Rufin dodał na niebo spoglądając. Konno w godzinę zjeździsz i jeszcze na czas trafisz.

— Com ja mu? Ledwie znajomy!

— To co? — Jan się odezwał. — Dość, że cię woła, to nie myśleć i zastanawiać się, ale słuchać trzeba!

— Tak i zrobię. Tylko że nijakiego interesu Szwedas do mnie mieć nie może.

Odpasał fartuch z nasieniem, włożył surdut, pasącą się opodal klacz złapał i do dworku powiódł.

Wracający wolno ojciec z Rufinem widzieli, jak w mig siodło na nią zarzucił, zakiełznał, wsiadł i za wrota kłusem ruszył.

Słońce stało wysoko, a on klaczy nie żałował, w godzinę był w miasteczku, zajechał do karczmy, dereszowatej dopatrzył, rozkulbaczył i w stronę więzienia poszedł.

Już późno było, więc go puścić się wzdragali, ale stróżowi w garść datek wcisnął i niechęć przemógł.

Zaprowadzono go w korytarz, dawnego klasztoru zabytek, otworzono jednę z cel, nad którą jeszcze z pod glinki werset nabożny, łaciński wyzierał.

— Prędko się sprawcie, bo za pół godziny przyjdę was zabrać - - rzekł stróż wpuszczając go do środka i napowrót drzwi ryglując.

Z pod czystego nieba w mrok izdebki przeniesiony Wawer, nic nie widział i stał w miejscu.

Oczy więźnia do ciemności tej już nawykłe poznały go, nim się odezwał.

— Nie spodziewałem się ciebie już zobaczyć, Karewis młody! — rozległ się poważny głos Szwedasa.

— Jakże!.... Skorom waszą wolę posłyszał, minuty nie zwlekałem.

— Myślałem, że już cię nie ma między swemi....

— Pojutrze odjeżdżam!

— A ja jutro odejdę. Ale ty młody i wrócić możesz, a ja stary — i już nie wrócę. Taka między nami różnica. I ty z dobrej woli odchodzisz, boś młody, ja z musu, bom stary!...

— Nie rozumiem was!

— Tak mówię. I jaskółka na naszej ziemi żyje i zając i wół roboczy i kret. Ale ja-

skółka co jesieni odlata, a zając żerowiska zmienia i dziesiątki mil obleci. Wół zaś roboczy od bruzdy o krok nie zejdzie, a kret z ziemi wydobyty zamiera! Młody jako jaskółka jest lotny, jako zając lekkonogi — ino końcami skrzydeł, ino końcami stóp dotykają ziemi. A stary, jako wół roboczy nad bruzdą wiek zbył, jak kret w ziemi się zakopał. Rozumiesz mnie teraz?

— Rozumiem!

Szwedas zbliżył się do niego.

Oczy Wawra wdrożyły się do ciemności i widział już wyraźnie postać starego szkaplernika, chudą i kościstą. Zgięło ją i wyniszczyło więzienie, tylko oczy zostały te same żywe, bystre o przejmującem, surowem wejrzeniu.

— Karewis!... — rzekł po przerwie. — Mało mi chwil zostało do mówienia, a wiele rzeczy.... Zali to prawda, że ty odjeżdżasz tej ziemi swojej? Czy to prawda, żeś ty jaskółka, co przed złą porą gniazdo rzuca, zając, co tam żyje, gdzie żer znajdzie? Karewis się przecie nazywasz, a to żołnierz znaczy! Żołnierz ty najemnik zatem, nie taki, jaki ów pierwszy wasz ojciec był, co to nazwę wielką dostał — na własnej ziemi!

Jakże to się stać może, byś odjeżdżał?... Widziałem, jakeś w ogniu stał, więc nie tchórz jesteś, widziałem, jakeś Rufinowi przyjazny, więc dobrego brata masz, widziałem, jakeś ziemię kupił i zabudował, więceś bogaty, widziałem, jak pracujesz, więc ci roboty tu nie zbraknie, jak starego ojca szanujesz, więc serce masz! Dlaczegoż ty odjeżdżasz i czego szukasz, żołnierzu ziemi naszej?

— Związanym jest słowem i obowiązkiem, tam! — Wawer odparł poważnie,

— Jakeś się rodził, ślubowałeś ziemi najpierwej, najuroczyściej.... A ona teraz potrzebuje ciebie. Żali ty nie usłuchasz?

— Jakoż ona mnie woła?

— Woła od dnia, jak mnie nie stanie!

— Was! Co wy macie na myśli?

— Kiedy w wojnie żołnierz pada, następny jego miejsce bierze. Tak ci tu jest. Żołnierzyskiem ja byłem żywot cały! Terazem padł twarzą do ziemi, jak zabici padają. Karewis, nie kto inny, a ty, moje miejsce weźmiesz!

— Ja, Ja? — wybełkotał Wawer, zupełnie oszołomiony. — Dlaczego ja?

— Boś dzielny i silny, boś rozumny i dobry. Czyś zląkł się tego więzienia, tej mojej siermięgi rządowej. Czyś ty tchórz?

— Tchórz, ja? — prostując się Wawer się oburzył.

— Więc co?.... Może za pieniądze ino służyć umiesz?

— Nie, alem wam rzekł, że tam obowiązki mam, słowo dałem. Jakże ja mogę być zdrajcą?

— Można i mordercą być! Co się tak patrzysz? Posłuchaj: Ksiądz ino to słyszał odemnie — a tobie powiem!.... Opowiadali ci ludzie o szewcu owym, co go znaleziono przed laty pod kurhanem naszym?.. Opowiadali, a tyś nocą owe duchy chciał ujrzeć, co go zabiły. Śmiały jesteś. Ludzi tam zastałeś — wiem wszystko — i słowaś nie pisnął obcym. A wiesz ty, że między tymi ludźmi ów morderca był?

Wawer mimowoli się cofnął, zgrozą przejęty.

Starzec ręce przed siebie wyciągnął i zniżonym głosem dokończył:

— Te to ramiona jemu kark skręciły....
— by milczał!

Zapanowało milczenie uroczyste, takie, że w niem słychać było bicie serca młodzieńca i starca ciężki oddech.

Potem Szwedas dalej mówił:

— Krew na sumienie wziąłem i myślałem, sobie: Jeżeli to sprawa winna — Bóg ją zniszczy — jeśli ja — zniszczy mnie — i czekałem. A oto Bóg znak zrobił. Sprawa jako była jest i żyje, a dla mnie dzień pokuty przyszedł. Jam się go zawsze spodziewał — i cichy — idę! Od naszych pól i ludzi, od synów rodzonych i wnuków, od roboty całego żywota i z tych ścieżek, com je wydeptał. Wiemci, że ich więcej nie zobaczę, wiemci, że rychło zamrę, jak kret z ziemi wydobyty, i że na grobie nawet garści ziemi tej swojej nie dostanę!

Za tę krew — za tę krew!.. — Po tylu latach.

Ale sprawa nad wszystko przed Bogiem świętsza.

Znowu przestał, ciężko dysząc.

— Krew na sumienie wziąłem i odtąd nie popieściłem nigdy dziecka, zabawy nie znałem, ni uśmiechu, martwiłem ciało jak kat, a teraz w śmierć idę! Takem żył i pracował! Tak i ty potrafisz!

— Skąd wiecie? Ścieżki te wasze mi obce, a ja obcy!

— Skąd wiem? Ot z oczu twoich — prawdziwych z piersi twej potężnej, z mowy twej zuchwałej. To dawne Karewisy takie były, i chodziły ścieżynami ciasnemi i twardemi, gdzie się kupowało imię dobre i pamięć wieczystą — a płaciło się, jako przystało — krwią!

Zali ci krwi szkoda, zali ci strach — żołnierzu!

— Szwedasie, a co ja powiem, tu zostawszy, honorowi memu i słowu?

— A cóż powiesz tam poszedłszy ojcom pomarłym?

Znowu zamilkli obadwa przejęci. Na korytarzu kroki się rozległy, a potem zgrzyt zamku.

Strażnik wszedł.

— Wasz czas minął, wychodźcie! — rzekł do Wawra.

Ten jakby pijany był i ogłuszony, stał w miejscu. Strażnik go za ramię wziął i za drzwi wypchnął. Zamknięto celę.

Jak lunatyk wydostał się Wawer na świat i powietrze i szedł nieświadomy swej drogi i celu, ciągle przed siebie, aż za miasteczko, w pola ciche, w noc spokojną!

Bardzo wczesnym rankiem wywieziono Szwedasa z więzienia, zdano go pod straż cztech żołnierzy, co go etapem mieli odprowadzić do Kowna.

Na to ostatnie pożegnanie dużo ludu się zeszło z Karewiszek. Synowie i wnuki, swojacy i znajomi!

On spokojny i milczący żegnał ich skinieniem głowy, lub dłoni uściskiem i ciągle gdzieś dalej patrzał, ponad głowy, za tłum, za drogę.

I nagle twarz mu zajaśniała. Ulicą pełną gawiedzi, Wawer się przechylał, wzrostem nad ludźmi górując i ku niemu szedł.

Co niósł w sercu i na ustach, zgodę, czy odmowę?.. Już Szwedas tego nie posłyszał, bo gdy chłopak jeszcze z gromady się nie wydostał, dano znak do odejścia. Stary tedy nagłym ruchem w zanadrze swej aresztanckiej siermięgi sięgnął, dobył coś i ramię podniósłszy i krzyż kreśląc, cisnął tę garść w tłum, daleko. I ruszył prędko ujrzawszy, że trafił.

Na głowę, na ręce, na ramiona Wawra posypały się jak motyle szkaplerze różne i różaniec z bukszpanu, a między tymi szkaplerzami był jeden jak krew czerwony, w kształt serca wycięty i ten mu na piersi spadł, i zaczepiwszy

na odzieży pozostał.... A on stanął raptem pobladły.

I stała się rzecz szczególna.

Karewiskich chłopów gromadka i Szwedasy młodzi oderwali oczy od więźnia, co odchodził, ucichły płacze i narzekania, patrzali na Wawra i nie mówiąc słowa, nagle, jednocześnie, jedną myślą popchnięci, podnieśli ręce do czapek i odkryli głowy.

A Szwedas już na most wszedł wysoko na Kirszniawie wzniesiony i tam się obejrzał.

I tak zdala raz ostatni spotkały się wejrzenia tego, co odchodził i tego co zostawał i przysięgły sobie coś, bez słów.

A twarz Wawra krwią nabiegła i zdało mu się, że wewnątrz niego w tym dzwonie, co na żywot cały razy niewiele się odzywa, już nie ptaszę małe się zatrzepotało, ale że się serce w nim się rozkołysało i biło w spiż potężnie, a dźwięk rozrywał piersi, wstrząsał duszę, zagłuszał wszystko inne!....

XI.

Jakoś niezwykle jasno i wesoło zaświeciło słońce pewnej październikowej niedzieli na uciechę młodym i starym, a szczególniej dzia-

twie małej i zziębniętym wróblom pod strzechami.

W kościołku karewiskim dzwoniono na sumę, a głos się daleko rozchodził aż do Palandrów, do Zeweliszek, do Wisborów, zwołując hucznie i gromko parafian. Dzwonił z ochoty własnej zakrystyana uprosiwszy Marcinek Didelisów zarumieniony od chłodu i radości. Rozbujany dzwon odnosił go na sznurze do góry, to znowu spuszczał i zdawało się chłopcu, że on czemś bardzo ważnem jest, że cały świat wie, że to on tak pięknie dzwoni.

Ścieżyny, gościńce, dworska droga zaroiły się ludźmi, niby owadów mnóstwem. Barwiły się kobiet chustki i spodnice, sukmany i kożuchy chłopów, mięszały się w to kilimki wozów, różnomastne konie i ruch i głosy stokrotne i koni parskanie i turkot zbliżały się na ten dzwon, niby wojsko na trąbkę do chorągwi.

Marcinek wciąż dzwonił, choć kościoł był pełny po brzegi, choć się tłumem okrył dziedziniec, choć i pan z dworu przyjechał, choć się ozwały organy, a stokrotne te głosy w jeden dźwięk spłynąwszy zabrzmiały pieśnią:

Pulkiam ant kiale (Upadajmy na kolana).

Msza się rozpoczęła.

Tłum rozpierał, zda się ściany kościoła. Kobiety bliżej ołtarza, mężczyźni w głębi. Ławki zajęła starszyzna, okoliczna szlachta, oficyaliści dworscy. W pierwszej sam pan siedział, pani i panienki. Marcinek dzwonić wreszcie przestał i ostatni, dzięki tylko swej szczupłości, do środka się wcisnął. Przed samym panem stanął, jakby pochwalić się chciał.

Miałbo nowiutkie buty na sobie i kożuszek biały i miast obdartego kapelusza w ręku, czapkę z błyszczącym daszkiem. Wyglądał na to, czem był: na gospodarskiego syna i zucha.

Czapkę na ziemi przed sobą położył, w zanadrze sięgnął, dobył w chustkę owiniętą książkę do nabożeństwa. Pewny był, że pan ją widzi, że czyta i zdumiewa się, skąd jego były koniucha taki śliczny, złocony, gruby „Anksas Ałtorius" (Złoty Ołtarzyk) posiada. A nietylko sam pan, ale i pani i ekonom i wójt dziwią się i rozmyślają, jako Marcinek mały do takiego skarbu przyszedł.

I słusznie się dziwują, bo to nikomu z nich ta książka tak drogo nie przyszła jak jemu.

Ale on tylko sam to wiedział i ludzi niewielu, a wszyscy zazdrościli.

Chłopak się prostował i na palcach stawał, a choć oczu nie podnosił i owych spodziewanych spojrzeń nie widział, czerwieniał z dumy.

Nieopodal niego Rufin się modlił.

Koło chorągwi, gdzie zwykle miejsce miał, ludzie mu się roztąpili nieco, a jego i nie widać było, bo krzyżem leżał kaleka, pracowite swe ramiona rozłożywszy, a czoło oposadzkę wsparłszy. I kule tam leżały podle niego na kamiennej posadzce.

Odzywały się dzwonki, chyliły się głowy jak w polu zboża łan, na chórze brzmiały organy poważnie.

Aż wreszcie msza się skończyła, odśpiewano suplikacyą, odmówiono pacierze. Ksiądz do kratek przystąpił, Ewangielią odczytał.

Zrobiła się wielka cisza przy nauce.

Potem ci z Wisborów, Palandrów, z Zeweliszek odpływać zaczęli, stopy Chrystusowe u wyjścia całując.

Z Karewiszek nikt się nie ruszył.

Oczekiwali snać czegoś jeszcze od ołtarza.

Jakoż, gdy ksiądz naukę skończył, zaruszała się gromada, szmer przeszedł po niej i jakby wiatr powiał, zrobiło się blisko ławki pańskiej zostawiając wolne miejsce, wśród którego tylko dwoje ludzi stało, a lud patrzał na

nich i patrzało na nich słońce z górnego okna, na głowy ich rzuciwszy garść blasków.

Stali blisko siebie.

Mężczyzna prosty i wysoki, miał na sobie tradycyjną sukmanę siną o stu fałdach, ściśniętą szerokim rzemieniem, rozwartą nieco na piersi.

Z pod niej wyzierała samodziałowa kamizelka i kołnierz grubej, lnianej koszuli.

Na piersi szkaplerzy miał kilka, a wśród nich jeden jak krew czerwony, w kształt serca wycięty....

W rękach grubych i ciemnych trzymał czapkę futrzaną.

Jasny jego włos krótko ścięty złocił się w słońcu jak dojrzała pszenica, twarz ściągłą, bardzo inteligentną i żywą, spaloną miał na bronz. Zdobił ją wąs krótko przystrzyżony i uśmiech promienny, a rozświecały oczy wyraziste, myślące, a wesołe.

Kobieta szczupła była, smukła, młoda. Śniadość jej krew zabarwiła, krew rumieńca, którym płonęła pod wzrokiem tylu ludzi.

Jasną chusteczkę miała na głowie i twarz spuszczoną, że z niej mało co było widać. Na sobie chłopską odzież, a w ręku różaniec i książkę, do Marcinkowej podobną.

*

Nawet i państwo ze dworu patrzyli na tę parę i coś do siebie szepnęli.

A ksiądz odchrząknął i na cały kościół z innej książki jął czytać — bardzo donośnie:

— Wstępują w stan małżeński — pracowity Wawrzyniec Karewis, kawaler, z Rozalią Jodasówną panną — oboje katolicy, parafii tutejszej — zapowiedź pierwsza.

Jako morze kłosów zaruszały się głowy i odwróciły do tych dwojga, a ów chłop młody jeszcze się bardziej wyprostował i jaśniej uśmiechnął i przysunął do dziewczyny spłonionej, i razem uklękli obok siebie, ku ołtarzowi oczy wznosząc.

Ludzie zaczęli wychodzić i na dziedzińcu szumieć jako rój pszczoli, a oni wciąż się modlili w cichości.

Dopiero gdy Rufin mozolnie z ziemi powstał, podnieśli się i oni, i tak we troje wyszli przed kościół.

Otoczono ich zewsząd. Najstarsi gospodarze cisnęli się do prawicy młodzieńca, winszując i dobrze życząc, a kobiety wyrywały sobie z rąk dziewczynę, ściskając i całując.

Potem się rozstąpiono przed panem, który także do młodego człowieka przystąpił, dłoń mu podał, a potem w głowę ucałował.

— Przecie nas na wesele zaprosisz, Karewis! — mówił wesoło.

— Szczerem sercem prosimy w gościnę! — odparł młody, kłaniając się z uszanowaniem, a Rozalka jak wiśnia czerwona dziękowała pani i panienkom za życzenia i serdeczne zajęcie.

Przed kościołem, jak w odpustowy dzień, rojno było.

Hamowano się nieco obecnością państwa, ale gdy wreszcie odjechali, Jonas Szluguris przed młodą parą stanął, czapkę w górę wyrzucił, w boki się wziął, i z fantazyą pieśń zaintonował:

Chmielu, ty chmielu,
Zielona szyszko,
Póki sam byłeś,
Bitwy nie czyniłeś.
A jak się zmięszałeś
Z czystym jęczmieniem.
Chmielu, ty chmielu,
Bitwę zrobiłeś!....

Zaśmiano się chórem, zawtórowano ochoczo i porwawszy młodego, wiedziono go gwałtem do gospody. Ale on się oparł za wrotami.

— Nie dzisiaj! — rzekł stanowczo. — Alus u Butkisa stary i wytęchły. Będziemy pić i hulać, jak mu świeżego przywiozą!

I został. Tłum jeszcze czas jakiś mu towarzyszył, a potem się rozpełznął powoli.

Na stwardniałej od mrozu drodze, wśród pól szronem okrytych i nagich, zostało troje.

Kaleka szedł środkiem, a młode, silne ramiona podtrzymywały go na wybojach szlaku.

Zatrzymał się przed chatyną swoją i spojrzał na nich nieśmiało.

— Możebyście wstąpili? — poprosił.

— Jeżeli pozwolisz, i owszem.

Weszli do jedynej izdebki, ubożuchnej i zimnej.

Gdy tak stali promienni i radośni, Rufin łagodne swe źrenice w nich wlepił i z uśmiechem się ozwał:

— Jacyście piękni! Zda mi się, że z wami złote lato do chaty mi weszło i zaświeciło. Czemże ja was ugoszczę, mili moi!

— Słowem swojem, jakoś zwykle uczył, cieszył, radował! — odparł chłop młody, obejmując go za szyję i całując.

— Tak ci się zdaje, bracie, druhu stary! To ci własna dusza mówiła, nie ja. Jako zbożowy świerszcz jestem. Radujesz się go słysząc, ale nie z tego śpiewu marnego, ale z owych pól barwnych, gdzie się on odzywa. Takem ja się dziś radował, owe zapowiedzi sły-

sząc wasze, jakby ksiądz mówił nie o godach serc waszych, ale od ziemi dziewosłębem był i na gody jej z tobą lud zapraszał....

— Ja tom inaczej onej chwili myślał! — odparł Wawer z uśmiechem, na Rozalkę spoglądając. — Chatę swoją widziałem, a w niej gospodynię, jako ją piosnka maluje:

Czyściocha, tkaczka,
Prządka, śpiewaczka.

A ty, Rozalko, pomyślałaś krzynę o gospodarzu swoim? — dodał żartobliwie.

— Pomyślałam, jako on dzisiaj w daleką drogę pojedzie i w ciężką....

— A pojadę, skoro zmierzchnie, wstąpię do ciebie Rufinie po pakunek i na całą noc ruszę. Da Bóg, za dni dziesiątek powrócę. By się ta już prędzej wesela doczekać.

Zamyślił się i zmarkotniał na chwilę.

— Bieda tym, co ni chaty, ni twarzy swojej w żywocie nie zobaczą i których nikt dobrze nie wspomni, nie pożałuje!

— O Krysztofie myślisz? — z cicha Rufin zapytał.

— O nimże!

— Możeś go widział? — rzeźbiarz się odezwał.

— Onegdaj. Po północy zapukał do alkierza u mnie, gdzie sam nocuję — i po imieniu się nazwał. Wyszedłem do niego. Wicher i deszcz hulał na dworze, taka pora, że ino wilki i samozbójniki chodzą po świecie.

W ciemności tom go i nie widział dobrze, ale żeby się nie nazwał, tobym i głosu nie poznał. Wspomniał, żem mu ratunek obiecał kiedyś — i po to przyszedł. Za morza chciał jechać.

— I pojechał?

— Pojechał.... Ostatek mojej niemieckiej skóry mu oddałem, kapitana Lorensa paszport, grosz na drogę i list polecający do znajomych.

— Dobrześ zrobił, nie żyć mu tu było.

— I jeszcze jeden list mój z sobą powiózł, a w nim pierścionek Niemkini. Napisałem do kupca starego, przepraszając i prosząc, ale że mu sprzeniewierzyć się muszę, bo mnie matka od siebie nie puszcza! Takem rzekł i myślę, żem nie zełgał!

— Nie, prawda jest!

— Takem rozumiał. Poszedł tedy Krysztof. Teraz daleko być musi! W Bożej woli jego droga, w Bożej woli jego powrót!

Obejrzał się na dziewczynę, ciche łzy biegły jej po licu, a usta drgały.

— Czego się troskasz, kwiatuszku mój! — rzekł. — Będzie ta chata uboga, skąd cię sobie wezmę, pod moją opieką i staraniem, czekać na niego. By za lat dwadzieścia wrócił, całą ją najdzie, białą i oprzątniętą, jako przedtem była. Da Bóg on wróci do niej!

— Wróci, jako z więzień wracają, karę przebywszy. Może i jego stopy poznają kiedy ścieżyny nasze... U Boga takie bywają naznaczenia cudowne! — rzekł Rufin uroczyście.

Ciała kalekie mu służą i dusze chrome często na służki swoje naucza! Nie płacz dziewczyno dobra, ino się módl za nim i czekaj, w Bogu ufając.

Rękę jej w swoje dłonie ujął i z uśmiechem, co był nad słońce jaśniejszym, dalej mówił:

— I nad tym wybranym swoim nie płacz, gdy w drogę odchodzi daleką, a ciężką.... I choćbyś go kiedy jak Szwedasa żegnać miała, nie płacz!

Drogi nasze, jak mrówcze ścieżyny, które do gościńca biegną, co ni końca nie ma, ni początku.

Lata nasze, jako owadów doby, a prace nasze, jako źdźbła, co je ptaszek na gniazdo nosi i ściele, a my sami, jako te szare prochy pod stopami....

Z tych ścieżyn i źdźbeł i prochów światy się tworzą — ale my co — do świata, a świat co — do nieba? Nie płakać tedy — a czekać!

Tak się w swych myślach zatopił, że nie czuł, jak na ręku jego spoczęły wargi dziewczyny, a potem żołnierza młodego usta.

Tak mu bez słowa, z dusz głębi złożyli cześć i szacunek, podziękowali, ona za światło, które w niej zapalił, on za napój cudowny, który w tej izbie pił tyle razy, na obudzenie i zdrowie i siły....

On tego nie czuł, bo i ziemi w tej chwili nie czuł, ani ciała, ani bolów swoich....

XII.

Burzami był wzdęty Bałtyk siny i jesiennymi wichrami smagany.

Nad nim bure niebo chłód rozrzucało i ponurość, białe piany na grzbietach fal jak śnieg złowieszczy były.

W Memlu ładowano ostatnie statki przed zimą, śpieszono się, by wczas jeszcze umknąć na brzegi łaskawsze, w porty cieplejsze.

Ludzi było jak mrowia po bulwarach, po tamach, roiły się pomosty daleko w morze rzucone, rozbrzmiewało powietrze od łoskotu belek spuszczanych, świstu pary, dzwonków, zgrzytu wind, nawoływań i rozkazów.

Niedaleko zbożowych magazynów ładowano kilka ciężkich, transportowych parowców, spody ich czerwono malowane, zagłębiały się coraz bardziej, boki osłaniające skrzydła śnieżno-białe, czerniały daleko nazwą. Dwa były angielskie, jeden niemiecki z kupiecką banderą.

Setki. tysiące worków pochłaniały ich dna pękate. Odejdą jutro o świcie, mówili znawcy, patrząc mimochodem na nie.

Na pomoście, który do nich wiódł, stał chłop młody i przypatrywał się robocie.

Miał kierpcie skórzane na nogach, za pasem bicz zatknięty, na głowie spiczastą czapkę futrem obłożoną, staroświecką kiepurę.

Nic go snać nie nagliło. Ręce wsunął w rękawy i od paru już godzin stał na wietrze i chłodzie, popychany, odtrącany, łajany.

Nie odzywał się, tylko z właściwym swemu narodowi uporem zostawał w miejscu raz obranem. Zapatrzony był w morze, zasłuchany w te zmięszane portowe odgłosy, nozdrza nawet jego zdawały się z rozkoszą wciągać su-

rowe, ostre wyziewy wód słonych, bo się rozdymały jak u stepowika, gdy go tęsknota ogarnie.

I źrenice jego żywe były, zajęte, rozświecone. Choć milczały usta, oczy gadały coś do tych fal, do tych pian, do tego głosu morza! A tymczasem zapatrzonego klęli robotnicy z drzewem, workami, bo im zawadzał na wąskim pomoście; oglądali się na niego marynarze uwijający się tu i tam; przekpiwali jego strój malcy i Łotysze. Ale on oczy, czucie i myśl miał tylko dla tego morza przed sobą i na nic nie zważał.

Mijając spojrzał nań także majtek z niemieckiego okrętu, człek barczysty, czerwony, brodaty. Spojrzał i zatrzymał się, potem splunął i dalej poszedł, ale o parę kroków znów się obejrzał, popatrzał dłużej, zaklął.

Zwrócił się, o krok przed chłopem stanął i przypatrywał mu się uparcie, badawczo, ciekawie. Chłop oczy od Bałtyku nie zwracał.

Nareszcie marynarz jeszcze się zbliżył, odchrząknął, splunął. I to nic nie pomogło.

Wówczas zdecydował się i ręką dotykając czapki i krzywiąc się do uśmiechu, rzekł znienacka:

— *Kapitaen Lorens!*

Chłop drgnął, odwrócił głowę na mówiącego, bez słowa popatrzał.

Tamten coraz się upewniał w swej pamięci.

— *Erkennen Sie mir nicht? Bin ja Frimm, Matrose aus „Margarette“. Da!*

Rękę wzniósł i statek najbliższy wskazał.

Chłop milczał. Spojrzał na parowiec, na morze, na niebo w okrąg, a nakoniec źrenice spokojne, lekko zmróżone na marynarza przeniósł i nie zmieniając postawy, nie zdradzając najlżejszego zajęcia rzekł lakonicznie:

— *Ne suprantu!* (nie rozumiem).

— *Der Teufel! Sind ja Kapitaen Lorens, oder ich bin ein Haifisch!* — zawołał majtek upornie.

— *Ne suprantu!* — powtórzył chłop.

Wówczas Frimm zawstydził się swej pomyłki. Splunął, na obcasie się odwrócił i prędko odszedł.

A chłop dalej w Bałtyk siny się wpatrywał!....

KONIEC.